G. HÖCKER

OLIMPIJCZYK

Wydawnictwo M. ARCTA w Warszawie

M NOWAKOWSKA

OLIMPIJCZYK

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

..Idź, Kalljasie, do twojego pana i powiedz mu, że Perykles żąda z nim rozmowy. (Str. 187).

OLIMPIJCZYK

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

Z CZASÓW PERYKLESA

podług OSKARA HÖCKERA napisała

M. K.

WARSZAWA
NAKŁADEM MICHAŁA ARCTA
1900

MUZEUM MARII KONOPNICKIEJ
BIBLIOTEKA
W ŻARNOWCU
1515-26.2

Дозволено Цензурою.
Варшава, 15 Марта 1899 г.

PRZEDMOWA.

Niniejsze opowiadanie przenosi czytelnika w złoty wiek *Peryklesa,* w epokę sławy i wielkości Aten, która jest zarazem epoką najwyższej cywilizacji starożytnego świata; wprowadza go nie tylko w wewnętrzne polityczne życie Attyki, ale daje mu poznać obok historycznych postaci — obyczaj domowy, życie prywatne, pojęcia i wyobrażenia innych, odległych czasów. Przesuwa się tu przed jego oczyma prócz samego Peryklesa i Cymon ateńczyk, Efialtes i Anaksagoras filozof i Fidjasz, mistrz rzeźby i Aspazja; a życie i religja, sztuka i literatura, sposoby prowadzenia wojny, bronie i ubiory starej Hellady, znowu tu odżyją do niego.

Pozna on Ateny, jakiemi były wówczas, z całą pięknością ich gmachów, z gwarem ulic, z wrzawą tłumów; pozna krajobrazy okolicy i stosunki towarzyskie mieszkańców wsi i miasta. Przypatrzy się igrzyskom Olimpijskim, zapozna z życiem Ateńskich kobiet, z zabawami wesołego Ateńskiego ludu, z pracą i niedolą niewolników.

Oby ta powieść, która powstała na gruncie pracowitych i źródłowych studjów, pozyskać sobie mogła licznych młodych przyjaciół, dla których zabawy i nauki jest przeznaczona.

M. K.

I.

Ognisko domowe.

Na drodze, która z Aten do portu Pireus wiodła, tłoczyły się gromady ludu, gwarząc hałaśliwie. Strażnik portowy przyniósł do miasta wiadomość, że na najdalszym wschodnim punkcie morza, tylko co ukazała się zwycięzka flota Cymona. Wieść w jednej chwili jak płomień objęła miasto. Niewolnicy, wysłani za zakupnem żywności, porzucili na rynku przekupniów ze wsi przybyłych, biegnąc z pośpiechem do domu, aby panom swoim oznajmić nowinę. Na targowisku zebrali się ludzie, żywo gwarząc i giestykulując. W jednej chwili opustoszały kamienice, kramy, budy z balsamami i maściami, golarnie i małe warsztaty złotnicze.

Ale i w mieszkaniach kobiet, w gineceach, gdzie pani domu, w otoczeniu córek i służebnych siadywała przędząc albo w krosnach tkając, i tam już wiedziano o zbliżającej się flocie. Potoczyły się kłębki wełny i wrzeciona, cewki stanęły w pół drogi, gwar młodych głosów przytłumił stuk krosen. Najciekawsze biegły co tchu do okna, ściągały z niego zasłony i wychylały głowy na ulicę. Jakże im żal było, że nie mogą, jak mężczyźni, biedz zaraz do portu! Niestety, surowy oby-

czaj nie pozwalał pokazywać się na ulicy kobiecie ateńskiej. W największe tylko uroczystości mogła się ona przyłączyć do tłumu i to w towarzystwie ojca, męża, lub brata, z wpółosłoniętem obliczem.

Zazdrośnie patrzyły teraz dziewczęta na biegnących młodzieńców i chłopców, z których najmniejsi, nawet ci, którzy przed rokiem jeszcze do Likeonu [1]) chodzili, dziś już brali udział w ogólnem wzburzeniu umysłów.

Właśnie gromada wrzaskliwych i śmiejących się chłopaków wychodziła ze szkoły szermierskiej, a posłyszawszy nowinę, puściła się biegiem za innemi, klaszcząc w ręce, krzycząc i daleko zostawiając za sobą starych, wysłużonych niewolników, których rodzice dali im za dozorców. Obywatele i żołnierze, Archonci i kapłani, starcy i dzieci, wszyscy łączyli się w jeden tłum radosny, który miał tylko jeden cel: widzieć przybicie floty do lądu i powitać szlachetnego Cymona.

Szlachetny Cymon, to mi to mąż Grecki! Ileż to razy w wojnie z Persami bronił dzielnie ojczystego kraju! A wszak to ledwo dziesięć lat minęło (480 przed Chr.), kiedy pod Salaminą mężnie toczył boje! I teraz oto, czy to nie on wypędził nareszcie długoletniego wroga z Tracji, a nawet mówią, jakoby zdobył twierdzę Ejan.

Stary Euangelos jeden z owych pedagogów, przydanych chłopcom ku opiece, a tak swawolnie przez nich porzucony tuż przed samą szkołą, biegł za niesfornym tłumem pacholąt, z niezadowoleniem poruszając łysą głową i krzycząc zadyszany:

---

[1]) Liceum.

— He! Ksantypos! he! Paralos! Stać mi zaraz! czy słyszycie?!

Ale choć natężał swój drżący i piskliwy głos, chłopcy jakby nie słyszeli. Wszystko to pędziło na złamanie karku.

Wprawdzie Paralos, młodszy z dwóch braci, na końcu biegnących, chciał się zatrzymać na to wołanie, ale starszy Ksantypos, dziki i uparty chłopak, pociągnął go gwałtownie za sobą.

Widząc, że ich nie dopędzi, Euangelos stanął, odsapnął i drapiąc się za uchem, mruknął:

— Na Styx! Te nicponie lecą prosto do Pireus!... A toż całe miasto wali do portu, jakby znów Persów licho nam przyniosło!... — He!... Astoanaksie, przyjacielu! He, golarzu! stój no! zaczekajże chwilę! — krzyczał teraz stary, spostrzegłszy w ciżbie znajomego i chcąc się od niego dowiedzieć.

Ale golarz niebardzo zważał na owo wołanie sędziwego niewolnika. Jak pająk śpieszył on na swoich długich cienkich nogach, z wytrzeszczonemi ciekawie oczyma, a jego wełniany chiton unosił się z wiatrem po za nim.

Euangelos sapnął, puścił w kłusa zesztywniałe nogi i biegł za golarzem, o ile tchu mógł chwycić, wołając go po imieniu. Aż wreszcie golarz stanął.

— Czego u licha chcesz, stary? Czego wrzeszczysz? — zawołał ze złością. — Flota Cymona wpływa już do portu, a ja tu będę z tobą gadał, co?...

— Flota Cymona? — pytał zdyszany pedagog. — Co ty mówisz, Astoanaksie?... I co jeszcze?

— Co ma być jeszcze? — wrzasnął ze złością golarz.

Cymon wraca z wojny. Możny z najmożniej-

szych, Cymon wraca z wojny jako zwycięzca, a temu jeszcze mało!

Euangelos patrzył na golarza osłupiałym wzrokiem.

— To dlatego całe Ateny lecą na wybrzeże?... Ha, ha ha! Jakbyśmy nie mieli dziesięciu innych strategów, którzy tak dobrze jak Cymon umieją Persom przytrzeć nosa. Ale ba! Cymon bogaty, możny, najmożniejszy z możnych! Jużci nie po co innego lecicie tam, bratku, tylko żeby wam się za to gapienie i za te wasze krzyki co dostało! Po to lecicie na skręcenie karku! Znam ja was!...

Golarz się namarszczył, jakby był ministrem.

— Bacz stary, żebyś sam za swój zły język nie nadkręcił szyi! Zdradna to rzecz zły język! A choć jesteś szafarzem szlachetnego Peryklesa, radzę ci, trzymaj ten język za zębami, jeżeli masz zęby! — Powiedziawszy to, odwrócił się z godnością i już chciał w ruch puścić cienkie swoje nogi, kiedy go stary niewolnik przytrzymał za chiton.

— Patrz, patrz! obejrzyj się bracie! Lampon i Diopeitos schodzą z Akropolu do miasta, w uroczystych kapłańskich szatach!... Cóż to znowu znaczy?...

Golarz obejrzał się ciekawie.

— Aha! — zawołał — ofiarę składać będą... Aha, już wiem! Tymon wiezie kości Tezeusza ze Skyros do Aten... Aha!...

Drżały mu ręce i nogi z niecierpliwości, bo nie wiedział, czy na kapłanów patrzeć, czy ku morzu biedz. Szarpnął wreszcie swój chiton z ręki niewolnika i puścił się za tłumem, wołając:

— Będzie święto! będzie ogromne, niesłychane święto!...

Biegł teraz ze zdwojoną szybkością, aby nagrodzić mitręgę. A to byłoby pięknie, żeby się bez niego zacząć miało!

Ale stary niewolnik stał w miejscu i kiwał łysą głową, patrząc na powiewający chiton ciekawego golarza i przysłuchując się szybkiemu klapotaniu jego drewnianych sandałów. Tłum zniknął już, a oczy starego jeszcze patrzyły nieruchomo w pył drożny; poczem spuścił głowę, zadumał się i zwolna wracał do domu.

Dom jego pana, Peryklesa, znanego w Atenach ze swoich skromnych upodobań, stał w ciasnej i krzywej uliczce. Gmach był też mały i na zewnątrz wcale nie pozorny. Dopiero wnętrze zdradzało smak wytworny właściciela i zamiłowanie piękna. Malowidła pokrywały ściany komnat; kamienną posadzkę jadalnej sali zaścielał wspaniały dywan. U drzwi zwieszały się zasłony z tkanin kosztownych i delikatnych; toż samo u dwóch okien sypialni, wychodzących na mały, od tyłu położony ogród. Stoły, łoża, triklinja w jadalni, wszystko to było pięknie rzeźbione z cedrowego drzewa, a miękkie poduszki leżały na siedzeniach i sofach, obciągnięte wzorzystą materją.

Cudnej roboty zwłaszcza był mały ołtarz ofiarny, a każdy dzban, każda miska wyglądały raczej na dzieła sztuki, niż na domowe naczynia.

Spokój, łagodne światło, harmonijne linje i barwy nadawały mieszkaniu temu przedziwny urok piękna i wytwornej prostoty.

Ale teraz i tutaj przeniknął niezwykły gwar ulicy. Więc kiedy się stary szafarz pojawił, niewolnicy Peryklesa otoczyli go ciekawą gromadką. Lecz Euangelos machnął tylko ręką i nie odpowiadając natrętom, szedł

z pochyloną głową przez podwórze, koło gospodarskich budynków, wprost do otwartego, trzema rzędami kolumn otoczonego dziedzińca.

Tutaj Perykles siedział zadumany przed nizkim stołem, zarzuconym zwojami papyrusów, paskami pergaminu i drobno zapisanemi woskowemi tabliczkami. Ale kiedy się szafarz pojawił, pan podniósł ku niemu głowę i pytał go wzrokiem. Euangelos opowiadał przyciszonym głosem. Nie skończył jeszcze, kiedy Perykles się podniósł, wyprostował swoją piękną postać i rozkazał podsłuchującym po za kolumnami niewolnikom, podać sobie himation i obuwie.

Zwyczajem było w Atenach, w domu chodzić boso; żaden jednakże mąż znakomitszy lub możniejszy nie ukazywał się bez obuwia na ulicach miasta. Śpiesznie teraz wiązał jeden z niewolników na nogach pana, z cienkiej skóry wyrobione buty, które ściśle obejmując stopę, sięgały aż do łydki, a z przodu były otwarte i taśmą sznurowane.

Dorodna postać Peryklesa wspanialszą się jeszcze teraz wydawała. Wiedział on, jak należy odzież nosić, aby jej nadać wdzięk poważny i zarazem malowniczy. Biały z cienkiej wełny chiton spięty był na ramieniu z otwartej lewej strony, kosztownemi zapinkami; na to szedł himation, który za płaszcz służył, dłuższy i obszerniejszy, niżeli chiton. Perykles zarzucił jeden róg jego na lewe ramię, przełożył himation przez pierś, a wyuczony niewolnik fałdy jego pięknie ułożył, i pod prawą ręką znów ku lewemu ramieniu podał, tak, aby szata owijając ciało, ruch mu zostawiała swobodny.

Szlachetność postawy Peryklesa, poruszenia pełne harmonji i wytwornej równowagi, czyniły z niego prawdziwy wzór męzkiej piękności. Nawet nieco przydługa

głowa nie szpeciła go; owszem nadawała mu coś niezwykłego, coś osobliwszego; a gdy mąż ten usta otworzył i mówić zaczął, nikt już nie widział tej małej nieforemności.

Perykles miał głos wdzięczny, silny, a przytem miękki, serdeczny i przyjaźnie niewolący słuchacza.

Gdy wszakże teraz pytał starego niewolnika o swych synów, głos ten miał dźwięk posępny, a cień jakiś przemknął po wyniosłem czole Peryklesa. O! nieraz już czoło to chmurzyła myśl o krnąbrności i dzikiej samowoli starszego z chłopców, Ksantyposa. Zdawało się wtedy, że jakaś zdaleka nadciągająca, a raczej przeczuwana burza, cienie rzuca na to szlachetne oblicze.

Usłyszawszy, że chłopcy słuchać się nie chcieli, rzekł chmurnie.

— Brak chłopcom troskliwie czuwającej matki... brak im macierzyńskiej opieki... Ja sam nie mogę, tak jakbym pragnął, zająć się ich wychowaniem. Praca, obowiązki obywatela, za wiele mi czasu zajmują!

Euangelos westchnął.

— Ba, to się wie!... Ale ja sobie nieraz myślę, jak też mogła pani Lysippa, małżonka twoja, panie, tak się rozłączyć z synami. Oj, nie miała ona w piersiach serca matki, nie...

Perykles stał w milczeniu, utkwiwszy wzrok w ziemię. Stary sługa poruszył nie zagojoną ranę jego życia. Lysippa, żona jego, od lat paru z nim rozłączona, była, nim ją poślubił, wdową po bogatym Hiponikosie, który osierocił przez śmierć swą także i ośmioletniego podówczas syna, Kalljasa. I żonę i przygarniętego w dom swój pasierba Perykles kochał w swój szlachetny i spokojny sposób. Ale rwąca się do uciech ży-

cia, żądna zbytku i ciągłych rozrywek kobieta, nie rozumiała ani tego głębokiego uczucia dla siebie i dla swego dziecka, ani nie potrafiła wziąć udziału w życiu Peryklesa i w jego zacnych celach. Wiedza, sztuka, doskonalenie się, były jej całkiem obojętne. Zaniedbywała nawet wychowanie dwóch swoich młodszych synów, w małżeństwie z Peryklesem zrodzonych, całą nierozsądną miłością otaczając tylko jednego Kalljasa, który od wczesnych lat okazywał lekkomyślność i wiele złych skłonności.

Po daremnych usiłowaniach Peryklesa, aby zapewnić lepszą opiekę dwu młodszym chłopcom, a także po wielu gorzkich obustronnych wymówkach, Lysippa postanowiła rozłączyć się z mężem, zostawiając mu małego Paralosa i Ksantyposa, a zabierając z sobą Kalljasa do swego wiejskiego, w pobliżu Aten z przepychem urządzonego domu.

Od tej chwili żył Perykles w zupełnej samotności oddany nauce i wielkim państwowym celom, nie utrzymując żadnych stosunków z gwarnem i goniącem za rozrywkami towarzystwem Ateńskiem. Chłopców swoich, gdy z pacholęcych lat wyjdą, chciał on powierzyć na wychowanie swemu staremu nauczycielowi, zacnemu Anaksagorasowi. Cały zaś dom i gospodarstwo oddał w wierne ręce poczciwego i niezwykle przywiązanego do siebie Euangelosa, który mieniem pańskiem zarządzając, na tem szafarstwie nie tylko grosza nie uronił, ale owszem bardziej niż własnego szczędził.

To co przynosiły wiejskie posiadłości, kazał Perykles całkowicie sprzedawać, codzienne zaś potrzeby jego domu zaopatrywane były na targu, tak samo, jak każdego drobnego mieszczanina albo rzemieślnika. Dom

ten utrzymywany jak najskromniej, nie przedstawiał żadnego zbytku w swym budżecie; rozchód stosować się tu musiał ściśle do dochodu. Ale nawet przy tak mądrych zarządzeniach, nie osiągnął Perykles pożądanej swobody życia. Troski domowe nie ciążyły mu teraz, to prawda, ale niedawała mu spokoju ambicja, aby, jako mąż stanu, domowi temu w swej ojczyźnie sławę i znaczenie zapewnić. Kiedy więc Euangelos imię dawnej pani wspomniał, zapadł Perykles w ponurą zadumę i stał tak milcząc. Wyrwał się z niej wreszcie przemocą, postąpił kilka kroków ku stojącemu w pośrodku dziedzińca ołtarzowi, który był poświęcony bogimi Hestji, odmówił krótką modlitwę i miarowym krokiem opuścił domostwo swoje.

Zaledwie pan próg przestąpił, kiedy Euangelos objął w domu naczelną władzę. Jego stary, trzęsący się głos wydawał rozkazy; pomarszczone jego ręce porządkowały papirusy i pergaminy, nad któremi pan pracował; przesuwał stoły, stołki, dreptał, mruczał i co raz wzdychał i trząsł głową.

Wtem na dziedziniec wsunął się stary, równy mu niemal wiekiem niewolnik i trąciwszy go, zapytał bardzo głośno, gdyż sam nieborak był głuchy.

— Cóż! Euangelosie! czy widziałeś, jak nasz pan pobladł, gdy się dowiedział, że ten cały harmider, tam, wiesz, na ulicy, to dla Cymona?

Ewangelos wzruszył ramionami.

— Bo miał czego być niezadowolonym — rzekł. — Ten lud ateński to same niewdzięczniki! Jednemu wrzeszczy na wiwat, a drugiemu figa! Albo to i naszemu panu dziwota była Persików tych poturbować, kiedy jako stratega w pole wojsko wodził?

— No tak! — wrzasnął tamten, trzymając przy

uchu rękę w kułak zwiniętą. — Tak! ale Cymon jest bogatszy i wie, jak do ludu gadać i jak go sobie zjednać, rozumiesz? I stary naśladował liczenie pieniędzy na dłoni.

Jeszcze tak obaj staruszkowie stali, kiedy się do rozmowy wmieszał Mnezipos, Pers rodem, mądry chłopak, który jako jeniec wojenny do Aten się dostał. Nienawidził on tego starego rębacza Cymona, który żadnej sposobności nie minął, żeby Persom wygarbować skórę.

— Przyjdzie jeszcze taki czas — rzekł tajemniczo swoją łamaną greczyzną — że o naszym panu głośniej mówić będą, niż o tym krwiożerczym Cymonie. Przyjdzie czas... No! już ja wam powiadam!...

I oglądał się dokoła ostrożnie. Ale wokoło była cisza i spokój. Mała tylko fontanna szemrała wśród kilku krzaków róż.

Niewolnicy otoczyli Mnezipa nalegając, aby się jaśniej tłomaczył. Niewolnik obejrzał się raz jeszcze, a potem rzekł:

— Usłyszałem wypadkiem rozmowę, jaką miał Perykles, pan nasz, ze starym Anaksagorasem z Miletu i z tym drugim młodym... jakże mu tam? Z tym... no wiecie, z tym obrońcą ludu, co to swemi chytremi procesami tyle hałasu narobił.

— Efialtes! — wtrącili tamci.

— Właśnie ten sam! Efialtes! — zawołał Mnezipos. I nastroiwszy uroczystą minę, tak dalej prawił.

— Nasz pan, niby Perykles, nosi się z wielkiemi planami! Ho ho! Co to za plany! A tamci dwaj, też nie głupi, doradzają a doradzają niby naszemu panu, i umacniają go niby w jego zamiarach.

— No i cóż mu doradzają? Co on ma za plany? pytali starzy jeden przez drugiego.

Mnezipos zerknąwszy okiem na prawo i lewo, odrzekł:

— Chce strącić Areopag, najwyższy sąd strącić, i z całem tem gospodarstwem arystokratów koniec zrobić... Ot co!

— Zwarjowałeś! — krzyknęli niewolnicy, ale wnet zamilkli, wytrzeszczywszy tylko oczy od wielkiego dziwu.

Euangelos potrząsnął głową niedowierzająco.

— Gadanie! — rzekł — cóżby Peryklesowi przyszło z takiego zamachu stanu?

Mnezipos rośmiał się przebiegle i zamigotał chytremi oczami..

— Coby mu przyszło? Cymon daje ludowi pieniądze, a Perykles dałby mu wolność i władzę! Ot co by mu przyszło!

Z otwartemi usty i szeroko rozwartemi oczyma słuchali niewolnicy towarzysza. Chociaż nie z Aten rodem, wiedzieli oni przecież, jak wielką cześć i trwogę budził w Atenach prastary Areopag, jako związek możnych i szlachty, jako owszem pan państwa, jako państwo w państwie. A ta władza jego wydawała się tem nietykalniejszą i przyobleczona była w urok świętości i religijnego urzędu, albowiem powszechne było w Atenach mniemanie, że Areopag posiada tajemnice, objawione mu przez samychże bogów.

Już teraz i stary Euangelos obejrzał się na wszystkie strony. O takich rzeczach niebezpiecznie mówić.

— Milcz, chłopcze! — mruknął — i bacz, by ci nie nałożono kagańca... Licho nie śpi! A swoją drogą, hm... Niechby się tylko naszemu panu udało! No!... Już co on ma za dobre, to pewno jest dobre! Nam sługom

nie rozprawiać, tylko swoje robić. A ty się strzeż z domu co wynosić na języku! Już lepiej w garści...

A gdy się inni śmiać zaczęli, dodał:

— Nasz pan, jak każdy pan, ma nieprzyjaciół i takich ma, co jemu zazdroszczą... Miałyby się zamysły jego przed czasem wydać, to taki jeden i drugi gotów je przeciw naszemu panu wyzyskać; powtarzam ci więc, milcz chłopcze! Bo jakbyś miał głupiem gadaniem zaszkodzić czemu, no, to ja sam ci język w gębie ostudzę! Na Zeusa!

Cofnął się przestraszony Pers przed starym niewolnikiem i z podełba patrzał na niego.

Euangelos stał przez chwilę wyprostowany, oczy jego pałały, a drżące ze starości ręce groźnie trzęsły się nad głową Mnezipa.

II.

Zapoznany.

Tymczasem Perykles, minąwszy cały labirynt krętych i wązkich, a teraz zupełnie pustych uliczek, stanął przed małem domostwem, chatą raczej, której wygląd był tak prosty, że aż prawie nędzny. Dokoła chaty rozciągał się dość obszerny, zupełnie zapuszczony ogród, przez który jedna ścieżyna wiodła od połamanego płotu, wśród skarłowaciałych krzewów i dzikich zarośli, do zapadłych w ziemię drzwi tego małego, z gliny i nierównych ułamków cegły zbudowanego domku.

Zaniedbanie i nędza, wyglądające tu z każdego kąta, uderzały tembardziej, że tuż obok owego zdziczałego ogrodu i chaty, wznosił się wspaniały pałac, ze wszech stron otoczony bujną roślinnością, wzorzystemi klombami kwiatów i świeżą zielenią trawników.

Perykles zapukał raz, drugi i trzeci do drzwi chaty i słuchał. Zapukał jeszcze, ale nic się nie poruszyło w jej wnętrzu.

Wtedy pchnął drzwi, przeszedł puste podwórko i zatrzymał się w małym, niebrukowanym dziedzińcu wewnętrznym. I tu było pusto.

— He! Anaksagorasie!—zawołał gość, rozglądając się dookoła.

Wtem z kąta dziedzińczyka owego rozległ się słaby i zachrypły kaszel. Perykles zwrócił z przestrachem głowę w tym kierunku.

Na gołej ziemi leżała tam kupka starej odzieży, kołder i kilimków, w której się zaruszało coś żywego.

Perykles wyciągnął szyję i zbliżył się zdziwiony. Nagle z tych łachmanów wynurzyła się łysa czaszka i wyciągnęły dwie wychudłe ręce. Perykles śpiesznie przyklękł i pomagał wydobyć się z owych kołder leżącemu tam człowiekowi, którego jasnobłękitne załzawione oczy patrzyły wzruszającą bezradnością na klęczącego męża.

— Na Zeusa wszechmocnego! Anaksagorasie! W jakimże cię to stanie oglądam?

Z ciężkością podniósł się teraz w pół ciała sędziwy filozof, a słabe westchnienie wyszło z ust jego.

— Co ci jest, drogi mistrzu, tyś chory? — pytał Perykles z widocznem współczuciem.

— Co mnie jest?... Nic!... bynajmniej... Nic wcale... Żołądkowi tylko memu, temu żarłokowi nienasyconemu, zdaje się brakować czegoś... Myślę, że jadła...

Perykles uderzył w dłonie z przerażeniem.

— Jak dawno leżysz tu, tak bez napoju i bez pożywienia?

— A odkąd... od tego dnia, kiedyś tu był u mnie.

— Od tego dnia?... Bogi! — krzyknął Perykles, chwyciwszy się za skronie. Ależ to już całe dwie doby minęły... Już nawet trzecia idzie... czyż się to godzi?

I Perykles zaczął gorzko wyrzucać mistrzowi to zapomnienie o sobie, czy ten brak ufności, gdy prze-

...Co ci jest, drogi mistrzu, tyś chory? — pytał Perykles. (Str. 16).

cież on tak chętnie byłby tu przez Euangelosa codzień przysyłał to, co trzeba dla posilenia ciała.

Stary filozof uśmiechał się z lekka i potrząsał głową.

— Ciało... ciało... Cóż jest ciało? Duch znaczy wszystko, mój drogi!

— No tak, duch, dobrze! ale mogłeś z głodu zamrzeć, gdybym nie był przyszedł. A to mimo całą filozofję twoją.

Przyznaj, mistrzu, żeś nie miał zaufania do mnie! Do twego ucznia, który tyle ci zawdzięcza! Do przyjaciela...

Filozof podniósł nagie wychudłe ramiona.

— A toć ja już i tak raz wraz jestem ci ciężarem. I czy ja jeden tylko?... Wiem, że niejedną opatrujesz nędzę... Wszak cały niemal dochód z twoich posiadłości obracasz na tych biedaków, którzy nie pójdą wyciągnąć ręki. Nie... umrę raczej!

Ale Perykles już nie słuchał, już biegł z pośpiechem w ulicę, aby przywołać pierwszego lepszego mulnika, który nie wyprzedawszy ryb, ciasta i warzywa, do domu wracał tędy. Jakoż zaledwie dobiegł ogrodowej furtki, kiedy usłyszał krzyki przekupnia i tupot objuczonych zwierząt. Targ był licha wart dzisiaj. Rozwiali się ludzie, jakby w nich wiatr dmuchnął, a muły wracały z pełnemi jukami po bokach. Własną ręką wybierał teraz Perykles z koszów najpiękniejsze owoce, oliwki solone, któreby wzmocniły osłabiony głodem żołądek, najświeższe ostrygi i kawałki najsuciej nadzianego pasztetu.

Tak obładowany, biegiem do chaty powrócił; a kiedy stary jadł, Perykles uśmiechał się do niego jak do dziecka, za każdym przełkniętym kęskiem.

Syty i wzmocniony, podniósł się wreszcie stary filozof z barłogu i wsparty na Peryklesie, postąpił kilka kroków. Jego niebieskie oczy zwracały się teraz ku niebu z głębokiem, łagodnem spojrzeniem.

— Oto znów cię oglądam, o słońce... znów żyję... — szepnął dziękczynnie, a rzewność cicha opromieniła zwiędłe jego lice.

Perykles, prowadząc ostrożnie starca, rozpowiadał mu z ożywieniem o wielkiem zdarzeniu dnia, o przybyciu Cymona do Aten.

Nie podobało się to Anaksagorasowi, co słyszał o radosnem wzburzeniu ludu, biegnącego na spotkanie uwielbianego wodza. Nie podobało mu się i to nawet, że wogóle jakieś wojenne wyprawy ciągle są w Atenach na porządku dziennym.

— Po co?... na co? — pytał z goryczą. — Od ostatniej wielkiej klęski, potęga Persów już i tak złamana. Ich lew skrzydlaty nieprędko się wyliże i nigdy już skrzydeł tak nie rozwinie jak kiedyś. Na cóż więc te wielkie sumy złota?... Na gnębienie pobitego wroga? — A nadewszystko, po co ta ofiara krwi, młodości, nadziei narodu, w ustawicznych bojach?.. Cymon jest od stóp do głów żołnierzem, prawda. Ale czy jest obywatelem? Umysł jego ograniczony; wiedza, wykształcenie żadne. Dlatego też on dyszy wojną tylko. Poza wojną nie rozumie wprost potrzeb kraju, nie ma celu, nie ma ideału poza nią. Biłby się tylko i lud na bitwę wodził. Bo czemże innem zyskać mógłby wziętość?... A potem ma on jeszcze jedno na widoku. On chce w tej ciągłej wojennej wrzawie, w tem dążeniu do nowej wojny z Persami, odwrócić uwagę narodu od szkód wewnętrznych państwa i zużyć siły Ateńczyków tak, ażeby ich już na spory ze Spartą nie stało...

Ale Ateńczycy mają rację, że Sparcie nad sobą przewodzić nie dają.

— Prawda, prawda — mruczał Anaksagoras. — To wielki przyjaciel Sparty... Jak wszyscy zresztą stronnicy arystokracji.

— Ależ i ja nie jestem nieprzyjazny sąsiadom naszym! — zawołał Perykles. — Niech sobie Sparta będzie Spartą, owszem! Tylko, że dla Aten widzę wyższy ideał w przyszłości, niżeli krótkowzroki Cymon. Nawalną moją myślą, podnietą moich czynów, pragnieniem mego życia, jest ugruntowanie narodowej jedności. Ostatnia wojna z Persją aż nadto wykazała zgubne skutki naszego rozdwojenia. Chodzi teraz o to, aby jedna Hellada obejmowała wszystkie połączone państwa nasze. Chodzi o to, żeby powstała jedna, potężna swą jednością Grecja!

— I pod przewodnictwem Aten! — wtrącił Anaksagoras.

— Pod przewodnictwem Aten — powtórzył Perykles z naciskiem. — Nie dlatego wszakże, iż Ateny są ojczyzną moją — dodał — nie! Ale dlatego, iż Ateny są rzeczywiście najbardziej oświeconem państwem, a lud ateński najzdolniejszym do przyjęcia wysokiej kultury i najwolniejszym ludem z całego narodu greckiego!

— Mój drogi! — rzekł teraz filozof z głębokiem westchnieniem. — Czy ty myślisz, że to tak łatwo pójdzie?... Że zazdroszcząca nam przewag naszych cywilizacyjnych Sparta, dobrowolnie do takiego związku przystąpi?...

— Z pewnością nie!... — zawołał z ogniem Perykles. — Sparta musi być wpierw ugiętą, a jeżeli trzeba — złamaną!

— Dobrze. Ale jeżeli Sparta ma być ugięta, to

przedewszystkiem ugiąć trzeba jej stronników w samychże Atenach. Czy nie tak?... A ci stronnicy, mój drogi, to siła! To — arystokracja!

Perykles podniósł czoło promieniejące dumą i zapałem.

— Z arystokracją ja sam bój podejmę! Sam do walki stanę — rzekł hardo.

— Ty? — zawołał Anaksagoras zdumiony. Ty — człowiek nauki i myśliciel?... Ty miłujący spokój i swoje księgi?... Ależ zastanów się, że sam pochodzisz ze starożytnego rodu możnowładców! A potem, jakże to?... Wszak żyjesz zdala od naszych sporów, zatargów, od naszych spraw publicznych?... Wszakżeś się cofnął zupełnie w domowe zacisze?... Jakże się weźmiesz do urzeczywistnienia swych planów?... Jakże nawet dasz je poznać współobywatelom?

— Jak?... W sposób prosty! — odparł Perykles z mocą. - Zdecydowałem się wstąpić na trybunę Pnyksu i z tego wzgórza, które i mnie nad tłum podnieść musi, do ludu przemówię!

Okrzyk wyrażający najwyższe zdumienie był jedyną odpowiedzią starca.

Perykles nagle urwał rozmowę, bo już w oddali słychać było zrazu jakby szum wichru, potem coraz wzmacniającą się i rosnącą wrzawę, wreszcie gwałtowny wielotysięczny wybuch głosów, który się przybliżać zdawał.

Flota Cymona musiała teraz właśnie wpłynąć do portu, witana radosnemi okrzykami tłumu.

Perykles wszedł ze swoim sędziwym mistrzem w ulicę.

Domek Anaksagorasa stał u podnóża Akropolu, tego potężnego, na skale wzniesionego gmachu, który wy-

niosłą budową swoją wznosił się ponad całemi Atenami. Idący wstąpili na poblizki wał, z którego łatwo widzieć można było i miasto i długą szeroką drogę, wiodącą do trzech portowych przedmieść: Pireusu, Munychji oraz Faleronu.

Ateny leżały u stoku łańcucha gór Cyterońskich, których fantastyczne kształty zębato brzeżyły cały półwysep Attyki, tworzący trójkąt, szczytem ku południowi zwrócony. Między Pentelikonem, w którym łamano wyborne marmury, a Hymetosem z miodu słynnym, leżało miasto, malowniczo rozciągające się nad rzeką Ilyssos. Na wschód szerzyła się równina Maratońska, na zachód Ateńska. Cały ten krajobraz z dwu stron zamykał osobliwy, przez Cymona zbudowany, długi mur, sięgający aż do morskiego wybrzeża.

Wzrok obu mężów rozróżniał już tłumy ludu, które się z portu Pireus do miasta waliły. Wśród ciżby błyskał cały las wzniesionych mieczy, świecących krwawo w zachodzącem słońcu.

Ale wzrok filozofa odwrócił się od tego obrazu, ku płonącemu wielką zorzą niebu. Nietrudno było poznać po nadzwyczajnej jaskrawości łun zachodnich i po coraz duszniejszem powietrzu, że nadchodzi burza. Chciał właśnie mówić o tem starzec towarzyszowi swemu, kiedy mu przeszkodziła szybko zbliżająca się kobieta.

Spostrzegłszy ją, Perykles ściągnął brwi chmurnie.

Nadchodząca pani wyszła z poblizkiego gmachu, który był mieszkaniem dowódcy Cymona i siostry jego Elpiniki. Po kołyszącym się chodzie i przeładowanych ozdobami szatach, poznał Perykles natychmiast, że to nie kto inny, tylko sama, niecierpiana przez niego El-

pinika idzie, lubo twarz jej aż do nosa zasłonięta była kosztownym perskim woalem.

— Smutną wiadomość niosę ci, Peryklesie — rzekła siostra wodza, fałszywie brzmiącym, przymilonym głosem — dlatego nie miej mi za złe, że wbrew obyczajowi, opuściłam moje niewieście komnaty.

— Dzień dzisiejszy, dzień powrotu brata twego, Elpiniko, jest świętem dla ciebie. Służy ci przeto wszelkie prawo... Przecież brat twój powraca jako zwycięzca — odrzekł Perykles, pochylając głowę na powitanie.

— A jednak święto to nie jest wesołem świętem dla mnie! Nie!... — ciągnęła dama płaczliwym tonem — Moja jedyna najlepsza przyjaciółka umarła! Właśnie przyniesiono mi tę wieść żałobną, kiedy byłam zatrudniona przystrojeniem domu na powrót zwycięzcy. Teraz chciałabym płakać i zawodzić... i wezwać towarzyszki na żałobną ucztę, ale nie na dziękczynne radosne ofiarowanie bogom.

Gdy tak mówiła, już teraz przeciągając zgłoski, jakby w zawodzeniu pogrzebowem, chwycił Anaksagoras rękę przyjaciela. Fałszywy, szyderczy wzrok Elpiniki kłócił się najmocniej z jej słowami i nie zapowiadał nic dobrego.

— Dlaczego udręczasz mnie tą powolną mową? — pytał tymczasem Perykles, a twarz jego oblekła się nagłą bladością. Jakaż to jest ta wieść żałobna, którą mi przynosisz?

— Lyzippa, żona twoja, umarła! — odrzekła wśród przerywanego łkania, Elpinika.

Perykles drgnął i pobladł więcej jeszcze. Natychmiast wszakże zapanował nad gwałtownem wzruszeniem i odzyskał swój kamienny spokój.

— Lyzippa nie była żoną moją od chwili — gdy opuściła swe dzieci.

— O biedne dziatki! — westchnęła teraz z jękiem Elpinika. — Mająż one i teraz jeszcze, jak przedtem, rosnąć bez macierzyńskiej opieki?

Ton fałszywego współczucia, z jakiem kobieta mówiła te słowa, był Peryklesowi nad wszelki wyraz wstrętnym.

Od wielu lat już siostra Cymona łudziła się nadzieją, że zostanie żoną Peryklesa. Ten wszakże, lubo za namową krewnych poślubił Lyzippę, o Elpinice nigdy nawet i nie myślał.

Jemu, wielbicielowi piękna i wytwornej prostoty, jak mogła podobać się ta kobieta, o dziesięć lat przeszło starsza od niego, która mimo dawno minionej wiosny życia, stroiła się jak młoda dziewczyna. Dość było spojrzeć na jej twarz silnie wybieloną i narożowaną, na jej wyczernione brwi i rzęsy, na jej kunsztowną perukę, na jej podlotkowate ruchy i podskoki, żeby uczuć prawdziwy wstręt dla tej kobiety, która nie miała ani wdzięku, ani też godności. Bardzo młode wróble zaledwie mogły się były złapać na te plewy, ale nigdy Perykles.

Patrząc tak na nią, strojącą w pół płaczliwe, wpół zalotne miny, Perykles podniósł głowę i odrzekł z powagą.

— Gdy chłopcom moim kiedykolwiek drugą matkę dać zechcę, będzie to musiała być kobieta, którąby mnie lepiej rozumiała, niżeli biedna zmarła... i która — dodał brew marszcząc, niezdolna będzie kłaść maski przyjaźni dla mnie wówczas, kiedy za plecami memi, zmawia się na szkodę mego domu z wrogami mojemi, jak to niektóre żyjące Atenki czynią.

Patrzał teraz Perykles prosto w twarz Elpinice, która z jego zmarłą żoną wtedy właśnie zawiązała najściślejszą przyjaźń, gdy Lyzippa dom i dzieci rzuciła, dla zabaw i zbytków. Elpinika wybornie uczuła kolec tych słów przeciw sobie zwrócony.

— Jeżeli to, co mówisz, mam wziąć do siebie, Peryklesie — rzekła — i uważać za wymówkę z powodu zażyłości mojej z twoją żoną, to pozwól powiedzieć sobie nawzajem, że ty mniej jeszcze wybrednym jesteś w dobieraniu sobie przyjaciół!

— Co znaczy ta pusta mowa? — odparł lekceważąco Perykles.

A Elpinika:

— Bo nie wiem... może stosunki twoje z ludźmi obcemi, którzy do miasta przybyli po to, żeby tu szerzyć ciemne jakieś nauki, może te stosunki są uważane za odpowiednie stanowisku twemu?

Perykles położył rękę na ramieniu starca, przeciw któremu te złośliwe słowa skierowane były i rzekł:

— Anaksagoras jest mędrcem, od którego Archonci i mężowie stanu, uczeni i artyści uczyć się mogą szlachetnej wielkoduszności. Zaprawdę, Ateny wdzięczne być mogą Miletowi, z którego ten wielki mąż do nas przybył!

Elpinika przygryzła niecierpliwie wargi.

— Ja też nic nie mówię, owszem... Ale zapewne i to ma swe słuszne przyczyny, żeś dom swój otworzył Efialtesowi, burzycielowi ludu.. zapewne...

— Czemu nie?... — dał się nagle słyszeć głos swobodny i wesoły nawet. — Czemu nie?...

Elpinika obejrzała się z przestrachem i ujrzała tuż za sobą śmiejącą się twarz skromnie odzianego młodzieńca. Był to Efialtes we własnej osobie.

Patrzyła jeszcze na to zjawisko niespodziane szeroko otwartemi oczyma, kiedy młody człowiek, pochyliwszy się przed przestarzałą arystokratką z wyszukaną grzecznością, przemówił:

— Nie jestżeś szlachetną siostrą wspaniałego Cymona, którego sławą brzmi Attyka cała? Cóżem uczynił, o najpiękniejsza w Atenach, iżeś tak surowe słowa przez perły ząbków swoich na mnie wypuściła?

Stał i kłaniał się co słowo, prawie nizko chyląc głowę i przymykając oczy, jak w nagłem olśnieniu.

Elpinika rzuciła na szydercę unicestwiający wzrok wzgardy, poczem nie odpowiadając na owo pytanie, podniosła oczy z udanym wyrazem bólu ku Peryklesowi, którego twarz rozjaśniła się na widok młodego przyjaciela.

Widząc tedy dama, że na ten raz daremnemi będą jej zabiegi, odwróciła się nagle, owinęła ściślej w bogato haftowany himatjon i szybko odeszła.

Trzej mężczyźni patrzyli za nią z uśmiechem wzruszając ramionami.

Ale kiedy Perykles zagadnął przybyłego o zdrowie, ten westchnął z komicznem pomieszaniem.

— Cóż ci to, Efialtesie? — pytali go teraz obaj przyjaciele.

— Spotkał mnie najgorszy los, jaki z woli przedwiecznego fatum, udziałem śmiertelnika być może!

Perykles i Anaksagoras śmiali się, patrząc w jego filuternie błyskające oczy i nagląc, aby się jaśniej tłumaczył.

— Wygrałem proces! — zawołał Efialtes — tragicznie kiwając głową.

— Wygrałeś? — zadziwił się Perykles — i dlatego rozpaczasz?... O, szczególny człowieku! Alboż cię

nie cieszy — dodał poważniej — przeświadczenie, żeś uczciwej sprawie do zwycięstwa pomógł. Bo wszak bronisz tylko spraw uczciwych! A twoja bezinteresowność przysłowiową w Atenach się staje.

— Nie mylisz się — rzekł Efialtes — sprawa jest uczciwa. Ale przeciwnikiem moim jest syn mego najlepszego przyjaciela.

— A! — rozśmiał się z lekkim wyrzutem Perykles — to ty masz przyjaciela, bliższego ci ode mnie?

— Ale gdzież tam! — zawołał Efialtes. Ten najlepszy druh, o którym mówię, no, cóż u licha... powiem już raz! Ten druh, to ty, Peryklesie!

— I przeciw memu synowi wystąpiłeś jako oskarżyciel?

— Tak — odparł Efialtes z miną skruszonego grzesznika.

— Przeciw Kalljasowi!

Zdumieli się teraz obaj słuchający, aż Efialtes musiał im przebieg sprawy opowiadać.

— Chodziło o spór dziedziczny. Rzeźbiarz Menon, Ateńczyk, podniósł pretensje swoje do posiadłości, które Kalljas po śmierci ojca swego, bogatego Hiponikosa, odziedziczył.

— Patrzcie! — zawołał Perykles — A ja nic nie wiedziałem, że te posiadłości mojego pasierba są sporne!...

— I ja nie wiedziałem! — odparł Efialtes. Ale co ważniejsza, przy rozpatrywaniu dokumentów, przekonałem się, że Menon ma dobre prawo nietylko do nich, ale i do leżących o granicę ziem, z których obecny posiadacz także nieprawne zyski ciągnie!

— No! — rzekł Anaksagoras z uśmiechem. — Nie

bardzo ci będzie ten posiadacz wdzięczny za to odkrycie!

— A co mi to szkodzi, byle zwyciężyło prawo! Zresztą znam posiadacza tego. To człowiek co sobie mało, ba, nic prawie z posiadania i z bogactwa nie robi.

— Szczególny człowiek! taki jak ty! — zauważył Perykles.

— Tak, taki jak ja — odparł sucho Efialtes, a właściwy mu filuterny uśmiech zaigrał na ustach.

— Ale mnie — mówił dalej — obchodzi właściwie nietylko los Kalljasa. A przecież — dodał, zamyślając się — obowiązkiem moim było dowieść właśnie w tym wypadku, że przyjaźń, jaka mnie łączy z blizkim powinowatym mego przeciwnika, nie zdolna jest zbłąkać mnie na drodze powinności. Ba!... Gdyby tego wymagało prawo, broniłbym śmiertelnego nieprzyjaciela przeciw rodzonemu ojcu!

Ale Perykles i Anaksagoras słów tych nie słyszeli już prawie.

Wrzawa uliczna zbliżała się i gwałtownie rosła. Za chwilę ukazały się gromady chłopców, którzy krzycząc i śpiewając, przed pochodem biegli. Jeszcze Perykles patrzył na nich, kiedy drogę napełniły tłoczące się i hałaśliwe tłumy. Chciał on zawrócić do domu, ale już go ciżba objęła i razem z towarzyszami popchnęła ku pałacowi Cymona. Lud stanął tu murem. Wązka tylko ścieżka, środkiem drogi wiodąca, była wolna. Krzyk i tumult był nie do opisania.

— Chwała Cymonowi! Chwała i cześć! Niech żyje Cymon! — grzmiały w powietrzu tysiączne głosy w ogłuszający sposób.

Ukazała się teraz na owej wązkiej dróżce straż honorowa, która odprowadzała wodza do samego domu.

Szli mężowie ciężko uzbrojeni i okryci wojennym pyłem, wśród nieustannych okrzyków wiwatującego tłumu. Poza niemi ukazała się nakoniec wysoka i dość tęga w sobie postać samego Cymona. Mąż ten był okryty rynsztunkiem wojennym od stóp aż do głowy. Duży hełm obejmował głowę, twarz i czoło, zakrywając szyję aż do barków. Widoczne były tylko małe przebiegłe oczy, zawsze uśmiechnięte usta i okrągły podbródek. Zresztą postawa wodza nie miała w sobie nic bohaterskiego. Owszem zbywało jej nawet na szlachetnych i harmonijnych ruchach. Coś plebejskiego, coś pospolitego w nim było, mimo że pochodził ze starej, dumnej szlachty. A zażywne oblicze wodza wskazywało, że nie gardził on biesiadą i suto zastawionym stołem.

Że z ludem był brat za brat, nadewszystko o popularność dbający, widać to było ze sposobu, jakim tłumowi za tryumfalne przyjęcie dziękował. Temu rękę uścisnął, tamtego poklepał po ramieniu, innemu rzucił rubaszne słowo pospolitego żartu. Ale im który żart był płytszy, tem szaleniej wybuchał tłum poklaskiem i wrzawą.

Przechodzili teraz tak blizko i wódz i straż jego, że się Perykles chciał odwrócić z niesmakiem. Ale już go Cymon dojrzał.

— Patrzcie! — wykrzyknął. — I ty, Peryklesie, wyszedłeś na moje spotkanie! I w jakiemże to otoczeniu! Mędrcy... prawnicy!...

— Witaj, Cymonie! — odrzekł z poważną prostotą Perykles. Tak, masz słuszność! Ja przekładam istotnie rozmowę z ludźmi nauki nad płaskie żarty, za które cię oklaskuje ten lud, na twoje podarunki chciwy.

Cymon się zmieszał.

— Dlaczegoż — rzekł wzruszając ramionami — nie miałbym wreszcie ludowi udzielić coś z dostatków moich?

A potem lud ma prawo... Wszak bogactwa moje z wojny urosły, z wojny, którą wiodłem w imieniu miasta i kraju. Słusznie należy się Ateńczykom część wojennych łupów.

Perykles ostro spojrzał w twarz chełpiącego się ze swoich dobrodziejstw wodza.

— Cymonie! — rzekł — dobrodziejstwo twoje nie pochodzi z serca. Ta część łupów, to nie prawo ludu! To pochlebstwo ludowi, to ujmowanie sobie ludu, uwodzenie ludu!

— Tak? — odrzekł Cymon. — To według twego mniemania nic nie powinno dostać się ubogim z tego, co bogatym zbywa?

— A niezawodnie! — odparł ze spokojem Perykles. — Potrzeby ubogich powinny być opatrywane przez kraj sam, przez państwo, a nie przez jałmużnę bogatych.

Cymonowi uderzyły rumieńce gniewu na twarz.

— Zazdrościsz mi, Peryklesie, i sławy i wziętości u ludu! Ot co! — rzekł podniesionym głosem. — Ja wszakże nic sobie z twojego sądu nie robię.

I odwróciwszy się od Peryklesa z widocznem wzburzeniem, zawołał w tłum patrząc.

— Obywatele! Wzruszony jestem przyjęciem jakieście mi zgotowali. Chcę się okazać wdzięcznym. Wejdźcie do moich ogrodów! Wszystkie owoce, jakie w nich na drzewach i krzewach znajdziecie, są wasze! Bierzcie obu rękami! Jedzcie i nieście do domów!

W ciżbie podniósł się wrzask radosny; tysiące rąk podniosło się w górę z krzykiem.

— Niech żyje! Niech żyje!

Ale co uboższi mieszczanie już się do ogrodów rzucili, w największym ścisku i tłoku. Zdawało się że szturmem chcą je brać.

Wtedy Cymon obejrzał się i rzucił Peryklesowi, patrzącemu z lekceważeniem na owo widowisko, spojrzenie tryumfującej pychy. Zaraz wszakże zwrócił się do ludu.

— Czego się pchacie, przyjaciele?... Precz z płotem, precz z ogrodzeniem! Niech żaden z was ich nie szczędzi, każdy niech bierze! Ja sam rozwalić i zburzyć każę parkany wszystkich moich ogrodów i posiadłości! Niech lud ateński wespół ze mną dóbr moich używa! Więcej powiem! Od dziś dnia, kto głodny, niech do mego domu idzie, jak do swojego, po żywność! A kto nagi, niech idzie po odzież. A kto niema czem opłacić podatku, niech idzie po pieniądz! Zupełną moc daję szafarzom moim. Uważajcie ich, Ateńczycy, za swoich szafarzy!

Na te słowa uniesienie tłumu dosięgło najwyższych granic. Lud tłoczył się z krzykiem dokoła wodza, padał przed nim na kolana, całował jego stopy. Najbliżsi chwycili go wreszcie na ramiona i tak w tryumfie krzycząc i śpiewając, do domu wnieśli.

Kiedy nareszcie luźniej się na ulicy zrobiło, chciał Perykles do siebie z Efialtesem wracać. Zaledwie jednak pożegnał starego mistrza swego, Anaksagorasa, kiedy wyniosłej postawy młodzieniec drogę mu zuchwale zagrodził.

Perykles spojrzał na niego zdumiony.

— Tyżeś to, Kalljasie? — rzekł Perykles. — I w ja-

kiż to sposób stajesz przedemną?... Twarz twoja pała gniewem, oczy twoje dziko patrzą. Co ci jest?...

— Co mi jest? — odparł zadrgnąwszy ze złości Kalljas. — Krzywda mi się stała! Niesprawiedliwość mię dotknęła! Przez twojego przyjaciela krzywda i przez ciebie! Pozbawiacie mnie całego mienia! Efialtes ukartował sztuczkę tę z Menonem. Jestem zrabowany, jestem okradziony!

Tej wzburzonej mowie swego pasierba Perykles przeciwstawił spokój pełen powagi.

— Zaiste — rzekł — nie przystają ci, Kalljasie, w dniu dzisiejszym skargi z powodu straty majątku twego, z taką gwałtownością wznoszone!

Ale młodzieniec nie panował nad sobą i wołał w najwyższym gniewie.

— Co będzie teraz ze mną? Może znowuż mam rzucić Ateny, wracać na wieś do matki i prosić ją o każdy grosz i z każdego obola się rachować?

— To ci będzie oszczędzonem, Kalljasie — rzekł poważnie Perykles — gdyż matka twoja dziś właśnie umarła.

Kalljas spojrzał na mówiącego osłupiałym wzrokiem.

— Matka?.. Moja matka umarła! a... a... i ja teraz dziedziczę po niej?

Ze zgrozą cofnął się Perykles od tego wyrodnego syna.

— Kalljasie! — rzekł. — Jakiż zły demon opętał duszę twoją?... Trup twojej matki nie pogrzebany jeszcze, a ty się o dziedzictwo troszczysz?... Czy serce nie bije w twojej piersi?

Ale Kalljas machnął ręką i wykrzywił usta.

— Matka!... Matka!... Co mi to za matka, która każdy grosz tak ściskała, że musiałem się obywać bez

wszystkich przyjemności życia! Matka!... Co miałem z tej matki?... Czy mi choć raz, jakem jeszcze był niepełnoletni, sprawiła wóz wyścigowy w czasie olimpijskich igrzysk?... I mnie dziś każą płakać, że umarła! Na Djonizusa! teraz przynajmniej mogę użyć świata! Teraz będę trzymał własne konie, zbuduję nowy dom w mieście, otoczę się muzykantami, mimami, będę ucztował, bawił się... skrócę sobie czas tańcami i muzyką!

— A o twym duchu, o ukształceniu, udoskonaleniu twojem, czy wcale nie myślisz? — zapytał Perykles z goryczą. — O Kalljasie, wiekim krokiem ku przepaści idziesz!

Młokos zuchwale na ojczyma spojrzał.

— Nie potrzebuję rad ani przestróg od nikogo! — rzekł. — Przed nikim też nie będę zdawał rachunku z czasu i pieniędzy. Najmniej zaś przed tobą, któryś się z Efialtesem na moją szkodę zmawiał!...

Perykles uniósł się gniewem. Już chciał wybuchnąć kiedy go Efialtes uprzedził.

Zwrócili się teraz obaj przeciwnicy przeciw sobie z gwałtownemi wymówkami, które skończyły się na tem, że Kalljas wściekły i trzęsący się z gniewu, czując, że tamtego nie przeprze, plecy mu pokazał i na pierwszym zakręcie drogi zniknął.

Z boleścią i trzęsąc głową, patrzał za nim Perykles.

— I to w dniu śmierci matki, która go ubóstwiała! — mówił z cicha sam do siebie.

Ale kiedy rozstawszy się z Efialtesem do domu powrócił, zauważył ze smutkiem, że i Ksantypos, choć obaj chłopcy już o żałobnej nowinie wiedzieli, że i Ksantypos nie bardzo śmiercią matki jest przejęty. A kiedy ojciec patrzył w jego suche oczy i zaciętą chłopięcą

twarz, spostrzegł z przestrachem po raz pierwszy, że Kantypos jest żywym obrazem Kalljasa. I jakby w nagłem oślnieniu stanęły mu w oczach wady chłopca, kubek w kubek takie same, jak u przyrodniego brata! Ten sam upór, taż sama chęć używania, taż sama gwałtowność, ten sam egoizm!

Że teraz oto nie czuł się chłopiec bynajmniej śmiercią matki dotknięty, tłómaczył sobie Perykles koniecznem zobojętnieniem, wobec paroletniej rozłąki jej z dziećmi. Ale co go bolało, to uciecha, z jaką opowiadał niewolnikom, jaki to teraz Kalljas będzie bogaty, jakie mu podarunki przyniesie, jak będzie w mieście mieszkał w pięknym dużym domu...

Za to Paralos siedział cicho w kątku i płakał rzewnie.

Perykles pochylił się nad pacholęciem i pocałował jego ciemną główkę, z której długie, w puklach wijące się włosy spadały aż na szczupłe ramiona dziecka.

Tymczasem wszakże, ku wielkiemu zdziwieniu Ateńczyków, niebo stawało się coraz czerwieńszem. Zachodzące słońce tonęło w morzu mgły płomiennej. Powietrze było niespokojne; jakiś szczególny dreszcz zdawał się przejmować ziemię.

Naraz, gdy Perykles jeszcze zadumany obok dziecka siedział, wpadli na dziedziniec wystraszeni niewolnicy, wołając jeden przez drugiego.

– Panie! panie! dom się wali! Zeus w piorunach z Olimpu zstąpił i ludzi zabija!

Podniósł się Perykles i ruchem ręki nakazywał spokój tłoczącym się dokoła siebie przesądnym niewolnikom, kiedy nagła gęsta ciemność w jednej chwili uczyniła noc z dnia. Natychmiast powietrze stało się tak dusznem, że z ciężkością tylko można było oddy-

chać. Grzmot warczał głucho w oddaleniu jeszcze, ale coraz bliższy.

Chłopcy uderzyli w płacz, niewolnicy zaczęli jęczeć i wzywać na ratunek bogów.

Perykles rozszerzył nad zbitą ich gromadką ręce, i utkwił wzrok w domowy ołtarz, poświęcony Hestji.

Nagle grom trzasnął, runęło coś z ogłuszającym łoskotem, poczem natychmiast na zachodniej stronie zaczęło się niebo wyjaśniać i poprzednia paląca czerwoność znikła. Nad miastem wisiały nizko czarne burzliwe chmury. Zrazu nieruchome, ciężące ołowianym dachem, w mgnieniu oka zmieniły swój wygląd. Uderzył w nie wiatr, stargał, poszarpał i gnał teraz ze świstem i wyciem wielkiemi płachtami.

Niewolnicy odważyli się wytknąć głowy na dwór. Małe, naprzeciw stojące domostwo było zupełnie zniszczone i zrównane z ziemią. Tylko kupa gruzów i śmieci wskazywała poprzednie jego istnienie. Ulicą biegli ludzie w najwyższym postrachu, prześcigując się i przewracając wzajem. To obdarowani przez Cymona uciekali tak z ogrodów jego pod dach swój, nie zabrawszy z sobą nawet owych hojnych darów. Kto miał co owoców w fałdach chitonu, to na drogę rzucał, żeby bieg lżejszym sobie uczynić.

Szalała niezwykle silna burza. Wicher porywał i kręcił liście, trawy, piasek, gałęzie drzew, pędząc je i ciskając kurzawą w twarz ludzi, którzy zaledwie mogli oprzeć się gwałtowności jego. Nagle puścił się deszcz kroplisty z razu, coraz gęstszy potem, lunął wreszcie niepowstrzymaną ulewą z szumem i pluskiem głuszącym, spływając w szare strumienie po drogach i ulicach miasta. W domach rozległ się gwar i łoskot. Usuwano sprzęty z odkrytych dziedzińców pod dach.

Do jadalni Peryklesa, której jedna ściana otwartą była na dziedziniec, wiatr pędził strugi deszczu. Euangelos zwijał z pośpiechem makaty i odsuwał tryklinje[1]) aż pod przeciwległą ścianę.

Ale i na dziedzińcu porobiły się wnet jakby małe sadzawki. Deszcz lał jak z cebra. Od czasu do czasu zaryknął grzmot silny krótki, echem dalekiem powtórzony w górach. Wreszcie wiatr się znużył i opadł, a czarne chmurzyska znowu stanęły nad miastem nieruchome, groźne.

Mijały godziny, a burza nieustawała.

Niewolnicy zapalili pochodnie i ogniska, bo nagle zrobiło się bardzo chłodno, kiedy do bramy podwórzowej Peryklesa, na głucho teraz zamkniętej, zapukał ktoś z ulicy.

Klapiąc bosemi piętami po kałużach w dziedzińcu stojących, pobiegł odźwierny i otworzył bramę. Przed nią stał do nitki przemokły i drżący Efialtes. Sługa wykrzyknął, a Perykles aż klasnął w ręce, zobaczywszy przyjaciela w tak opłakanym stanie.

— A ty skąd tutaj?... Czemu nie w domu?... W taką nawałnicę!

Efialtes uśmiechnął się z przymusem.

— Już nie mam domu — rzekł. — Ani dziedzińca nie mam, ani ogrodu — nic! Całe moje mienie niosę z sobą.

— Jakto! — wykrzyknął Perykles. — A twoje ziemie, twoje posiadłości?

— Straciłem. Wiesz przecie, żem stracił... Wtym procesie Menona, wiesz?...

Perykles uderzył się w czoło.

---

[1]) Trójkątne stoły jadalne.

— Więc ta druga posiadłość, ta, do której prawo Menona poznałeś z dokumentów znalezionych podczas procesu z Kalljasem, to twoja?...

Prawnik skinął głową.

Przez chwilę popatrzył Perykles na przyjaciela jakby uderzony gromem. Wreszcie otworzył ramiona.

— Pójdź do mego serca, ty szlachetny! — zawołał. — Pójdź! Dziel ze mną dom i włość, dziel wszystko ze mną, całe mienie moje, ty najmniej samolubny ze wszystkich śmiertelników.

A widząc że Efialtes drży nietylko ze wzruszenia, pchnął niewolnika do sypialni po suchą odzież, sam pomagając przyjacielowi ściągać płaszcz przemokły.

III.

Zły posiew.

Minęło kilka tygodni. Nad Atenami rozciągały się znowu głębokie, ciche błękity. Straty, jakie za sobą pociągnęła owa burza i owo krótkie, lecz silne trzęsienie ziemi, były już po części odżałowane, a ruiny uprzątnięte. Budowano wtedy Atenach z gorączkową szybkością. Na miejscu rozwalonych burzą lepianek z gliny, wznosiły się teraz surowe jeszcze, nowe budowle, z kamienia i cegły.

Przestano już nawet mówić w ulicach i na rynku o tem szczególnem zjawisku natury, kiedy nagle przypomniało się ono mieszkańcom Aten i to bardzo żywo.

Przybył do miasta poseł ze Sparty, a wieści, które przyniósł z sobą, wywołały najwyższe zdumienie obywateli ateńskich.

Zrazu krążyły tylko głuche i niepokojące wieści o wypadkach w Sparcie. Powtarzano je wprawdzie, ale mało kto wierzył okropnym nowinom.

— Urosło to przez drogę — mówiono, nim ów ze Sparty aż do Aten zabiegł.

Ale wiadomości zaczęły być coraz dokładniejsze, i coraz pewniejsze. Postanowiono wreszcie bezpośred-

nio odwołać się do posła, który w chwili najcięższej klęski, z miasta był wysłany. Poseł ten nazywał się Rezakes i w domu Cymona gościł. Umysły były zaniepokojone, wzburzenie w mieście rosło; nic zatem prostszego, że wielkie zebranie ludowe, na dzień dzisiejszy naznaczone, było liczniejsze niżeli zazwyczaj. Zebranie miało, według starego obyczaju, odbyć się na wzgórzu Pnyks.

Pnyks wznosił się w pobliżu targowiska Agory, w samem sercu Aten, graniczące z podnóżem Akropolu, i ze wzgórkiem Tezeusza[1]). Wzgórze Pnyksu było puste, gdyż w przeciwieństwie do innych publicznych placów, na których wznosiły się to świątynie, to inne gmachy, brakowało mu odpowiedniego poziomu do takich budowli.

Poprostu więc wyciosano tu w skale wpółokrągłą mównicę, a dokoła niej siedzenia dla radzących obywateli.

Dzień był piękny i od wczesnego ranka zauważyć się dawał niezwykły udział w zamierzonem zgromadzeniu ludowem. U wielkich wejść do kramnic i do bud z balsamami stali przekupnie, rozprawiając żywo z przybyłymi ze wsi mulnikami, którzy obciążywszy zwierzęta swoje koszami drobiu, ryb, warzywa i chleba, już od północy, po pierwszem pianiu kurów, przez miasto ciągnęli, śpiewając, obwołując i zachwalając po drodze swój towar.

Rzecz prosta, że i ci przybysze ze wsi chcieli się czegoś pewniejszego o poselstwie ze Sparty dowie-

---

[1]) Imię to nadano wzgórzu dopiero po wzniesieniu na niem małej świątyni »Teseion« zwanej, w której złożono przywiezione przez Cymona z wyspy Skyros kości bohatera Tezeusza.

dzieć. Wielu też nich postanowiło południe przebyć w mieście, aby doczekać wyniku zgromadzenia ludowego na Pnyksie i za powrotem do domu coś o niem opowiedzieć.

Obozowało to tedy wszystko na ulicach, chroniąc się przed słońcem w podsienia domów i nadając miastu szczególny wygląd jakiegoś koczowniczego najścia. Ale i po za tem, w dnie zebrań takich, ulice miasta odznaczały się odrębnym ruchem.

Sądy bywały zamknięte, ćwiczenia gimnastyczne młodzieży zawieszone, a na cienistych wysadach drzew, które się kokoła miasta aż do brzegów Illisosu ciągnęły, przechadzało się mnóstwo ludzi, już teraz gorąco rozprawiających o tem, co wyniknąć mogło z zebrania.

Najgłośniej wszakże było w łaźniach. Żaden Grek nie zaniedbywał codziennej kąpieli. Bogaci mieli łaźnie własne w domach, ale większość obywateli uczęszczała do publicznych kąpieli, w których się i nowinek nasłuchać było można i ze znajomymi spotkać. Politykowano tu, no i plotkowano też zawzięcie, a śmiechu, kłótni, dowcipów było co nie miara, gdyż Ateńczycy przy wrodzonej nadzwyczajnej żywości temperamentu, nic nie robili w połowie.

Tak było i dzisiaj. Zawrzały tedy ulice, kiedy się tłum cały, odświeżony kąpielą i namaszczony wonną oliwą, z łazien wysypał i ku Pnyksowi dążył.

Ktokolwiek piastował jaki urząd, musiał tam być obecny. Zaczęła się tedy w tej wrzawie erynji cisza, gdy pojawili się wysocy dygnitarze miasta. Członkowie Areopagu i dziewięciu Archontów z powagą zajęli swe miejsca w pierwszym rzędzie wprost mównicy. Pierwszy Archont, noszący tytuł »Eponimos«, siadł na

prezydjalnem miejscu. Tuż koło niego »Basileus«, najwyższy przedstawiciel kapłańskiego stanu, po jednej stronie, a »Polemarch« naczelny zawiadowca sił zbrojnych, po drugiej. Sześciu pozostałych Archontów, piastujących godności »Tesmotetów«, którzy zawiadywali sprawiedliwością, umieściło się obok nich, po trzech z każdego boku. Samo już ukształtowanie tej naczelnej ławy dawało niejako obraz porządku państwowego w Attyce, a prawa i obowiązki obywateli miały tu przedstawicielstwo swoje wydatne i ściśle określone.

W głównych swoich zarysach był rząd ateński i prawodawstwo Aten toż samo jeszcze, które więcej niż sto lat temu (594 przed Chryst.) ustanowił Solon. Prawa Solona określały stan prawno-polityczny tylko obywateli wolnych i urodzonych w Atenach. Liczni przybysze, tak zwani Metekowie, nie mieli żadnych praw politycznych, podobnie jak i całe tłumy niewolników, zamieszkujących miasto. Wielki prawodawca podzielił wolnych obywateli na cztery klasy, a to podług posiadanego przez nich majątku.

Z klasy pierwszej, wybierani byli Archontowie w liczbie dziewięciu.

Do rady, czyli do tak zwanej »Buli«, wejść mógł każdy obywatel; do trzech dalszych klas należący, po ukończeniu trzydziestego roku.

Zgromadzenie ludowe nareszcie, czyli wiec składać mogli wszyscy obywatele od dwudziestego roku życia, bez względu do której klasy należećby mieli.

Najwyższy sąd stanowił Areopag, składający się z wysłużonych i nieskazitelnych Archontów. Co do ludu, ten podawnemu miał w ręku jeszcze w 509 roku przed Chr. wprowadzone przez Klistenesa »prawo skorupkowe«, czyli ostracyzm, którego użyć mógł jako silnej

broni przeciw znienawidzonym i nazbyt mu ciążącym przywódcom różnych partji.

Kiedy się Pnyks zaroił ludem jak mrowiem, »Basileus« powstał i wzniósłszy swe czcigodne ręce, odmówił starożytną modlitwę, którą razem z nim zaszemrał przeciągle liczny chór kapłanów; poczem pierwszy Archont Eponimos, oznajmił otwarcie wiecu. Otworzył go właściwie sam Basileus krótką mową, wyjaśniającą powód zebrania, z której dowiedziano się, że sąsiednia i pobratymcza Sparta, dotknięta zuchwałem powstaniem Helotów, pogrążona jest w ostatecznej klęsce i Ateny na ratunek wzywa.

Jednem słowem, Sparta jest blizką zupełnej zagłady. Owo trzęsienie ziemi, które w Attyce zaledwie czuć się dało, w Sparcie zrządziło spustoszenia straszliwe. Wielkie odłamy skał spadły ze szczytów gór Tajgetu w miasto, domy zaś są zburzone albo uszkodzone tak, że zaledwie pięć całych budowli w Sparcie dzisiaj zostało.

Z tej to klęski i z pomyślnej sposobności korzystając, tysiące Helotów i Messeńczyków, żyjących w poniżającem służalstwie, i chcąc zrzucić z siebie ciążące jarzmo, wpadło do miasta z siekierami i drągami, niemiłosiernie mordując swoich panów.

Tak mówił Archont, a gdy wszyscy słuchali w zdumieniu, wezwał Rezakesa, aby naocznem świadectwem uzupełnił szczegóły tej okropnej katastrofy.

Wszedł na mównicę poseł Sparty, Rezakes, i w te odezwał się słowa:

— Obywatele Aten! Wielki musi być ucisk mego ojczystego miasta, jeśli jednego ze swoich synów śle do was z błaganiem o pomoc. My wytrzymujemy twardo i po mężku pociski nieodmiennych losów. Ale wy-

biła dla nas godzina tak straszna, iż Sparta stojąc nad brzegiem przepaści, musi o ratunek wołać. Inaczej — zginie! A gdy Sparta zginie, cała Hellada z nią padnie. Sparta to bowiem jest głową Peloponezkiego związku, a ten związek to potęga Grecji!

Głośny szmer odezwał się między obywatelami Aten.

Rzeczywiście, poddały się były niegdyś Ateny hegemonji czyli przywództwu Sparty! Niezawodnie zawdzięczano związkowi temu świetne zwycięztwa Greków nad Persami w wielkiej wojnie o wyzwolenie się z pod ich ciężkiego jarzma! Ależ i to prawda, że po oczyszczeniu Hellady z najeźdzców, Sparta objawiała zawsze niechęć do wielkich wypraw zamorskich, które były podstawą pomyślnego rozwoju Grecji. Owszem, okazywała Sparta coraz większą bezradność, zupełny brak przedsiębiorczości, a jej surowość, szorstkość, martwota i żądza władzy, dawno już ów związek doprowadziły do zupełnego rozbicia. Dawne współzawodnictwo znów głowę w Atenach podniosło. Ale odkąd pracowite, przemyślne, pełne ruchu wytwórczego małe miasta Grecji, zrażone nieruchomością Sparty, zaczęły się odnosić do Aten, jako do swojej stolicy,— przeciwstawność interesów, celów i dążeń obu państw naczelnych uwidoczniła się i wzmogła jeszcze tem więcej. Dwie potęgi nieprzyjazne i rywalizujące z sobą stanęły odtąd na czele heleńskiego świata: Peloponezowi panowała Sparta, Ateny zaś przewodniczyły związkowi delijskiemu.

Było to więc ze strony Rezakesa wielką niezręcznością, w takiej właśnie chwili rozdrażniać stare niechęci swą spartańską pychą. Spostrzegł to sam, słysząc pomruk, przebiegający tłum mężów ateńskich,

i chcąc zatrzeć niekorzystne wrażenie, malował klęskę ojczyzny swojej w tak wymownych słowach, że w niejednem sercu żywe współczucie obudził. Prawdziwym wszakże tryumfem jego były rzędy trzymających się na uboczu arystokratów, zawsze zresztą trzymających stronę Sparty, którzy teraz korzystali z chwili, aby jawnie okazać, że w Sparcie właśnie leży siła i zbawienie Grecji.

Jakoż gęsto się tam odzywały głosy uznania i współczucia, gdy Rezakes tak mówił dalej:

— Straszna to była godzina, gdy u bram walącego się miasta zagrzmiał okrzyk: Heloci idą! Śmierć zdawała się ogarniać teraz gród cały. Ale król Archidamos z przytomnością prawdziwego bohatera i wodza, rozkazał uderzyć w wojenne surmy. Na dźwięk ten, wyćwiczeni w surowej karności żołnierskiej współobywatele moi, rzuciwszy ruiny mienia i ratunek domów, zbiegli się na rynku i stanęli w szyku bojowym. Spostrzegłszy to, cofnęli się nikczemni Heloci znów za bramy grodu. Bunt ich nie ustał wszakże. Zamknęli się oni w warownem miejscu Itome, którego silne mury na długo zapewniają im obronę.

Co do Sparty, trudno sobie przedstawić zniszczenie jakiemu uległa! Kupy kamieni są jedynym śladem zburzonych gmachów. Ulice, place, podobne są do rumowisk, do pobojowiska. Role podmiejskie zawalone gruzami, pod któremi potłuczone leżą całoroczne plony. Inne nieuprawne dziczeją. Gdzież bowiem są ręce, któreby je uprawiać miały, gdy tysiące niewolników bezkarnie opuściło domy panów swoich? Obywateli w Sparcie liczba jest niewielka. Nigdy oni bez pomocy z zewnątrz nie zdołają przywrócić ładu i posłuszeństwa, na których dotąd wspierało się państwo. Co czynić tedy

mamy?... Do kogo się udać?... Gdzie iść?... Kogo na ratunek wołać?

— Do was przychodzimy, o Ateńczycy! — tak kończył Rezakes swą mowę — do was, którzy słyniecie ze sztuki oblegania miejsc warownych! Uzbrójcie swe wojska i wyślijcie je pod mury miasta Itome! Ratujcie ojczyznę moją! Ratujcie Spartę, bo w niej ratujecie Grecję!

Ogromny tumult wszczął się, gdy poseł rzecz swą ukończywszy, z mównicy zstąpił.

Biły fale głosów za i przeciw, jak rozkołysane morze o brzeg bije, póki Eponimos nie uspokoił zebranych nakazawszy milczenie.

Żądanie Sparty musiało być rozważone wszechstronnie. Odprowadzono teraz Rezakesa na stronę, aby obecnością swoją naród nie mieszał, a partje walczące z sobą zaczęły się ścierać w żywej i hałaśliwej dyskusji.

Cymon oświadczył się pierwszy, jak tego oczekiwać było można, za Spartą. Pomoc udzielona w tej krytycznej chwili Sparcie, miała według niego przywrócić naruszony związek pomiędzy Peloponezem i Attyką, związek, który sam tylko mógł być podstawą siły i potęgi Grecji wobec nieprzyjaciół.

— Nie możemy, nie powinniśmy cierpieć tego — tak kończył Cymon — aby Grecja na jedną nogę, którą jest Sparta, kulała, ani żeby Ateny bez pary chodziły w zaprzęgu!

Burzliwe okrzyki »tak! tak«! z jednej strony, a z drugiej »nie! nie«! długo się po tej mowie uciszyć nie dały, nawet Archontowi.

Nareszcie przemogła ciekawość gdy Efialtes na mównicę wstąpił; więc burza ucichła.

Efialtes zaczął od surowej wymówki, zwróconej do Cymona, że on chciałby wielkość i spokój Aten poświęcić na ofiarę Sparty. Mowa była krótka, silna, wypowiedziana donośnym i z głębi duszy płynącym głosem. Moc przekonania biła z jej każdego słowa.

— Nie o to chodzi — kończył Efialtes — wpadając w porównanie Cymona, jak mamy chodzić w zaprzęgu. Chcemy aby Grecja, z wszelkiego zaprzęgu wyprzężona była! Nie chcemy jarzma! I nie chcemy bata! Chcemy, aby Hellada dźwignięta była na ramionach Aten.

I teraz zerwała się burza głosów, ale wnet ucichła, gdyż na mównicę wstępowali coraz nowi mówcy. Zrazu byli to sami arystokraci z obozu Cymona. Było ich tylu i z taką przekonywającą przemawiali żywością, iż głosy zebrania widocznie chyliły się w ich stronę, a ława, na której skupili się przyjaciele ludu, coraz bardziej opustoszałą była.

I nie dziw! Cymon był jeszcze ciągle bohaterem dnia. »Stary rębacz«, jak go w Atenach poufale zwano, zbyt wielkim otoczony był urokiem, aby większość miała się partji jego sprzeciwić. Nie pomogły ostrzeżenia Efialtesa, który wołał, że Ateńczycy walczący dla utrzymania potęgi współzawodniczej Sparty, na własną pracować będą zgubę; nie pomogły jego słowa prawdziwą wolnością tchnące. Długo walczył, długo mowy i zarzuty przeciwników zbijał, wreszcie widząc bezowocność swoich wysileń, pierwszy z garstką swoich do odwrotu się mieć zaczął.

Ale gdy koło Peryklesa milczącego dotąd przechodził, rzucił mu ogniste a naglące spojrzenie, w którem malowała się i rozpacz i nadzieja.

Nie miał siły zwyciężyć sam. Ale Perykles!... Kto wie?... Gdyby zechciał!...

Zrozumiał to spojrzenie z uwagą przysłuchujący się wszystkiemu ale milczący mąż i poruszył głową.

— Mój czas nie przyszedł jeszcze, Efialtesie — rzekł z cicha. — Ten bój, jaki przeciwnikom z mównicy tu wypowiem, ten bój pierwszy, zwycięztwem być musi! I wtedy tylko, gdy się zbliży godzina zwycięztwa, głos wzniosę.

Westchnął Efialtes, a Perykles w milczeniu i spokoju patrzył na zwycięztwo stronników arystokracji.

Kończyły się narady. Lud klaskał, a Eponimos obwieścił wynik głosowania: Ateny uzbroją cztery tysiące Hoplitów (ciężką broń noszących żołnierzy) i morzem ich do Messyny wyślą. Tam właśnie leżała twierdza Itome, główny obóz powstańców, daremnie dotychczas oblegany przez zwątlałą Spartę.

Dowództwo w tej wyprawie powierzone będzie pierwszemu wnioskodawcy, mężnemu Cymonowi.

Przeciągłe oklaski przerywały mowę Archonta. Większość tryumfowała.

Zanim wszakże wprowadzono w koło obrad Rezakesa, aby mu oznajmić wspaniałomyślną pomoc, jaką Ateny ojczyźnie jego dają, demokraci w milczeniu opuścili swoje miejsca.

Efialtes szedł zgnębiony obok Peryklesa.

— Czemu się dręczysz? — przemówił pierwszy Perykles, kładąc rękę na ramieniu przyjaciela. — Wierzaj mi, nasza sprawa nie przepadła jeszcze!

Ale Efialtes nie mógł przeboleć tego zwycięztwa stronników arystokracji, a szczególniej ich wodza. Dziwiło go też, że Perykles zachował się na obradach tak spokojnie i obojętnie prawie. Wszak nieprzyjazne uspo-

sobienie jego względem Cymona występowało jawnie przy każdej innej sposobności. Owszem, ta niechęć dziedziczną prawie była. Wszakże ojciec Peryklesa, sławny wódz Ksantypos, występował niegdyś przeciw rodzicowi Cymona, Milcjadesowi, jako oskarzyciel[1]).

— To było ostatnie zwycięztwo Cymona! — rzekł z siłą Perykles.

Ździwiony Efialtes, podniósł ku niemu pytające oczy.

— Czy sądzisz — mówił Perykles — że Sparta zapomni kiedykolwiek o tem upokorzeniu, jakie tkwi dla niej w szlachetnej pomocy Ateńczyków?... Nigdy! Teraz dopiero zacznie się walka o przodowanie w Grecji na śmierć i na życie. Nie daj, Zeusie, abym był prorokiem, ale już widzę z tego wojnę peloponezką.

Perykles zamilkł, a jego pełne ducha oczy zwróciły się ku południowi.

Wtedy Efialtes odetchnął głęboko i jakby doznawszy ulgi, rzekł.

— Gdyby Sparta okazała się niewdzięczną, bylibyśmy pomszczeni, a Cymon musiałby upaść!

— Upadnie! — rzekł z niezwykłą mocą Perykles; a jakieś dalekie echo powtórzyło między ziemią a niebem tę posępną wieszczbę.

Dnie przechodziły. Ruch i pośpiech dawały się spostrzegać we wszystkich warstwach ateńskich. Płatnerze wyrabiali ogromną ilość nowej broni. Na ulicach

---

[1]) Ksantypos zwyciężył Persów pod Mykale. Należał on do starożytnego szlachetnego rodu »Akomanitów«. Małżonka jego także była córką znakomitego domu. Przez matkę to swoją, Agaristę, był Perykles w zstępnem skoligaceniu z bohaterskim Klistenesem, który samowładztwo Pizystrata w Atenach strącił i demokratyczne prawa miastu nadał.

przed otwartemi kramami przekupniów powystawiane były nizkie stoły, przy których pracowały pilnie gromady niewolników. Ten młotkiem blachy wybijał, ten je szczypcami giął, ów wartko druty kręcił i przecinał. Używający przechadzki obywatele zatrzymywali się, patrząc ciekawie na te zwinne ręce, w których błyskał metal, coraz to nowe przybierając formy. Gdzieniegdzie widać było małe uliczne kuźnie, a lecące z nich iskry bawiły przechodniów. Cieszono się widokiem nowych lśniących pancerzy, tarcz obciągniętych bawolą skórą, błyszczących hełmów i mieczy.

Ale w niektórych warsztatach wyrabiano nigdy jeszcze niewidziane, według pomysłu Artemona tworzone, tak zwane »kozły i żółwie« potężne, olbrzymie, kształt potworów mające machiny oblężnicze do walenia murów.

I Perykles nawet chodził między warsztatami i przypatrywał się pracy ich ciekawie.

Rozmów przecież z współobywatelami i wodzami unikał starannie, rzadko się pokazując w miejscach ich zebrań; za to z Efialtesem i Anaksagorasem przebywał prawie ciągle. Ale i chłopcami swemi musiał się teraz Perykles osobiście i z większą bacznością zatrudnić. Mały Paralos był wątły i nie mógł wydołać wszystkim ćwiczeniom ciała w gimnazjonie. Ksantypos, przeciwnie, nad lata się rozwinął. Mocowanie się i bieganie do celu potężnie wzmacniały jego ciało. Owszem, przeniknęły i do duszy jego. Gdzie szło o bitkę i dziką swawolę, tam był on pierwszy, wszystko rzucał a biegł gdzie tylko rozruch jaki, jaką awanturę posłyszał. Ta gwałtowność charakteru sprowadziła na niego nieraz przyganę nauczycieli. Od niedawna wszakże, ponieważ chciał koniecznie sztukę jakąś przyswoić so-

bie, a do poezji i do muzyki najmniejszej nie okazywał zdolności, uczęszczać zaczął Ksantypos do szkoły rzeźbiarza ateńskiego Fidjasza. Miało to być tymczasem na próbę tylko. Sławny mistrz dłuta zapowiedział mu odrazu przy pierwszym wstępie do szkoły, że zatrzyma go tylko w takim razie, gdy w nim prawdziwy talent odkryje. Gdyż uczniów miał aż nazbyt wielu, a nie rad był, aby z pod jego ręki wychodziły mierności, bo te tylko zakałę sztuce przynieść mogą.

Ksantypos nie miał silnej ambicji by artystą zostać. Chciał on tylko w gimnazjum współuczniom swoim imponować tem, że do szkoły Fidjasza uczęszcza. Jakoż chełpił się tem nieznośnie i za każdem słowem, to tylko pokrywając milczeniem, że przyjęcie do szkoły zawdzięcza przyjaźni Fidjasza z ojcem swoim.

Ale że w chłopcu prócz tej chełpliwości i chciwość także grała dużą rolę, nie zapomniał on tedy o owych podarkach, których od wzbogaconego dziedzictwem po matce Kalljasa, oczekiwał. Upatrzył sobie więc jakieś wolne popołudnie, a widząc, że ojciec do Anaksagorasa poszedł, chyłkiem wybiegł z domu.

Kalljas, który za gotowiznę zostawioną po matce kupił świetnie z wielkiem zbytkiem i przepychem urządzony dom, sprzedał jeszcze odziedziczone po niej ziemie, a znaczny, osiągnięty ze sprzedaży tej kapitał obracał na utrzymanie tego domu; prowadził życie nietylko pańskie lecz wprost marnotrawne. Otoczony wielkim dworem sług i niewolników, zaczął wydawać biesiady, na które hurmem zbiegali się pochlebcy, pieczeniarze i smakosze. Ale jeśli gościom przypadały do smaku wykwintne kąski i wyborne wina, gospodarzowi młodemu smakowały niemniej zręczne pochwały i pochlebne słówka. Amfitrjonował tedy całej zgrai

próżniaków i smakołyków, a muzyka i biesiady niemal że nie ustawały w domu.

Ksantypos tym razem, ku wielkiemu swemu żalowi, nie zastał przyrodniego brata. Zaledwie jednak wyszedł, gdy się z nim przypadkowo na ulicy spotkał.

Wielka uniżoność, jaką chłopak na rachunek spodziewanych korzyści okazywał równie próżnemu jak bogatemu młokosowi, bardzo mile przez tegoż przyjmowaną była. I teraz witał Kalljas chłopca nader życzliwie. Nie miał wprawdzie w tej chwili czasu, aby się «kochanym Ksantypkiem» ucieszyć, gdyż jeszcze oto kilka wizytek przyjaciołom złożyć musi, ale jeżeli kochany Ksantypek chce, może w domu u niego poczekać, aż z tych wizyt wróci. Nie potrwa to długo.

Ksantypos przeciągnął twarz niechętnie.

— Nie?... No to i na to jest rada! Niech Ksantypek razem ze mną na wizyty idzie! Przyjaciele, których mam odwiedzić, ucieszą się z twego przybycia! — dodał Kalljas z chytrym uśmiechem.

Ujął chłopca za rękę i poszli.

Droga nie była daleka, zatrzymali się przed domem Cymona.

Ksantypos spojrzał na przyrodniego brata pytającym wzrokiem. Wiedział, że ojciec nie w najprzyjaźniejszych jest stosunkach z wodzem i z jego siostrą.

Ale właśnie cieszyło to Kalljasa. Pewnym był, że niczem nie sprawi ojczymowi takiej przykrości, jak wprowadzeniem Ksantyposa do domu Cymona i zapoznaniem go z Elpiniką.

Jakoż podstarzała arystokratka przyjęła syna swego przeciwnika w sposób najmilszy, «kochany Ksantypek» został ucałowany i uczęstowany mnóstwem sło-

dyczy, mnóstwem miłych słówek. Pochlebiło mu to niezmiernie, że tak go przyjmują gościnnie; z chęcią też udzielał Elpinice wyjaśnień na wszelkie jej podstępne pytania. Dowiedziała się ona z ust oszołomionego chłopaka o rozmowach z przyjaciółmi i o planach Peryklesa dużo więcej, niżeli się spodziewać śmiała.

Zręczna i chytra, widząc że z chłopca dobyła wszystko, co jej mogło służyć, zwróciła teraz rozmowę na świeży proces, który Menon, najstarszy z uczniów Fidjasza, przeciw Kalljasowi prowadził.

Zaraz z pierwszych słów poznała, że ani młody rzeźbiarz, ani też obrońca jego, Efialtes, nie cieszyli się łaską obu braci. Menon miał sobie przez Fidjasza polecony dozór w szkole nad młodym współuczniem. Zaraz też od pierwszego dnia posępny i zgryźliwy dozorca udzielił Ksantyposowi dotkliwych napomnień. A oto wczoraj znowu zapowiedział nietylko pozbawionemu wszelkiego talentu, ale i leniwemu chłopcu, że uprzedzi mistrza o jego nieudolności i próżniactwie, i postara się, aby go wydalono ze szkoły.

Zaciął zęby Ksantypos i namarszczył się, a do jego serca weszła nienawiść dla Menona.

Korzystając tedy z rozmowy o procesie, nie żałował chłopak ani gróźb, ani oskarżeń, pod adresem niecierpianego rzeźbiarza.

Bo proszę! Niechby tylko Menon naprawdę stołka mu przystawił i ze szkoły go wygryzł, biedny chłopiec musiałby znowu wracać do tego utrapionego Damona, gdzie ojciec próbował w poezji go ćwiczyć. A na samo wspomnienie Homera, którego całych pieśni trzeba się było u Damona wyuczać na pamięć, skóra cierpła na leniwcu.

Gniew Kalljasa był zwrócony tak samo przeciw Efialtesowi, jak przeciw Menonowi.

Chociaż bogatemu młokosowi nie brakło na niczem, obliczał on przecież, o ile to mógłby wspanialej jeszcze dom urządzić za przegrane w procesie dochody. W obronie Efialtesa widział osobistą niechęć i urazę; ani myśląc zresztą o tem, że tenże proces pozbawił samego obrońcę mienia, domu, ziemi, wszystkiego, co wobec dokumentów Menona uznał za nieprawnie przez siebie posiadane, że wszystko to oddał i sam został w nędzy.

— Prawdaż to, — zapytała Elpinika »kochanego Ksantypka« — to jest, czy kochany Ksantypek słyszał o tem, że przyjaciele i stronnicy Efialtesa chcą zebrać ze składek znaczną sumę i obdarzyć nią młodego prawnika.

»Kochany Ksantypek« słyszał o tem. Tak, mówiono o tem w domu.

Oznajmił nawet czatującej na wszelkie wieści z przeciwnego obozu damie, że od wielu już dni krążyła w demokratycznej partji lista składek, na którą przyjaciele ojca jego wpisywali wnoszone sumy. Podobno już coś około dziesięciu talentów zebrano.

Elpinika klasnęła w dłonie.

— Bogi! Jakaż to wysoka suma! Tyle pieniędzy[1]) danych człowiekowi, który sieje zgorszenie, który każdemu kamień pod nogi ciska, i który, wszak to wiadome rzeczy, nienawiścią ku arystokratom pała! Ha! komu takie podarunki jak z nieba spadają, ten może sobie pozwolić na przegrywanie własnego mienia w pro-

[1]) Subskrypcja na korzyść Efialtesa wynosiła przeszło 14.000 rubli złotem.

cesach prowadzonych przez siebie. Pewnie! Dobrze on to obliczyć musiał, nim odegrał tę sztukę szlachetnej bezinteresowności. Mądry to ptaszek!

Podstarzała elegantka umiała niechęć ku Menonowi w sercach obu braci do żywego ognia rozniecić. Oddawna była jej solą w oku przyjaźń, jaka łączyła Menona z Fidjaszem i Peryklesem.

Zjadliwa jej niechęć rozciągała się nawet na dzieła sztuki, wychodzące z pracowni sławnego artysty. Przypisywała ona tym kosztownym rzeźbom zły wpływ na lud ateński.

— Lud, dowodziła dama, przez codzienne przypatrywanie się takim zbytkom, przyzwyczaja się tylko do marnotrawstwa! Wiem ja dobrze, iż Perykles tajemnie wpływa na te coraz szaleńsze przedsięwzięcia Fidjasza. I teraz, pracują tam podobno nad nowym posągiem. Ma to być podobno bogini Athene.

Czy nie tak, »kochany Ksantypku«?

— Ksantypos skinął głową. Ciemny rumieniec gniewu buchnął mu na twarz.

— Fidjasz skończył już od tygodnia tę statuę — rzekł chłopiec, zgrzytnąwszy zębami — a wszyscy uczniowie szkoły dopuszczeni są do ustawiania powiększonego modelu, który ma potem być kuty w marmurze, wszyscy, tylko nie ja! Menon wyłączył mnie... Mnie jednego z wszystkich!

Urwała się rozmowa. Elpinika westchnęła z współczuciem i pogłaskawszy »słodkiego Ksantypka« po rozpalonej gniewem twarzy, zaprosiła obu braci do wspaniale urządzonego ogrodu i rozkazała niewolnicy przynieść tam amforę wina i kubki. Potem zerwawszy własną ręką najpiękniejsze owoce i podawszy je bra-

ciom na srebrnym półmisku, zapraszała ich do jedzenia i picia.

Greckie wina były ciężkie. Rzadko też pijano je bez wody. Elpinika wszakże podała je braciom bez tego koniecznego rozcieńczenia. Pili je tedy, aby się nie okazać niegrzecznymi.

Ksantypos po pierwszym kubku uczuł zawrót w głowie. At, nietylko zawrót w głowie, ale i żar gniewu, noszonego w piersiach, który Elpinika rozdmuchiwała jeszcze zręcznemi o Menonie słówkami. Słuchał jej chłopak z rozpaloną twarzą i coraz mętniejszym wzrokiem. Wreszcie Kalljas spostrzegł to i przestraszył się; powstawszy więc czemprędzej, pożegnał się i chłopca wyprowadził.

Elpinika towarzyszyła gościom swoim aż do bramy domu. A gdy zataczając się wyszli, patrzyła za niemi póty, póki jej nie zniknęli z oczu na zakręcie drogi do Akropolu wiodącej. Wtedy zły uśmiech rozszerzył jej spłowiałe wargi.

Świeży podmuch wieczoru orzeźwił gniew Ksantypa. Chętnie też przystał na zaproponowaną przez Kalljasa przechadzkę.

Kalljas był czegoś niespokojny. Chłopiec nie zwracał na to uwagi, nie patrzył nawet w stronę brata. Jakaś chęć wyuzdanej dzikiej swawoli rosła w nim w miarę, jak się oddalali od miasta. Chciałby się bić, zaciskał pięście i wyszczerzał zęby; ale droga do Akropolu wiodąca zupełnie w tej chwili była pusta. Rozkiełznanie ogarniało go z tem większą mocą.

Akropol dostępny był tylko od zachodniej strony. Skała wznosiła się tutaj lekko pochyłą płaszczyzną, która przecież nie na całym swym obszarze zaopatrzona była w stopnie. Paradne schody wyciosane

były po obu jej bokach, a środkiem szła gładko wyrównana droga, która służyła do uroczystych kapłańskich pochodów. Na szczycie Akropolu wznosiła się majestatyczna statuta, dzieło Fidjasza, patronka miasta »Atene«. Całe to olbrzymie dzieło było odlane z bronzu. Hełm i lanca bogini bodły modre powietrze wysoko, wysoko nad miastem. Cudzoziemcy, którzy do Aten na okrętach przybywali, twierdzili, że złoty grot tej lancy iskrzył się na horyzoncie, już z Sunion na morzu widziany.

Od dłuższego już czasu prowadzono tu roboty około ostatecznego wykończenia tej olbrzymiej statui. Tuż nad stromą ścianą skalną, od wschodniej Akropolu strony, stały budy i szałasy z warsztatami rzeźbiarskiemi i kamieniarskiemi. Każda część posągu była wykonaną w osobnym namiocie. Tu głowa bogini, tam palma, którą w drugiej ręce trzymać miała, indziej wspaniały tors, brały ostatnie uderzenia dłuta. W naczelnym namiocie, pod wodzą Menona, już w ogólnych zarysach przygotowany stał powiększony znacznie, gliniany model posągu.

Ksantypos pociągnął Kalljasa do wnętrza tego namiotu, aby mu ów model pokazać.

Weszli i ściągnęli płótna. Słońce nizko już nad ziemią świecąc, rzucało głębokie cienie. W tym półzmierzchu, większy od naturalnej wielkości, a dziesięćkrotnie mający być jeszcze powiększonym, posąg wydawał się być jakby cieniem żywej istoty, na gasnące niebo rzuconym. Stał on wysunięty na ostatni kraniec platformy, podparty deskami i belkami, chciano bowiem przy tworzeniu konturów, czysty widnokrąg mieć za tło jedyne.

Surowe oczy bogini patrzyły teraz na obu chłop-

ców, jakby oczy wywołanego z za świata widma. Kalljas po prostu nie mógł spojrzenia tego wytrzymać. Dreszcz przebiegł mu ciało. Chciał przemówić dla dodania sobie animuszu, ale z gardła wyszedł mu tylko szept przerywany. Ksantypos patrzał w twarz bogini z nienawistnym wzrokiem. Wtedy rzekł starszy przytłumionym głosem:

— To więc jest to dzieło, od którego odsądził cię Menon?

Coś szyderczego było w jego syczącym głosie, który jednak drżał lekko, jak gdyby na zimnie.

— I nie bierze cię chęć zemścić się za taką zniewagę?... Bo Menon znieważył cię! Wiesz?...

Ksantypos drgnął, jakby ze snu zbudzony. Fala krwi uderzyła mu do głowy. Te podburzające rozmowy, ta złość, jaką od dłuższego czasu pałał przeciw Menonowi, to wino ciężkie, które mu odejmowało przytomność, wszystko to buchnęło w nim nagle płomieniem dzikiej wściekłości.

— Tłuc!... bić!... — zawołał chrypliwie. — Rozbić to chciałbym!

I wyciągnął zaciśnięte pięści.

— A któż ci broni? — zapytał śmiejąc się szyderczo Kalljas, którego wszakże cichy i prawie boski wzrok tej przecudnej twarzy tak mieszał, że oczy w ziemię trzymał wbite.

— Kto ci broni? — powtórzył.

Ksantypos wyciągnął szyję i wytrzeszczył oczy. Nie wiedział sam, jak się znalazł na rusztowaniu z desek, na którem umieszczono statuę.

Dotknął jej ręką, uczuł, że się chwiała nieco.

— Pchnij, a dobrze! — szepnął mu w same ucho świszczący głos Kalljasa. — Niech twój wstyd, twoja

krzywda razem z tą gliną rozleci się u stóp Akropolu...

Ksantypos z wściekłością zatrząsł najbliższemi deskami.

— Mocniej! — krzyknął mu w uszy zachrypły głos Kalljasa. Ateńczycy będą myśleć, że sama bogini zniszczyła to dzieło, wzniesione niemiłemi jej rękami. Zobaczysz, jak na tem wyjdzie Menon... Zobaczysz!... A może się boisz Menona?...

— Ha!... — krzyknął chłopak, a w tejże samej chwili zniknął cień, zaciemniający otwartą ścianę namiotu.

Kalljas wydał okrzyk tryumfu.

Jak wichrem zmieciony runął posąg w przepaść z Akropolu.

Ksantypos stał z wyciągniętemi rękami i z nabrzmiałą twarzą. Wzrok miał nieprzytomnie utkwiony w puste miejsce, na którem stała bogini. Teraz dopiero zauważył, że powierzchnia tego miejsca lekko się ku przodowi wznosiła. I w nagłym powrocie do świadomości zrozumiał, że statua, na tym nierównym gruncie podparta deskami, za najlżejszem wstrząśnieniem runąć musiała. A w powietrzu słychać było toczenie się kamieni, gruzu, odłamów skalnych, huk i łoskot lecącej, ciężkiej masy.

Skurczeni skryli się teraz obaj bracia w namiocie i śmiertelnie bladzi parzyli jeden na drugiego. Po ogromnym huku i trzasku nastała cisza śmiertelna.

Nagle zerwał się Kalljas i zwyciągniętemi przed siebie rękami rzucił się do wyjścia. Strach, zgroza, przerażenie, gnały go jak biczem. Ksantypos chciał biedz za starszym bratem, ale nogi jego ociężały, jakby w ziemię wrosły. Kalljas biegnąc, w zapamiętaniu ze-

rwał płótno zasłaniające wejście do namiotu, przebiegł jak szalony platformę i rzucił się na zachodnią spadzistość skalistego wzgórza. Ksantypos padł na ziemię.

Jęk straszny rozdarł pierś jego dziecinną. Podniósł głowę i patrzył przejęty zgrozą na uciekającego Kalljasa.

A wtem dały się słyszeć śpieszące kroki; ktoś wszedł.

Przerażony śmiertelnie chłopiec, chciał się zerwać i uciekać z tego strasznego miejsca winy. W skroniach biła mu krew jak młotem, powietrze zdawało się wirować w jego oczach wielkiemi czarnemi płatami.

Nagle krzyk dziki wyrwał mu się z gardła. U wejścia namiotu stał Efialtes. Stał i szeroko otwartą źrenicą wodził po pustem wnętrzu. Nagle brew ściągnął.

— Nędzniku! — przemówił surowym głosem. Tyżeś to, Ksantypos, syn Peryklesa?

Jęk przeciągły był jedyną odpowiedzią chłopca.

— A któż jest wspólnikiem twoim?

— Kalljas! Mój brat! — wybuchnął płaczem winowajca. I składając błagalnie ręce, wołał.

— Miej litość Efialtesie! Zaklinam cię! Nie wydaj nas!... Zaklinam cię! Na imię ojca cię zaklinam!

Długo patrzył Efialtes na drżącą postać wyrostka. Gniew, litość, wzgarda, walczyły z sobą na jego wyrazistej twarzy.

Aż dobyło się z piersi jego głębokie westchnienie.

— Na imię ojca twego... — przemówił półgłosem, i trzęsąc głową, dodał.

— O biedny ty, biedny Peryklesie!

— Będziesz milczał?... Nie wydasz? — wołał trzęsąc się Ksantypos.

A gdy Efialtes odpowiedzi nie dawał, tylko z głębokim żalem patrzył w ziemię, padł mu chłopak do nóg i głośno płacząc, po rękę jego sięgał.

Efialtes odepchnął od siebie ze wzgardą małego zbrodniarza.

IV.

Jonka.

Tylko co zabłysnął słoneczny promienisty ranek. W porcie Pireus wszakże był już ruch niezwykły. Mnóstwo ludzi dążyło z miasta pieszo, konno, na wozach, do wielkiej tamy i do obszernych doków portowych. Tłum tragarzy dźwigał przeróżne ciężary; na wózkach zaprzężonych w małe koniki lub w osły, prowadzili obok idący poganiacze warzywa, drób i owoce do miasta; płaskorogie woły z grubemi karkami ciągnęły mozolnie długie szeregi ciężkich wozów, naładowanych budulcem i kamieniami, z których stawiano mnóstwo nowych domów, Ateny bowiem zabudowywały się coraz więcej.

Naraz w tym ożywionym obrazie zawrzał ruch jeszcze większy. Zakołysała się ciżba i całą masą poniosła w stronę wewnętrzną portu zatoki Pireus ku tak zwanemu Emporionowi.

Emporion przeznaczony był wyłącznie dla floty handlowej. Do obszernej zatoki, okolonej mnóstwem magazynów i składów, prowadziła z pełnego morza wązka szyja, zaledwie siedemset stóp mieć mogąca, którą łatwo było w razie niebezpieczeństwa zamknąć tamą lub łańcuchami.

Właśnie jakiś obcy statek wpłynął do zatoki. Ateńczycy, którzy jako urodzeni żeglarze wybornie znali się na właściwościach budowy przeróżnych okrętów, spostrzegli zaraz, że statek był jońskim okrętem kupieckim. Tuż u miejsca lądowania statków, w tłumie oczekującym obcych, znajdowali się także Anaksagoras z Peryklesem, widocznie również kogoś wyglądający. Stary filozof był niezwykle dzisiaj ożywionym, przepychał się w tłoku, póki nie stanął u samego brzegu i zasłaniając od blasku słońca oczy, pilnie się w pokład okrętu wpatrywał.

— Ona musi tu być — mruczał sam do siebie.

— Jest! jest! — wykrzyknął nagle, wskazując Peryklesowi smukłą, wysoką postać niewieścią, której wzrok zadziwiony błądził po ożywionym krajobrazie wybrzeża.

Marynarze rzucili się teraz po sznurowych drabinach do czółen, podpływających z brzega ku statkowi. Jedni zarzucali kotwicę, drudzy przyciągali silnie sznury drabin ku czółnom, mającym zabierać podróżnych. Z błyskawiczną też szybkością wsuwali się w nie, pomagając schodzić pasażerom. Poważni kupcy przezornie stąpali po ruchomej, lubo wyprężonej drabinie; najtrwożliwszemi okazywały się kobiety, których kilka do Aten na statku przybyło.

Tylko wskazana przez Anaksagorasa, pięknością i obcym strojem wyróżniająca się postać niewieścia, z wdziękiem i swobodą wstąpiła na niebezpiecznie chwiejące się stopnie.

Zaledwie czółno przybiło do brzegu, kiedy tłum krewnych i przyjaciół otoczywszy przybyszów, witał ich z wrzawą właściwą południowcom.

Anaksagoras promieniejący radością, zbliżył się do młodej cudzoziemki.

— Aspazjo! — wykrzyknął — witaj na ateńskiej ziemi!

Przybyła uścisnęła serdecznie rękę starca.

Ale ten niecierpliwie wskazywał jej stojącego obok Peryklesa.

— Oto mój najlepszy uczeń i przyjaciel! Gorący czciciel nauki i sztuki! — rzekł z rozpromienioną twarzą.

Aspazja spojrzała w oczy Peryklesa ze spokojną swobodą.

— I ja cię witam w Atenach Aspazjo! — rzekł Perykles prosto i serdecznie. — Zaszczyt to dla mego ojczystego miasta, że nawet kobiety nie lękają się burzliwego morza, aby tylko do Aten przybyć i podziwiać w nich skarby naszej sztuki!...

Aspazja uśmiechem odpowiedziawszy tylko na te słowa Peryklesa, obejrzała się po za siebie. Podróż do Aten odbyła ona razem ze swoim blizkim krewnym, budowniczym Hipodamosem i z jego małżonką. Przedstawiła tedy opiekuna swego i towarzyszkę obu Ateńczykom.

— Do Aten — mówiła teraz spokojnym, nizkim głosem — pociągnął ją ten sam popęd duszy, który niegdyś i filozofa Anaksagorasa z jego jońskiej ojczyzny tu uniósł, to samo wewnętrzne poczucie, że Ateny są ogniskiem duchowego życia Hellady.

Jakoż istotnie, między Atenami a Miletem oddawna już wytworzyły się bardzo ożywione stosunki. Szczególniej Anaksagoras, pchany żądzą wiedzy i z tego powodu od wielu już lat mieszkający w Atenach, był żywym łącznikiem pomiędzy swoją dawną a nową ojczyzną. Owszem, sam nieraz puszczał się z Aten do

...Aspazjo! — wykrzyknął Anaksagoras — witaj na Ateńskiej ziemi! (Str. 62).

Miletu, tak jak pszczoła obciążona miodem z łąk pełnych kwiecia, do macierzystego ula się puszcza, aby tam dorobku słodyczy przymnożyć. I właśnie w jednej z takich niedawno przedsięwziętych podróży, poznał był sędziwy filozof Aspazję.

Aspazja była córką Aksjachosa, wolnomyślnego męża, który za młodych jeszcze lat wygnany z Aten, założywszy w Milecie gniazdo rodzinne, przed niedawnym czasem osierocił córkę, aby pójść w krainę cieniów za wcześnie straconą, ukochaną małżonką swoją.

Kobiety jońskie wielce się od Atenek różniły. Nie zajmowały one przedewszystkiem tego podrzędnego stanowiska w domu, które niewiastę ateńską czyniło obcą życiu umysłowemu mężów.

Wcześnie też poznała Aspazja wielkich myślicieli i poetów greckich. Owszem, ona jedna z pierwszych przyswoiła sobie filozofję Anaksagorasa, z ogromnem zamiłowaniem śledząc rozwój jego systemu poznawania przyrody. Nowe dzieło filozofji jego: »O Naturze« wzmogło jeszcze w żądnym wiedzy umyśle młodej jonki, pragnienie przeniknięcia jej dziwów. I oto przybywała, aby i świadkiem być sławy uczonego i z nauk jego korzystać.

Gdy wracali od portu, Perykles wdał się zaraz w obszerną rozmowę z młodą, tak niezwykle wykształconą kobietą.

Zdmumiewało go jej oczytanie, jasność sądów i ujmująca prostota słowa. Nie miał pojęcia aby duch kobiecy mógł się wznieść tak wysoko po nad tępość zmysłową większości znanych mu Atenek.

— I nie lękałaś się, Aspazjo, — tak kończył rozmowę swoją — porzucić domowe ognisko, i tutaj, w od-

daleniu od ojczystego miasta, powierzyć los swój niepewnej przyszłości?

— O! z Miletu corocznie przybywa wiele kobiet do Aten, choćby na czas krótki, odrzekła Aspazja. Czegoż więc miałabym się lękać i Ateny za obce sobie uważać?... Owszem! Ogromnie porywa mnie myśl, żeby zostać uczenicą Anaksagorasa i pierwszą rozkrzewicielką jego filozofji.

Zdumiał się Perykles tą odwagą i stałością charakteru.

— Pomyśl wszakże, Aspazjo — rzekł jeszcze — iż życie kobiet w Atenach ma nader szczupłe granice.

Z uśmiechem potrząsnęła Aspazja swoją piękną głową.

— Ale ja — odparła — ja jestem wychowana w jońskim obyczaju, w swobodniejszych i szerszych pojęciach! Nie mam też wcale zamiaru zasiąść u kołowrotka i u krosen razem z Atenkami. Ja pragnę duchowego, umysłowego obcowania z uczonymi mężami Aten!

— A jeśli cię sądzić będą ujemnie z tego powodu? — zapytał Perykles.

Aspazja podniosła na mówiącego zdziwione spojrzenie swoich wielkich oczu. Ale wnet rozjaśniły się jej źrenice i patrząc w promienistą jasność porannego błękitu, rzekła:

— Kto mnie zna, nie będzie mnie źle sądził; kto zaś mnie nie zna, ten nie ma żadnego prawa sądu o mnie wydawać!.

Wtem zbliżyli się do miasta. Małżonka Hipodamosa zajęła miejsce w lektyce, której tagarzy czekających przy drodze, Perykles przywołał. Wskazał im dom, który dniem przedtem wynajął Anaksagoras dla swych

współobywateli od pewnego kupca, spędzającego większą część roku na swoich okrętach krzyżujących się ciągle po morzu Śródziemnem.

Hipodamos, mały człowieczek, z bardzo mądrą twarzą, przyglądał się bacznie budowlom portowego przedmieścia. Miał on w Milecie sławę tęgiego w swoim fachu męża. Co większa, nie zasypiał na laurach. Ciągle się czegoś uczył, ciągle pracował myślą. I teraz z wielką żywością wypytywał Anaksagorasa o różne rzeczy, podczas gdy Perykles towarzyszył Aspazji.

Tak idąc w ożywionej rozmowie, nie czuli zmęczenia. Owszem różne osobliwości spotykane na portowej drodze wyrywały Aspazji okrzyki podziwu. Oczy jej przecież zwracały się raz wraz do widniejącego zdala Akropolu. Nagle wskazała, śmiejąc się, na gromadkę mułów, worków i poganiaczy. Obok obładowanych workami i koszami zwierząt, postępował luzem stary wysłużony posiwiały osieł, bez juków i bez zaprzęgu.

— Nie jest że to przypadkiem ów sławny »Nono« pedagogiem osłów zwany, którego imię i rozgłos aż do Miletu przeniknęły?

Perykles rozśmiał się także.

— Nie inczej! To właśnie jest »Nono«, któremu Ateny chleb łaskawy dają, a który przecież nie chce go jeść darmo, ale na ochotnika przy obciążonych towarzyszach drepce dzień cały, jakby im dodawał otuchy!

Rozmawiając coraz o czemś nowem, w półtory godziny doszli, minąwszy wzgórek Aresu, do targu ceramik »kerameikos« zwanego.

Ten targ był zarazem rynkiem miasta, placem pu-

blicznych zebrań, sercem Attyki i pulsem ateńskiego życia.

Perykles wskazywał teraz żywo zajętej nowemi widokami Jonce, ważniejsze gmachy i ich przeznaczenie.

Po zachodniej stronie rynku wznosiły się: ratusz, świątynia Apollina, tudzież królewska galerja, tak zwana »dwunastu bogów«. Oczy Aspazji ciekawie spoglądały na te gmachy i długie rzędy kramnic, w których sprzedawano tkaniny, na budy jubilerskie i stoły wekslarzy. Perykles objaśniał towarzyszce swojej cel tych małych banków. Na rynek ateński płynęły tłumy ze wszystkich krain greckich, z całego cywilizowanego świata, a z tłumami cudzoziemców płynęły także i monety obce. Wekslarze przeto mieli się tu dobrze, mieniając obcokrajowe pieniądze na greckie miny i drachmy.

W południowo wschodnim kierunku od rynku, wznosiło się prastare wzgórze Areopagu z świątynią »Erynji«; podczas kiedy na południo-zachodzie magicznym niemal urokiem nęcił oczy »Akropol«.

Upojona wrażeniami, które tak tłumnie w dniu tym ją obległy, zapragnęła wreszcie Aspazja spokoju. Pożegnała się tedy w swój ujmujący, serdeczny i swobodny sposób z Peryklesem, a do Anaksagorasa, który jej słodkiego wypoczynku na nowem pomieszkaniu życzył, rzekła.

— Nie dajże, drogi mistrzu, długo na siebie czekać! Chciej przekonać się o postępach najmłodszej uczenicy twojej! Ufam, że potrafimy sobie stworzyć miłe koło, złożone z tych wszystkich, którzy naukę i sztukę wielbią, a serce mają dla cnoty otwarte! Do zobaczenia tedy! — dodała zwracając się także i do Peryklesa.

Ten patrzył za nią dziwnie wzruszony, wreszcie ścisnął rękę starego swego nauczyciela i rzekł.

— Dziękuję ci, Anaksagorasie, żeś mnie z tą kobietą zapoznał. Aspazja musi pochodzić ze szlachetnego rodu. Wskazuje to jej wytworność i jej piękne wychowanie. Jakże daleką jest ona od tego wymuszenia i przesady, które nasze Atenki tak niesmacznemi czynią. W niej wszystko jest swobodą. Piękna i rozumna, z wdziękiem niewieścim łączy Aspazja duchowe przymioty ukształconego i utalentowanego męża. Zaprawdę szczególna kobieta!

Stary filozof szedł ze spuszczoną głową, uśmiechając się i zacierając ręce. Nazajutrz wieczorem udali się obaj, aby zapytać o zdrowie jońskich przybyszów. Hipodamos serdecznie ich przyjął. W niepozornym tym człowieku odkrył Perykles niepoślenie rozumienie sztuki i prawdziwy talent budowniczy.

Z biegiem czasu, odwiedziny obu przyjaciół stały się częstemi, tak, że w gościnnych Hipodamosa progach nie uważano ich za obcych. Wkrótce w domu tym wytworzyło się koło znajomych z najbardziej szanowanych i z najznakomitszych mężów ateńskich, dla których rozmowa z wysoko ukształconą, a piękną i skromną kobietą, miała niezwykły urok.

Jeden z młodszych uczniów Anaksagorasa, w nader nędznych warunkach żyjący, Sokrates, przypuszczony był także do owych towarzyskich wieczorów, równie jak sławny dramaturg Eschylos, oraz Fidjasz i inni zdolniejsi z jego wielkiej szkoły.

Każdy z tych mężów, który się do Aspazji zbliżył, był oczarowany wyjątkowem bogactwem jej umysłu. Była ona teraz duszą filozoficznych rozpraw, w których brały udział umysły starsze i młodsze, dojrzalsi i mniej dojrzali w nauce.

Skoro tylko Atenki dowiedziały się o tych zebra-

niach, natychmiast zaczęło się kiwanie głowami. Jedne trzęsły głową litościwie i pobożnie, inne szyderczo i uszczypliwie, jeszcze inne z podziwem i zgrozą nad nowym zgoła obyczajem.

Pierwsze głosy niechęci przeciw owym zebraniom u Hipodamosa wyszły od tych, które miały chęć wziąć w nich udział z ciekawości; te zaproszone nie były. Oprócz bowiem gospodyni domu i żony Meniposa, ateńskiego strategi, które należały tych do uczonych, a tak pociągających zebrań, inne kobiety wyłączone były z tych zresztą dla nich nieprzystępnych rozmów Aspazji z uczonymi mężami. Właściwie też przedmiot tych rozpraw nie zajmował dam ateńskich wcale. Chciały tylko wiedzieć, jak się »Jonka« ubiera, z kim mówi i co się tam dzieje. Byłby to rzecz prosta, nieoszacowany materjał do snucia plotek z sąsiadkami; co gdy się nie powiodło, cała niechęć zwróciła się ku »cudzoziemce«, którą okrzyczano za pozbawioną wszelkich dobrych manjer i nieznośnie zarozumiałą, a przedewszystkiem osobą, gardzącą obyczajem domowym.

Niezawodnie, wniosła z sobą Aspazja do Aten dużo wolnomyślności. Jakiś świeży powiew od jońskich brzegów zapachniał wiosną z jej przybyciem. Przywykła do swobody zwyczajów ojczystego miasta, do towarzyskiego obcowania płci obu, nie uważała za właściwe i tutaj zamykać się w obrębie niewieściej komnaty. Widywano ją na ulicach Aten, piękną i wyniosłą, w towarzystwie artystów i uczonych mężów, przechadzającą się z taką swobodą i spokojem, jakby po własnym chodziła ogrodzie, a tak zatopioną w rozmowie, że nie spostrzegała nawet złośliwych spojrzeń, rzucanych jej przez kobiety ateńskie, prześlizgujące się chyłkiem i z zakrytą twarzą.

Co tylko żyło życiem ducha, życiem myśli, życiem sztuki, to wszystko cisnęło się do tego pięknego, tak niezwykłą wyższością umysłową obdarzonego niewieściego zjawiska. Nawet mężowie stanu znajdowali rozkosz, słuchając, z jaką znajomością politycznych wypadków, wyrażała trafne swoje zdania.

Na równi z innymi był i Efialtes pełen uwielbienia dla szlachetnej Jonki. Od pewnego wszakże czasu uważano w nim jakieś przygnębienie. Szczególniej z jakimś trwożliwym przymusem omijał dom Peryklesa, lubo działo mu się teraz coraz gorzej, a przyjaźni zapewne potrzebował obecnie więcej, niźli kiedykolwiek. Wiedzieli o tem ludzie i tym większym dziwem zaskoczyła ich odmowa Efialtesa, która spotkała ofiarujących mu ową sumę składkową.

— Przyjęcie tych pieniędzy — mówił Efialtes delegatom przybyłym z ową składką — mogło by mnie postawić w dwojakiem, zarówno nie pożądanem położeniu. Jako prawnik musiałbym mieć dla was albo względy wdzięczności z uszczerbkiem prawa, albo też wykonaniem prawa, musiałbym przynosić uszczerbek wdzięczności.

Musiało wreszcie z biegiem czasu zastanowić to nic nie przeczuwającego dotąd Peryklesa, że Efialtes unika właśnie tych zebrań wieczornych, które się dla odmiany w jego odbywały domu.

Spostrzegłszy to, zaczął Perykles dowiadywać się przyczyny tej nagłej zmiany w przyjacielu. Ale Efialtes dawał tylko wymijające odpowiedzi. Jedyną wszakże przyczyną było owo wiadome nam zajście na Akropolu.

Efialtesowi, który na samotnej przechadce stał się mimowolnie świadkiem popełnionego tam haniebnego przestępstwa, zbyt ciężko było spotkać się z Ksanty-

posem w domu jego ojca. Gorący miłośnik prawdy, czuł on, że nazbyt trudno byłoby mu milczeć; z drugiej zaś strony pragnął oszczędzić przyjacielowi goryczy poznania, do jakiego stopnia syn jego był zepsutym. Wolał tedy unikać ciągle jeszcze wzmagającego w nim przykrego oburzenia przeciw chłopcu.

Ale i Ksantypos spostrzegł z przerażeniem, że całe grono ich znajomych zwraca uwagę na zmianę w postępowaniu młodego prawnika. Myśl, że wszystko tym sposobem wydać się może, męczyła go nieustannie.

Na szczęście przestępstwo jego nie zostało na razie odkrytem. Fidjasz widział upadek posągu tylko w złem ustawieniu go; przypisano winę nie dość dbałej budowie rusztowania i nie wdając się w długie wywody, zabrano się powtórnie do roboty.

Tym sposobem obaj bracia uszli strasznej odpowiedzialności. Gdyby bowiem odkryto, że rozbicie posągu bogini było dziełem nie przypadku, lecz złośliwego zuchwalstwa, kapłani byliby nigdy podobnego czynu nie zostawili bezkarnie.

Tem więcej drżał teraz Ksantypos, aby z powodu owych częstych uwag nad postępowaniem Efialtesa, wszystko to się jeszcze nie wydało. Wykradał się on nieraz do Kalljasa, aby go się radzić i niepokojów swoich mu udzielać. Kalljas wszakże od owego wypadku ochłódł znacznie dla małego wspólnika. Obaw jego słuchał obojętnie, rad udzielać nie chciał, owszem, nieraz Ksantypa ode drzwi odźwiernemu odprawić kazał, pod pozorem, że go nie ma w domu, lubo chłopiec wybornie słyszał flecistów, którzy Kalljasowi i gościom jego przygrywali u stołu.

W rosnącym niepokoju, nie mając z kim pomówić o jedynym przedmiocie wszystkich swoich myśli,

zdecydował się wreszcie Ksantypos zwierzyć się tak przyjaznej sobie, jak mu się zdawało, i tak doświadczonej damie, Elpinice, siostrze Cymona. Elpinika udała zdumioną. Owszem, twarz jej przybrała wprost maskę przerażenia i wstrętu, tak właśnie, jakby mały świętokradca wzbudzał w niej najwyższą zgrozę.

Ksantypos zbyt mało był świadom wybiegów, aby się na tej grze arystokratki miał poznać. Z rozmowy z wykrygowaną damą wynikło wreszcie to, że Ksantypos miał wprost do Efialtesa się udać i żądać od niego, aby obecne swoje zachowanie się względem domu Peryklesa zmienił i uczęszczał do niego jak dawniej. Na wypadek zaś gdyby Efialtes się wzbraniał, miał Ksantypos w ręku broń przeciw niemu, której mu udzieliła podstępnie Elpinika, miał mu czem za jej poradą zagrozić. To mu dodawało odwagi.

Młody trybun zamieszkiwał teraz mały ubogi domek, a całe jego nędzne gospodarstwo prowadził jeden tylko niewolnik.

Ksantypos kazał mu się oznajmić i stanął śmiało przed Efialtesem, który raczej z zadziwieniem, niż z niechęcią patrzył na swojego gościa.

W krótkich i szorstkich słowach wyłuszczył syn Peryklesa powód swego przybycia i żądanie swoje.

Efialtes był wzburzony.

— Jakto! — wykrzyknął — To zamiast na kolanach dziękować mi za milczenie, które na Zeusa, dosyć mi już cięży, ty śmiesz stawać przedemną z podniesionem czołem i przemawiać jak pan do swego sługi?...

Jakto! — powtórzył — Ja, com zawsze obowiązek uznawał za najwyższe prawo i ani błaganiem, ani

groźbą nie dałem się z drogi powinności zwrócić, ja będę tu dziś od ciebie, chłystku, rozkazy przyjmował?...

Przystąpił teraz tak blizko do chłopca, że oburzony wzrok jego zdawał się sypać iskry w twarz przestępcy.

Ale Ksantypos nie cofnął się przed nim. I jemu wzrok gorzał nienawiścią dla mimowolnego świadka swego złego czynu.

Efialtes mówił dalej:

— Jeżelim dotąd milczał, to nie przez wzgląd na ciebie, ty nikczemny chłopcze! to nie dlatego, żeby ci oszczędzić zasłużonej kary! Milczałem przez wzgląd na twego szlachetnego ojca!

— Dobrze! — zakrzyknął Ksantypos. — Ale twoje milczenie jest tego rodzaju, że mnie zdradzić może! Powiedz lepiej otwarcie, co zamierzasz czynić?

Efialtes wyprostował swą wyniosłą postać, uderzył surowym wzrokiem w chłopca i rzekł:

— Obowiązek!

Ksantypos rzucił ramionami.

— A jednak zaraz, tutaj, teraz, przysiądz mi musisz, że mnie nie zdradzisz nigdy! Bo jeśli nie, to ja zdradzę ciebie!

Młody prawnik spojrzał na niego z lekceważeniem.

— Cóż to ma znaczyć ta groźba? — zapytał.

Ksantypos wyciągnął szyję i szeptał z pośpiechem.

— Masz zamiar zrobić zamach stanu... Masz zamiar zburzyć Areopag. Masz zamiar tyranję ustanowić w mieście. Czy dość?... Ależ na Zeusa! jak mówisz, jednej z tych zbrodni byłoby dość, abyś śmierć po-

niósł jako zdrajca kraju! I poniesiesz ją, gdy ja zechcę oskarzyć ciebie!

Efialtes przerażony cofnął się w pierwszej chwili, od stojącego przed nim z groźnie wyciągniętym palcem Ksantyposa. Przecież natychmiast krew zimną odzyskał.

— Czyń, co uznajesz za słuszne, Ksantyposie — rzekł. — Ale pamiętaj, że ten, dla którego życie swoje ważę, twoim jest ojcem! Przyszłość należy do szlachetnego i zacnego Peryklesa. A ten, kto plany jego przed czasem zdradzi, jest nikczemnik i zbrodzień!

Wyciągnął rękę ku drzwiom ruchem rozkazującym.

— Idź! — rzekł zimno i z pogardą.

Zaledwie wszakże chłopiec dom opuścił, kiedy Anaksagoras wszedł do komnaty w najwyższem wzburzeniu.

— Co się stało? — zawołał Efialtes, spostrzegłszy starego filozofa. — Na Zeusa! Drżysz cały!

Anaksagoras odetchnął głęboko.

— Słyszysz tę wrzawę, jaka od portu w miasto bije?... Całe Ateny w ruchu! Gniew i wściekłość wypędziła za próg wszystkich obywateli.

Efialtes nasłuchiwał z przestrachem. Tak! jakaś straszna burza wrzała tam w oddali.

— Słyszysz? — mówił starzec. — To flota Cymona wróciła. To Cymona flotę witają Ateny. Ale nie są to okrzyki tryumfu, jak po wojnie z Persami. Nie! To są okrzyki wściekłości. Sparta zgotowała największą hańbę wojskom naszym! Sparta — naszą pomocą wzgardziła! naszych wojsk nie przyjęła i kazała im do domu wrócić! Wzgardzeni jesteśmy, jesteśmy shańbieni!

— Ale — dodał trąc łyse czoło — jedno mi siły dodaje, Cymon zachwiany!

— A z Cymonem arystokracja! — rzekł Efialtes. I głęboko odetchnąwszy, szepnął:

— W samą porę!

V.

Bohater dnia.

Ulice napełniły się gwarnym tłumem ludu. Największa przecież ciżba otaczała wzgórze Pnyksu. Dokoła mównicy cisnęli się obywatele Aten, krzycząc groźnie. Wzgardliwą odprawę Sparty przyjęto z najwyższem rozgoryczeniem. Wzburzyła ona umysły i rozbudziła drzemiącą niechęć w masach. Pocóż więc Sparta słała poselstwo o pomoc do Aten?

Ateńczykowie znali sztukę oblężniczą i o wiele doskonalsi w niej byli niżeli Spartanie. Tak mówił w słowach pochlebnych poseł Sparty, Rezakes, i dlatego to dotknięte buntem Helotów miasto, błagało o posiłki wojenne.

Zaledwie wszakże Sparta je otrzymała, gdy nagle zrodziło się u jej wodzów podejrzenie, że aljans ich z Atenami niepewny; że owszem, tacy pomocnicy są wprost niebezpieczni, gdyż mogą korzystać ze sposobności i połączyć się z buntownikami przeciw samej Sparcie.

Cały szereg drobnych nieporozumień utrzymywał Spartę w tem podejrzeniu. Wietrzono teraz na każdym kroku wowo spiknięcie się pomocników z buntem. Wreszcie obawa i nieufność wzrosły tak dalece, iż Spartanie

postanowili pozbyć się jak najprędzej niewygodnych aljantów, którzy im zamiast pomocy, szkodę przynieść mogli.

Zostali tedy Hoplitanie Atyccy, sami jedni z pośród wojsk związkowych, oblegających na rzecz Sparty obóz Helotów w Itome, odwołani z pod murów twierdzy tej i odesłani pod pozorem, że siły oblężnicze i bez nich okazały się dostatecznemi.

Ta zniewaga wyrządzona Atenom wydała piorunujące skutki. Zaledwie wojsko Cymona wylądowało, kiedy wzburzone masy ludności podniosły niesłychanie gwałtowne wołanie o natychmiastową pomstę. Ledwo kilku rozważnym mężom powiodło się uspokoić rozniamiętnione tłumy. Lud bowiem tak się w gniewie swym zaślepił, że chciał się wprost rzucić na wracających z pod Itome żołnierzy, iż się tak upokorzyć i podeptać dali.

Rozgoryczenie i krzyk przeciw Sparcie bił teraz w niebo ze wszystkich ulic miasta. Płomień nienawiści objął serca obywateli nieugaszonym pożarem. Nigdy jeszcze zgromadzenie ludowe nie było tak liczne, jak dzisiaj. Tłumy ściągnęły się tak, że jabłko mógłby po głowach potoczyć, i to od siedzeń Archontów, aż do murów miejskich het — precz!

Najumiarkowaniej zachowało się otoczenie Peryklesa. Efialtes i ci wszyscy, których uważano za przywódców partji ludowej, odróżniali się owszem od burzliwej ciżby jakimś surowym spokojem. Przecież w obliczach tych mężów czytać było można niezłomne postanowienie. Że za haniebny koniec wyprawy całym swojem ostrzem należy zwrócić się przeciw Cymonowi, to było oczywistem. Cała gorycz przeciw Sparcie znalazła naturalne ujście w gwałtownem obwinieniu tego, kto

do tej zniewagi dopuścił. Owszem. Upadek tego bożyszcza Aten, który wczoraj jeszcze zdawał się być niemożliwym, dzisiaj uchodził w partji ludowej za konieczny i blizki.

Kiedy Cymon ukazał się na Pnyksie, głębokie złowróżbne milczenie zapanowało dokoła.

Cymon zajął miejsce na ławie strategów.

Natychmiast ogłoszono otwarcie ludowego wiecu. Wśród przyjaznych okrzyków, wywołujących imię Efialtesa, młody trybyn powstał, by, jak tego właśnie oczekiwano, wnieść oskarzenie przeciw Cymonowi.

— Ateńczycy! — rzekł prawnik. — Aż do dnia dzisiejszego szliście ślepo za mężem, którego celem nie było dobro i chwała miasta ojczystego! Któżto bowiem popierał tę nieszczęsną wyprawę wojsk naszych?

— Cymon! — krzyknął lud...

— Kto każdym swoim krokiem dążył do poddania Aten przywództwu Sparty?

— Cymon! — powtórzyły tłumy.

— A wszakże jemu to ze wszystkich współobywateli, powierzyliście Ateńczykowie, w ręce, honor wasz i losy ojczyzny. Chcecie wiedzieć czemu?

Ja wam to powiem. Bo was opłacał z własnej swej kieszeni!

Głuchy szum przebiegł zebranie, jak wicher.

— Szemrzecie? — mówił dalej Efialtes. — Wiem, że dotknąłem rany jątrzącej się na ciele ojczyzny naszej, bracia! Dotknąłem biedy, nędzy klas ludowych, które w ubóstwie swojem, w niedostatku chleba dla swych rodzin, lada korzyści uwodzić się dają. Ale jeśli tak jest, jeśli nędza ludu jest tak wielka, że popycha go do upodlenia, gdyż upodleniem jest dla wolnych obywateli za wziątek zaprzedawać wolność swego

głosu, jeśli tak jest, mówię — pytam was, Archontowie i was panowie Rady, i was sędziowie Najwyższego Areopagu, jakiem prawem zażywacie bogactw i zbytków w przepysznych pałacach waszych, podczas kiedy tysiące ludu i współobywateli głód i upodlenie cierpi? Jesteście wy z innej, lepszej jakiejś gliny?... Alboż ojcowie tych nędzarzy nie przelewali krwi na polach walki w bojach przeciw Persom, tak samo, jak ojcowie nasi?...

Czy oni nie ponoszą tak samo wszystkich ciężarów i powinności państwowych? Skądże więc mają ci ubodzy, ale wolni obywatele Aten, boć niewolnikami pomimo nędzy swej nie są, skądże oni mają przyjmować jako jałmużnę to, do czego mają w ojczyźnie swej dobre i nieprzedawnione prawo [1]).

Potężny szum tysiąca głosów przeleciał całe zgromadzenie. Zdawało się, że fale morza przyszły, hucząc, rozbijać się aż tu o to wzgórze.

Co słysząc stronnicy Cymona, zaczęli naglić o przerwanie tak podburzającej mowy.

Kiedy Efialtes opuszczał mównicę, huczne oklaski i pełne okrzyki z ławy demokratów witały śmiałego trybuna.

Po Efialtesie wstępowali kolejno na mównicę inni przyjaciele ludu, ale ich mowy zwrócone były przeważnie tylko przeciw Cymonowi. To też wzburzenie przeciw niemu rosło z każdą chwilą.

Ale najbardziej zaszkodziła mu niedołężna obrona, z jaką sam z kolei wystąpił. Słuszny gniew

[1]) Ta podniecająca mowa Efialtesa i inne, które bezpośrednio o wiele polepszyć miały położenie ludu w Atenach, posiała wszakże w sercach tego ludu ciagle rosnącą chciwość i niechęć przeciw możnym, co stało się powodem późniejszego upadku Aten.

opanował go przeciw temu zmienemu ludowi. Wszakże niedawno jeszcze płaszczyli się przed nim ci sami, którzy teraz pięści przeciwko niemu podnoszą!

Kiedy sypał dobrodziejstwa obu rękami, bożkiem był tych tłumów, które go dzisiaj oskarżają o zdradę! Ale tak mówiąc z coraz większem rozdrażnieniem, pogarszał Cymon tylko swoją sprawę.

Spostrzegłszy wreszcie, że gubi i siebie i całą partję arystokratyczną, zwrócił się z najgwałtowniejszemi słowami przeciw Efialtesowi i jego stronnikom.

Ale i to nie pomogło. Pomruk niechęci wtórzył jego mowie, a rozognione oczy tkwiły w twarzy jego z rosnącą nienawiścią. Owe zarzuty przeciw demokratom zwrócone, owszem, zdawały się być dla nich tryumfem.

Cymon mówcą nie był nigdy, a teraz, gdy mu szydercze głosy i sykania tłumu resztę przytomnej myśli odbierały, stracił całkiem głowę i dał się unieść ślepej pasji, aż do grubych obelg przeciw ludowi. Zagłuszył go ogromny wybuch krzyczących i świszczących głosów.

Wśród takiej to muzyki opuścił Cymon, czerwony z gniewu, mównicę i zgromadzenie.

Świst i okrzyki szydercze leciały w ślad za nim.

Perykles siedział dotąd milczący. Postać jego była całkiem nieruchoma. Tylko w błyskawicznych spojrzeniach jego oczu widać było wewnętrzny niepokój.

Tymczasem lud, mową Efialtesa wzburzony, a widokiem i obelgami Cymona doprowadzony do szalonego roznamiętnienia, grzmiał i huczał jak rozpętana nawałnica burzy.

Wtedy Perykles podniósł głowę, wzrok ku niebu zwrócił, a usta jego poruszały się cichym szeptem. Siedzący obok mężowie patrzyli na niego ze czcią. On modlił się o spokój, o moc słowa, o czystość ust, aby

ich nie skalała żadna zmaza gniewu i osobistych widoków.

Nagle światło jakieś wewnętrzne opromieniło go wyrazem natchnienia, wstał i pewnym krokiem na mównicę wstąpił.

Nigdy jeszcze w Atenach nie słyszano Peryklesa przemawiającego publicznie. A ponieważ mąż ten pochodził ze starego i możnego rodu, nie wiedziano dobrze i o tem nawet, do jakiej właściwie partji pociągają go przekonania jego. Kiedy więc jego spokojna męzka postać zapanowała nad zebranym tłumem, powiała nagle cisza, a oczy i uszy ludzkie zwróciły się ku mówcy z najwyższem natężeniem ciekawości.

Potężnie wstrząsnęły ludem pierwsze jego słowa. Takiego głosu niesłyszano dawno już w Atenach!

Z zachwytem patrzył lud na wyniosłą postawę, na gorejące oczy mówcy. Zdawało się obecnym, że męża tego widzą po raz pierwszy. Jakiś nieprzeparty urok bił od tej szlachetnej głowy, od tego wytwornego giestu, od tego głębokiego, spokojnego głosu.

Nadewszystko przedstawiał się Perykles Ateńczykom, jako zjawisko szlachetnego piękna. Ten lud pełen wrodzonego poczucia artyzmu, nie mógł się dość napatrzeć, po rubasznym i pospolitym Cymonie, na tego prawie boskiego męża, którego każdy ruch, każde nagięcie głosu, było nawskroś estetycznem. Najsilniejsze nawet słowa nie wpadały w niesforną wrzaskliwość, najgłębsze nawet wzruszenia nie naruszały olimpijskiej harmonji jego rysów; najwyższy giest nie łamał spokojnych linji jego himatjonu.

Obok tego zewnętrznego czaru, niemniejszy urok miała sama jego mowa. Umiarkowana i poważna, bystra i wytworna, silna i przekonywająca, zamykała

w niewielu słowach treść ważną i głęboką. Z niezrównaną prostotą i jasnością przedstawił on ludowi ateńskiemu życzenia i zamiary swoje.

W dwugodzinnej mowie porwał wszystkich słuchaczów, tych nawet, którzy go zrazu chcieli na tej mównicy tolerować tylko jako początkującego polityka.

Co najwięcej zadziwiało, to przedziwna logika, z jaką wywiódł dzielące obywateli partje i niezgodne prądy politycznych urządzeń ojczystego miasta, jak niemniej nagła jasność, która oświetliła ciemne strony życia narodowego.

Na takiem to tle odmalował Perykles swój panhelleński ideał, który musiał usunąć Spartę i arystokratycznych jej stronników ateńskich w cień, na pierwszym planie stawiając duchowy, artystyczny i cywilizacyjny rozwój ojczystego miasta.

Wolne od ucisku wojskowych rządów Ateny, a w nich wolne, ku światłu i pięknu wznoszące się duchy, oto był ideał Peryklesa. Ale przedstawiając ideał ten współobywatelom, dalekim był mówca od podchlebiania choćby jednem słowem ich żądzom i namiętnościom, świeżemi wypadkami wzburzonym. Nie on się zniżał do nich, lecz ich ku sobie podnosił, to było jasnem. Żadnego wpraszania się w łaski tłumu, żadnej gonitwy za popularnością! Prosta i czysta prawda, prosta i czysta sprawiedliwość przemawiały przez jego usta wymowne.

— Ludowi należy dostarczyć pracy, nie jałmużny; wsparcie i opiekę tym, którzy są niedołężni i słabi; wszystkim zaś, możność kształcenia się i duchowego rozwoju. Sposobność do zarobkowej pracy i korzyści mają dawać nie wątpliwe wyprawy wojenne, ale wznoszenie nowych gmachów ku ozdobie miasta, ale two-

rzenie dzieł sztuki, popieranie przemysłu i handlu, i podział nieużytków ziem państwowych między najuboższych włościan i mieszczan.

Wsparcie dla niedołężnych i słabych powstać musi z ofiarności publicznej. Trzeba wznosić domy dla bezdomnych, trzeba zapewnić chleb głodnym, trzeba dać uchronę i pomoc chorym i kalekom. Nie może pomoc ta być dziełem prywatnych osób, a zatem stać na gruncie niepewnym i od dobrej woli być zawisłą. Jest ona obowiązkiem państwa i przez państwo obmyśloną być musi.

— Precz z jałmużną, która uwodzi lud i poniża w nim obywatelstwo Aten! Wsparcie udzielane przez kraj, nikogo nie będzie hańbiło, nic i na nikim wyzyskiwało; A raczej nie! Mylę się! Ono stworzy zastęp prawdziwych, bo wdzięcznych ojczyźnie swej obywateli!

Długi, przeciągły poklask przerwał w tem miejscu mowę Peryklesa. Głosy uniesienia wzbiły się nad tłumem, niby pieśń dziękczynna.

Tysiące rąk wyciągnęło się z pod nędznych podartych chitonów. Tysiące rąk trzęsło się ku mówcy w powietrzu cichem, jakby dla pochwycenia ideału, który w słowach jego zstępował z nadzieją szczęśliwszej przyszłości na ateńską ziemię.

Perykles mówił dalej:

— Gdy Ateny prawa takie przyjmą i obowiązek taki spełnią, zajaśnieje w nich światło, które im nada przodowanie wśród państw helleńskich, bez walki, a tylko mocą podniesienia się nad ciasny egoizm, nad brutalną siłę oręża, tylko mocą ich duchowego starszeństwa, ich śmiałego kroku na drodze postępu.

Gdy utworzymy jeden lud wolny, światły i szczę-

śliwy, gdzie jest ten, ktoby za nami i z nami iść nie chciał ku pomyślności ogólnej?...

— Praca jest rozległa; obszar jej ogromny! Nie należy wszakże zaczynać od najtrudniejszej strony, bo na tę lud zbyt długo czekać by musiał, a rzecz jest pilna. Nie dajmy zapaść słońcu, dziś nawet, nad ludem, bez żadnej duchowej korzyści dla niego.

— Oto mamy w Atenach teatr. Potężny środek doraźnego kształcenia tłumów. Od dziś niech będą w nim miejsca przystępne dla najuboższych współobywateli. Niech każdy kto posiada dwa obole, wchodzi tam wolny i pokrzepia ducha!

Przeciągły entuzjastyczny szmer rozległ się w tłumie słuchaczów. Zakołysały się głowy, jakby łan zboża za wiatrem, a przenikliwe głosy przywódców ludowych podniosły okrzyk:

— Niech żyje!

Z rozognioną twarzą, z oczyma wlepionemi w mowę słuchał lud.

Gdy nagle Perykles zwrócił się ku naczelnemu zadaniu swej mowy i dobitnym głosem rzekł.

— Ale Areopag musi złożyć część nadużywanej do dziś przez siebie władzy!

Gdyby piorun uderzył w Pnyks, mniejsze zapewne byłoby wrażenie, niż to, jakie sprawiły te słowa.

Archontowie i członkowie najwyższego sądu patrzyli bladzi, z szeroko otwartemi oczyma na przewrotnego podług siebie burzyciela odwiecznych praw Areopagu.

Perykles jednak uzasadniał swój wniosek z zupełnym spokojem.

— Prastara, za świętą niemal w narodzie uważana władza, przekroczyła z biegiem czasu, przez wzrost

przywilejów, pierwotne swoje granice. Teraz zaś rzeczy stoją tak, że Areopag wywiera wprost tyrańskie rządy w Attyce. Polityczna i sądowa władza w potworny sposób zmieszała się w nim z władzą kapłańską, czyniąc samą instytucję polem walk o pierwszeństwo i osobistych zawiści, które raz obudzone, tylko w samowoli wywieranej na lud, na ogół obywateli, znajdują zaspokojenie swoje. Czem był Areopag zrazu, niech tem pozostanie. Niechaj szanowni starcy przynoszą bogom, jak dawniej ofiary i modły w imieniu współobywateli. Polityczna wszakże władza ma być mu całkiem odjętą, a sądowa znacznie ograniczoną. Najpożądańszą zaś byłaby ta forma sprawiedliwości sądowej, którąby sam lud przez wybrańców swoich, przysięgą związanych, sprawował.

Tu podniósł się jakiś mówca z ławy i przerwał Peryklesowi.

— Jeżeli władza sądownicza — rzekł — odjętą będzie Areopagowi, na rzecz sądów ludowych, czyli sądów przysięgłych, wzrosną niesłychane obowiązki ludu, które ubogim obywatelom Aten, tym którzy pracują w warsztatach, stać się mogą nader uciążliwemi, jako odrywające ich od zarobkowej pracy. Należałoby chyba zapewnić sądom takim odpowiednie odszkodowanie? — kończył mówca.

Perykles zgadzał się na to.

Zaraz owszem postawił wniosek, iż wybrani z pośród ludu i zaprzysięgli sędziowie będą otrzymywali dzienną, stale oznaczoną płacę przez czas sprawowania obowiązków sądowej władzy.

Na zakończenie świetnej swojej mowy, wskazał Perykles wiele niedostatków w zarządzie wojsk i w sa-

mymże sposobie odbywania służby wojskowej, wnosząc oraz projekty zasadniczych zmian w tychże.

Chciał on, aby nawet w czasie pokoju flota i wojska lądowe przez ośm miesięcy pozostawały w służbie czynnej, ćwicząc się odpowiednio do swego przeznaczenia. A ponieważ tym sposobem przybywał krajowi ciężar utrzymywania stałego wojska, żądał Perykles, aby ustanowiono żołd dla floty i dla wojsk lądowych. Szczególniej wszakże zalecał Zgromadzeniu rozszerzenie murów opasujących miasto.

Port Pireus był wprawdzie objęty niemi razem z miastem; chodziło wszakże o to, aby dwa pozostałe porty, Taleron i Mynychja także niemi ubezpieczone i połączone zostały, a to dla zapewnienia sobie wolnej morskiej drogi na wypadek wojny oblężniczej.

Gdy Perykles mównicę opuszczał, oklaski i radosne okrzyki tłumu nie miały końca. Lud cisnął się do niego z uniesieniem wdzięczności i podziwu.

A gdy stronnicy arystokracji domagali się głosu po nim, niemiłosiernie wygwizdani zostali. Teraz po Peryklesie nikt nie zdawał się ateńskiemu ludowi godnym na mównicę wstąpić.

Napróżno Eponimos wznosił groźnie swoją krzywą laskę i nakazywał spokój. Nikt nie zważał na to. Lud był ogarniony szałem najradośniejszych nadziei. Obywatele rzucali się sobie w ramiona; dawno poważnieni przeciwnicy zawierali pokój i zgodę.

Zdawało się, że jakaś nowa era nad Atenami zabłysła, że dotąd ciemność była, a teraz dzień nastał.

Takie to gwałtowne wrażenie wywołała mowa Peryklesa!

On sam wszakże odpychał od siebie wszelkie oznaki uwielbienia, z męzką skromnością i powagą.

Co mówił, to było jego przekonaniem głębobiem. Nie po to zabierał słowo, aby sobie poklaski zyskiwać. Nie chodziło o jednodniową, łatwą popularność. Owszem, sam pierwszy napominał rozkołysanych radośnie słuchaczy o spokój i o porządek. A gdy oni tłoczyli się jeszcze i wyciągali za nim ręce, z przyjaciółmi swemi opuścił wzgórek.

Zaledwie jednak oddalił się od miejsca zebrania, kiedy najgorętsi demokraci rzucili się ku trybunie, aby korzystać z chwili.

Jeden z nich, mimo zakazów Eponima, wstąpił na trybunę zuchwale i krzyknął:

— Precz z Cymonem! Precz ze stronnikiem i pochlebcą Sparty!

A był to nie kto inny, jak ów znany nam już Astoanaks, golarz, który niedawno temu przysięgał tylko przez imię szlachetnego Cymona.

Chciał krzyczeć dłużej, ale arystokratyczna partja wygwizdała go i zmusiła do opuszczenia mównicy. Zwycięztwo jej było wszakże krótkotrwałem. W tej samej bowiem chwili, kiedy Astoanaks ucierał się mężnie ze ściągającemi go za poły chitona przeciwnikami w tłumie ludu dał się słyszeć głos donośny:

— Skorupy! Skorupy!

Potężny okrzyk tysiąca piersi pochwycił te słowa i huczał jak burza. Coraz głośniej, coraz natarczywiej, coraz groźniej grzmiały okrzyki ludu. Sąd skorupkowy i »ostracyzm« zdał się przewódcom tłumów najszybszym i najpotężniejszym środkiem pozbycia się niebezpiecznego wodza.

Wyroki sądu skorupkowego, które zazwyczaj skazywały dotkniętych niemi tylko na czasowe wygnanie, nie miały znaczenia kary, ani też hańbiącemi nie były.

Stanowiły one raczej polityczną konieczność w niektórych wypadkach.

Był to wyraz opinji publicznej, stającej nagle po stronie jednej z walczących partji, a potępiających drugą.

Tymczasem Perykles, doszedłszy do placu Kerammeikos, spotkał młodą Jonkę.

Aspazja słyszała już o burzliwem zgromadzeniu na Pnyksie i z wielką niecierpliwością oczekiwała chwili, w którejby mogła powinszować Peryklesowi tak wielkiego zwycięztwa. Perykles ciągle był jeszcze w tem podniesieniu ducha, w jakim zszedł z mównicy.

Z wdzięcznością wyznał, że znaczną część zwycięztwa tego szlachetnemu wpływowi Aspazji zawdzięcza. Owszem, nazwał ją swą mistrzynią w sztuce wymowy. Nie co innego bowiem, jak owe długie filozoficzne rozprawy, które wiódł z nią w jej domu, dały mu przedewszystkiem pewność siebie i spokój słowa, bez których najpożyteczniejsze myśli z trudnością tylko dostają się do przekonania słuchaczów.

A gdy tak mówiąc, szedł z Aspazją, co chwila zbliżali się ku niemu przyjaciele i stronnicy i przerywali mu, żądając, aby te rady i zarysy nowych praw, które on na zgromadzeniu ludowem rozwinął, zamienić zaraz w szereg obowiązkowych ustaw i uczynić z nich fundament nowego porządku w państwie.

Perykles zauważył, iż on nie chce usunięcia dotychczasowego rządu, chce tylko jego naprawy. I w krótkich słowach przywiódł naczelne punkty swojej mowy.

Aspazja słuchała z wielką uwagą i z wielkiem ożywieniem.

A gdy tak stali, wielki krąg słuchaczy otoczył męża, którego imię było dziś na wszystkich ustach.

Nagle krąg ten przerwany został wtargnięciem

kobiety namiętnie rozdrażnionej. Spojrzano na nią z podziwem. Była to Elpinika.

Jak się to stało, że ta aż do obłudy i srogości pilnująca pozorów starego obyczaju dama, która nieraz złośliwym językiem szarpała dobre imię Aspazji za niezachowywanie ateńskich przepisów przyzwoitości, jak się to stało, że teraz ta świętoszka, z odkrytą twarzą wpadła na rynek, w sam środek tłumu mężczyn.

Z dziwem tedy patrzono na przybyłą, która nienawistnym wzrokiem zmierzyła młodą filozofkę tak samo, jak inni cofającą się przed tem nagłem zjawiskiem.

— Peryklesie! — krzyknęła dama podniesionym tajoną wściekłością głosem — strzeż się fałszywych przyjaciół! Ateny stoją na krańcu przepaści! A ich upadkowi ty będziesz winien, jeśli się niegodnym wpływom dasz powodować.

Mąż stanu patrzył z pełną godności powagą na krzyczącą arystokratkę i milczał.

— Strzeż przynajmniej brata mego od zdrady, jaką mu gotują! — wołała teraz dama. — Ze wzgórza Pnyksu przybiegli ludzie do naszego domu, aby oznajmić, jaką niegodną zasadzkę wymyślono na niego. Ostracyzmem grożą bratu memu!

Perykles pobladł.

— Ostracyzmem? — przemówił zwolna. — Idź do domu, Elpiniko i oznajmij bratu swemu te słowa: — Jeżeli lud sam na niego sąd wyda, to osądzonym będzie według czynów swoich!

Elpinika rozśmiała się szyderczo.

— Lud! lud! Ależ to motłoch, który go jak bożka wielbił, jak króla czcił, gdy niedawno zwycięzcą powrócił do Aten. Lud! lud! Strzeż się ty Pery-

...Peryklesie! broń mego brata, którego chcą skazać — wołała Elpinika. (Str. 88).

klesie, przed tą zmienną tłuszczą! To co mego brata dziś spotka, ciebie spotkać może jutro!

— Uspokój się, Elpiniko — rzekł Perykles — i bądź o los mój bez trwogi. To co czynię, to nie dlatego czynię, abym sobie tę zmienną, jak mówisz tłuszczę, zjednywać chciał. Czynię tak, ponieważ uznaję to za dobre i za sprawiedliwe.

Mówił jeszcze, kiedy ogromny wybuch tysiącznych głosów w rynek ze wzgórza uderzył.

— Precz z Cymonem! — grzmiały zmieszane okrzyki tłumu!

Sąd skorupkowy był skończony na Pnyksie, a jego wyrok potępił Cymona.

Elpinika wzniosła pięść grożącą ku Peryklesowi, usta jej się trzęsły, a oczy pałały dziko. Rzuciła się potem w tłum otaczający męża tego i przeciskając się przez gromady wracające z Pnyksu, ku domowi biegła.

Okrzyki wzgardy, hańby i gniewu biegły w ślad za nią.

Dopiero kiedy lud zobaczył Peryklesa, głosy te zmieniły się w wołania tryumfu i zapału. Cisnąca się w rynek ciżba otoczyła go ogromnem, radośnie wykrzykującem kołem.

Perykles poważnie i surowo patrzał w twarze współobywateli. Słowa Elpiniki zostawiły swe żądło w jego pamięci.

VI.

Drużba.

Nastały teraz dla Peryklesa dni ciężkiej i mozolnej pracy. Nie widywano go gdzieindziej prawie, jak tylko na rynku, albo w ratuszu, gdzie się odbywały posiedzenia Rady.

Z tą jego niezmordowaną pracą około publicznego dobra, przedziwnie harmonizowały jego skromne upodobania, surowe obyczaje i domowe cnoty. Nigdy on nie uczęszczał na biesiady i gwarne uroczystości. Zabawą i odpoczynkiem jego były te chwile, które spędzał w domu na przygotowaniu się do przemówień, na czytaniu starożytnych papyrusów, lub na szkicowaniu planów dzieł sztuki i gmachów, któremi Ateny przyozdobione być miały.

Prócz upodobania do samotności, miał wszakże Perykles jeden jeszcze powód tego zamknięcia się w domu. Chciał on zapobiedz aby powaga, godność i urok jego publicznego stanowiska, nie ucierpiały w zetknięciu się z poufałością i wyuzdaniem tłumów. Gdyż istotnie najznaczniejsza część tego czaru, jaki Perykles na współobywateli wywierał, leżała w osobie jego. Przeciwnicy porównywali go z Pizystratem; utrzymywali,

oni że nawet podobny jest do niego z postawy, z rysów twarzy, z dźwięcznego głosu i porywającej wymowy.

Ale Perykles, który przeniknął odrazu zamiar szkodzenia mu u ludu przez te porównania, tembardziej miał się teraz na baczności. Zachowywał on mianowicie męskie umiarkowanie w mowach swoich tak, aby one nigdy nie spowszedniały słuchaczom i nie przesyciły ich. Nie miał też zwyczaju występować sam wszędzie we własnej osobie. Oszczędzał się, zachowywał na ważne okoliczności, śląc w razie potrzeby zaufanych zastępców, których przemówienia sam sprawdzał pilnie, a najczęściej pozwalał się wyręczać wiernemu Efialtesowi, który wszystkich jego myśli i zamiarów był świadomy.

Ale jeśli Perykles unikał hałaśliwych zebrań i tłumnych rozrywek, tem większą dla niego osłodą było przestawanie z gronem ściśle wybranych przyjaciół. W tem to gronie, wśród swobodnej wymiany myśli, powstała większa część jego twórczych pomysłów.

Rzecz prosta, iż w tych zebraniach wieczornych, które po dniu pracy odświeżały umysł Peryklesa, pierwsze miejsce zajmowali jego drodzy przyjaciele z Miletu: Aspazja i Hipodamos ze swoją małżonką.

Przeprowadzenie tego wielkiego planu reform państwowych, jaki Perykles, w owym pamiętnym dniu na wzgórku Pnyksu rozwinął przed oczyna Ateńczyków, wymagało ogromnego nakładu pracy.

Przedewszystkiem trzeba było walczyć na każdym kroku z potężnem jeszcze i mocno trzymającem się gruntu stronnictwem arystokratów. W żaden sposób zgodzić się oni na to nie mogli, aby Areopag, ta silna tama, którą Solon przeciw wzmagającej się powodzi

ludowładztwa zbudował, żeby ten Areopag utracić miał coś ze swej władzy i z przywilejów swoich.

Lecz Perykles z żelazną wytrwałością szedł prosto do celu. Niezawodnie sam przed sobą przyznać musiał, że gra jego jest jedną z najryzykowniejszych. Gdyż niezawodnie niebezpiecznem było oddawać władzę w ręce nie dość oświeconego, a zawsze namiętnością unosić się dającego ludu, który dziś temu, jutro innemu zaufać może, w miarę jak ktoś będzie miał siłę lub szczęście porwać i oczarować go sobą. Wszakże dopóki Perykles czuł, że u steru stoi, miał pewność, że jego patrjotyzm i urok jego osoby, nie tylko tłumy te w granicach obowiązku obywatelskiego utrzyma, ale przyzwyczai je do karbów obowiązku tego tak, że potem lud nie da się tak łatwo obałamucić, gdy większej politycznej dojrzałości dosięgnie.

Wszakże złowróżbne słowa Elpiniki nieraz przychodziły mu na myśl. A kiedy Perykles bliżej przyglądał się ludowi, przyznać musiał, że w masach owych drzemie wiele gwałtownych, surowych i nieokiełznanych instynktów.

I to było pierwszym powodem, dla którego postanowił masy te oczyścić przedewszystkiem z żywiołów obcych, z interesami państwa niczem nie związanych, które przy sposobności pierwsze wybuchnąć by mogły, nie hamowane względami miłości miasta ojczystego. Ci więc tylko mieli na mocy obywatelstwa attyckiego być dopuszczonymi do urzędów, oddających im część władzy w ręce, których rodzice, ojciec i matka byli Ateńczykami. Słusznie mniemał Perykles, że tym sposobem wyłączone zostaną obcokrajowe pierwiastki i wpływy, które tylko w ujemny sposób na lud działać mogą.

Wkrótce też wniósł Perykles na Radzie wniosek, na mocy którego wyłączeni zostali od sprawowania obywatelskich urzędów nietylko wszyscy przybysze, choćby od lat wielu w Atenach osiadli, ale także synowie obywateli, którzy pojęli w małżeństwo cudzoziemki, jako też i synowie obywatelek, które za cudzoziemców wyszły. Cudzoziemcem nazywał się w tem znaczeniu każdy, kto nie miał prawa do obywatelstwa ateńskiego. Nie tracąc czasu, zarządzono na skutek wniosku tego nowy spis ludności, który z 19 tysięcy ogólnej ludności Aten, wyłączył pięć tysięcy obcokrajowców, pozostawiając prawo piastowania publicznych urzędów 14 tysiącom obywateli.

Był to wielki krok naprzód na drodze unarodowienia władzy. Krok zwycięski, który nie mało krwi napsuł arystokratom. Owem albowiem prawem wyłączenia od urzędów krajowych, zostali przedewszystkiem dotknięci i dwaj synowie Cymona, Lacedemonis i Elejos, których matka pochodziła z Arkadji.

Naturalnie zaczęto w obozie tym krzyczeć, że Perykles tylko przez nienawiść do Cymona i tylko dla wyłączenia synów jego od władzy w kraju, prawo owo wymyślił i przeprowadził.

Zwłaszcza Elpinika uczuła się tem srodze dotkniętą. Jej złość przeciw Peryklesowi i przyjaciołom jego wzmagała się codzień. Czekając tylko sposobności, ażeby się zemścić, nie szczędziła tymczasem drobnych ukłuć i podstępnych knowań. W pierwszej linji zaczęła rozpuszczać pogłoski, że z domu Peryklesa i z otoczenia jego rozchodzą się błędne i szkodliwe nauki. Miała tu na myśli przedewszystkiem znienawidzonego trybuna ludu, Efialtesa. Arystokratyczna partja dawno już spostrzegła, że młody prawnik jest nie-

odzowną pomocą dla Peryklesa. Gdyby nie on, mąż ten musiałby nieraz sam występować w jakiej nie dość pewnej, a zatem mogącej nadwerężyć urok jego sprawie. Każda bowiem przegrana ujmowała by coś z uroku tego. Tymczasem na takich niepewnych placówkach stawał Efialtes, a osoba Peryklesa była wprost nienaruszalną. Wszystko też co przedsięwziął, doprowadzał niewątpliwie do skutku, co tembardziej utrwalało jego władzę. Nie dziw zatem, że nie mogąc dosięgnąć samego Peryklesa, stronnictwo arystokratyczne postanowiło w swem łonie, że Efialtes upaść musi, i upadnie.

Ale jawnie okazywana niechęć przeciwników nie wiele obchodziła młodego prawnika. Był on zawsze wesół i w dobrym humorze. Nawet dokuczająca mu bieda nie psuła mu swobody myśli, gdy się znalazł w kole swych przyjaciół. Dla jednego tylko miał twarz posępną i surowe słowo, dla Ksantyposa. Ksantypos czuł zawsze w obecności trybuna lęk i ucisk w duszy.

Kawał już czasu przeszedł od owego haniebnego zdarzenia na Akropolu. Sławny rzeźbiarz, z którego szkoły Ksantypos tymczasem wystąpił, zapomniał już o szkodzie swojej; ale chłopiec czuł przecież, że Efialtes obwinia go zawsze. Doprowadzało go to do tajonej wściekłości. Ale cóż?... Wszak zależał teraz od łaski i niełaski Efialtesa!

Młody trybun nie należał wcale do ludzi drobiazgowych i dawno byłby każdemu innemu wyrostkowi zapomniał tę winę; tłomaczyłby ją sobie swawolą i nierozwagą młodości. Ale z Ksantyposem inna była sprawa.

Przeniknął on do dna duszę tego chłopca, pełną złych skłonności. Spostrzegł też, że chłopak, korzystając z nawału pracy swego ojca, usiłował się usunąć z pod wszelkiego domowego nadzoru. Ze starym Euan-

gelosem udawało się to oczywiście. Ale nie udawało się z Efialtesem, który nie mówiąc o tem Peryklesowi, z własnego popędu i w mniemaniu, że Ksantypos wdzięczny mu kiedyś za to będzie w przyszłości, objął rolę wychowawcy w domu przyjaciela.

Chłopcy niebyli już dziećmi. Wyrośli. Coraz więcej dawał się uczuwać brak matki w ich prowadzeniu, gdy ojciec pochłonięty publicznemi sprawami, żadną miarą nie mógł im zapewnić dostatecznej opieki. Wszystko to skłoniło Efialtesa do zajęcia się obu młodzieńcami.

Poprowadził on ich do najsłynniejszych nauczycieli ateńskich.

Paralos, którego zdrowie było wątłem, ze szlachetną ambicją uwziął się na to, aby słabe siły swoje przemódz i odznaczyć się w naukach. Ale Ksantypos, po dawnemu o tyle tylko się uczył, o ile go do tego zmuszono. I gdyby nie to, że się Efialtesa lękał, byłby się zgoła nie dał utrzymać w żadnej szkole. Jedno mu teraz tylko było w głowie: jak najprędzej lat osiemnaście ukończyć i wejść do wojska, jako Efeb. Wtedy dopiero obiecywał sobie uwolnić się od nieznośnej opieki Efialtesa.

Z Kalljasem mimo czasowego ochłodzenia braterskich stosunków, Ksantypos znowu był na najlepszej stopie. Młody ów marnotrawca zupełnie oddał się rozpuście, a dom jego był zawsze pełen różnych szubrawców, tegoż co on sam stempla.

I u Elpiniki bywał Ksantypos po dawnemu. Przebiegła arystokratka wyzyskiwała go ciągle, jako źródło wiadomości o tem, co się w domu ojca dzieje. Gromadziła ona w ten sposób coraz ważniejszy materjał dowodowy przeciw całemu otoczeniu, w jakiem się Perykles obracał.

»Dobra« dama starała się jeszcze w inny spo-

sób o dowody »bezbożności« jak mówiła i »zepsucia« owego całego grona swoich wrogów. Nie wahała się nawet pod maską przyjaźni, zbliżyć się do małżonki Hipodamosa, która jej się najprzystępniejszą z grona owego wydawała.

Dom Hipodamosa słynął z gościnności. Wielu ateńczyków, którzy o słynnych naukowych zebraniach w nim słyszeli, sama już ciekawość ciągnęła w te progi.

Pewnego wieczora, gdy Elpinika weszła do skromnego lecz z wytwornym smakiem urządzonego »atrium«[1]) zastała tam znaczną liczbę najznakomitszych mężów. Spostrzegła nawet, że znajduje się pomiędzy niemi Lampon, kapłan i wróżbista.

Zdumiona postąpiła naprzód. Niewolnik Hipodamosa trzymał właśnie wśród gości podniesioną głowę kozła, o jednym tylko wpośrodku czoła wyrastającym rogu, którego jako osobliwość przywieziono ze wsi na targ. Lampon przypatrywał się jej ciekawie, poczem oświadczył gospodyni domu, że gotów jest wypowiedzieć wróżbę, z powodu tak niezwykłego zjawiska. Ale Jończycy wogóle, w zupełnem przeciwieństwie do Ateńczyków, przesądnymi nie byli. Mimo to, Aspazja, która chciała być dla gościa grzeczną, a która i ciekawą też była, jak się to w Atenach wróżby takie odbywają, zachęciła krewnę swoją, aby propozycję przyjąć. Jakoż Lampon po różnych przygotowaniach ofiarę kadzidła na domowym ołtarzu złożywszy, wśród tajemniczych gestów i szeptania oznajmił, jak to było zresztą zwyczajem wróżbitów na zapłatę chciwych, że Hipodamosa spotka wielkie szczęście. Anaksagoras,

[1]) Wewnętrzny dziedziniec.

który jednocześnie prawie z Elpiniką próg domu przestąpił, uśmiechał się sam do siebie w czasie owego wróżenia. Ale gdy Lampon rzecz swoją ukończył, oświadczył filozof, że teraz on objaśni ów »cud« i ową »przepowiednię«.

Ścisnęli się goście dokoła starca, a ten kazawszy sobie podać nóż kuchenny, czaszkę dziwotworu otworzył.

— Lampon — rzekł Anaksagoras — przypatrywał się tylko na zewnątrz »cudowi« swojemu. Przypatrzmyż się teraz, jak to na wewnątrz wygląda. Cudów, moi drodzy, natura nie czyni. Wszystko w niej polega na naturalnej przyczynie, nawet wtedy, kiedy zjawisko od praw jej powszechnych odstępować się zdaje.

Głowy wszystkich pochyliły się naprzód, żeby lepiej widzieć.

— Patrzcież oto! — mówił stary filozof. — Mózg nie wypełnił czaszki tego stworzenia, tylko się jajowato wydłużył w jedną część jamy, spłynąwszy ku przodowi tam właśnie, gdzie korzeń rogu leży. Otóż macie proste wyjaśnienie przyczyny, dla której ten nieborak kozieł, jeden róg tylko posiadał, i to w dodatku na środku czoła.

Uśmiechali się goście, klaskali nawet niektórzy. Lampon wszakże zbladł z gniewu. Co do Elpiniki, ta skamieniała w miejscu na taki dowód bezbożnej śmiałości filozofa. Zdawało jej się bezprzykładnem zuchwalstwem osłabiać wiarę we wróżbę tak doświadczonego kapłana, jakim był Lampon. Z żywością zwróciła się do Anaksagorasa.

Teraz dopiero spostrzegli i gospodarze i goście siostrę wywołańca.

Małżonka Hipodamosa okazała nieco pomieszania

skutkiem tego zajścia. Anaksagorasowi wszakże było to na rękę, że też otwarcie będzie mógł wypowiedzieć mniemania swoje w przedmiocie tyle nadużytej wiary we wróżby. Zaraz też zapytał przeciwniczkę swoją, w jaki sposób godzi wiarę w bogów z grubemi przesądami?... Dama stanęła znowu śmiało do rozprawy; po kilku wszakże słowach stropiła się i uwikłała w sprzeczności tak, że jej Lampon ku pomocy pośpieszył. Ale i ten sukurs nie okazał się dość potężnym, aby proste, jasne wywody Anaksagorasa przeprzeć.

Gdy więc oboje kapitulowali, składając winę swej porażki nie na błahość sprawy bronionej przez siebie, ale na nierówne siły djalektyczne, stary filozof tak rzecz swą prowadził.

— Czas już, aby Ateny i inne ludy greckie wyzwoliły się z pod panowania ciemnoty i przesądów. Nie ślepy wypadek bowiem rządzi światem, ale Najwyższa mądrość, Najwyższy rozum i Najwyższe prawo. Ten Duch najmędrszy i najpotężniejszy ożywia, stwarza i nadaje ruch wszelkiej materji. On stoi po nad nią, a materja posłuszną jest jemu. Jedna wiecznie, zmienia wprawdzie kształty swoje, lecz zawsze pozostaje tworem i naczyniem wielkiego Ducha świata, który jest najpierwszą ruchu jej i przemian przyczyną. Bogowie nasi, mówił dalej sędziwy starzec, to tylko uosobienie sił tej materji, którą rządzi Duch Najwyższy. Te alegorje potrzebne są dla ciemnych mas ludu, nie zdolnych wznieść się do pojęcia najwyższych praw Ducha. Ziemia, to tylko drobna cząsteczka Jego twórczej wszechmocy. Te miljony gwiazd, które widzimy codzień na wieczornem niebie, to miljony światów, które On stworzył i mocą swą rządzi. Ten blady księżyc, to dość podobna do naszej, tylko martwa ziemia.

To słońce, które nam rankiem wschodzi, to olbrzymie ognisko ciepła i światła.

Ale tu Lampon nie mógł już wytrzymać.

— Jakto, bezbożny starcze—zawołał z gniewem— więc zaprzeczasz wszechmocy bogów Olimpu? Znieważasz słonecznego Heliosa?... Alboż nie wiesz, że on to, bóg światła, wychodzi co ranek na wschodzie z za morza i co wieczór za morze na zachodzie wraca?

Lekceważąco spojrzał filozof na augura.

— Biedny głupcze! — rzekł. — To obrót ziemi, jej ruch, sprawia dzień i noc, a nie wchodzenie i wychodzenie za kulisy morza twojego Heliosa!

Cofnął się Lampon, przejęty zgrozą. Z piorunującym wrzaskiem podniósł pięść ściśniętą i zakrzyknął:

— Strzeż języka swego, Anaksagorasie! Niech cię przyjaźń z Peryklesem nie uzuchwala zanadto! Ten lud, który oszołomiony dzisiaj, idzie za nim, za tobą, za wami wszystkiemi, krwawej pomsty zażąda kiedyś na was za to, żeście wiarę w starych bogów Grecji w sercu jego zachwiali! Pamiętaj o tem! — krzyknął jeszcze augur trzęsąc pięścią groźnie; poczem wypadł jak wicher, nie zważając, że mu wieniec opadł z łysej czaszki.

Cisza panowała przez chwilę pomiędzy zebranymi. Zwolna powróciła wszakże poprzednia swoboda.

Nagle uczynił się ruch i zamęt. Prowadząca z ulicy w dom brama została z łoskotem otwartą, i chłopcy w świątecznych szatach wpadli na dziedziniec, grając na fletach pieśń skoczną, wesołą.

Za nimi ukazał się Efialtes. Młody trybun przybrany był w kosztowny, bogato haftowany płaszcz wschodni, jaki tylko bogacze nosili. Wieniec świeżych

kwiatów otaczał jego śniade czoło. W ręku trzymał laskę rzniętą w piękne wzory. A zanim obecni wyszli z podziwu na widok tak wspaniałych strojów młodego trybuna, który zazwyczaj aż nadto wielką skromność zachowywał w ubiorze swoim, Efialtes, ku tem większemu zdziwieniu towarzystwa, począł mówić cudnie brzmiącemi wierszami.

Dokoła niego stanęli teraz mali fleciści. Obecni tłoczyli się u kolumn, które atrium z jadalną salą łączyły.

— Przychodzi jako swat! — szeptano w tłumie. — Albo... kto wie, sam może jako zalotnik tu staje!...

— Ciszej tam! ciszej! — wołały inne głosy.

Teraz obecne kobiety poprowadzone zostały przez małych flecistów do domowego, w środku atrium znajdującego się ołtarza. Natychmiast otoczyli je chłopcy trzymanemi w ręku girlandami zieleni i kwiatów tak, że utworzyła się dokoła niewiast u ołtarza stojących, zamknięta przestrzeń, do której żaden z mężczyzn przystępu nie miał.

Wtedy dopiero oświadczył Efialtes, że przybywa tu jako drużba w imieniu przyjaciela swego Peryklesa. I natychmiast, jak to było odwiecznym zwyczajem, zaczął wyliczać żartobliwym tonem, pod którym wszakże czuć było serdeczne wzruszenie, wszystkie przymioty i zasługi zalotnika, dla którego przybył prosić o oblubienicę. Uśmiechnęła się małżonka Hipodamosa, rzuciwszy okiem w stronę Aspazji, na której jasnem licu wykwitł wiosenny rumieniec.

Szybko oddychając z nadzwyczajnego wzruszenia, chwytała Elpinika każde słowo drużby.

Efialtes zauważył doskonale nienawistną sobie starą arystokratkę. W jego oczach palił się filuterny

płomyk. Dotychczas mówił on do całego zebrania, teraz zwrócił swe słowa wprost do Elpiniki. Zdumienie obecnych rosło z każdą chwilą. Zaczęto szeptać dokoła. Głowy kobiet odwracały się mimowoli ku pobladłej nagle Aspazji.

Właśnie Efialtes układnie tłomaczył, że Perykles nie jest kwitnącym pierwszą młodością oblubieńcem; ale że kobieta, którą jako małżonkę chce w dom wprowadzić, zapewne nie będzie na to zwracała uwagi.

— Gdy widzę starzejące się w swych komnatach panny — mówił drużba — wzrusza to moje serce. Mężowie także starzeją się wprawdzie, ale przez bogi Olimpu, nie jest to toż samo! Mąż posiwiały nawet, dostanie różę wiosenną na małżonkę sobie. Ale młodość kobiety gdy raz ucieknie, już jej nawet nikt gonić nie chce, bo to rzecz stracona! Nie odszuka jej podstarzała dama ani u perukarza, ani w kramie z balsamami, ani w najciekawszym ateńskim senniku!

Lekki śmiech powiał po ustach gości, gdy Elpinika, która poselstwo drużby brała wprost do siebie, z udaną skromnością spuściła oczy.

— A tak — kończył Efialtes — pytam cię piękna pani, w obec swych przyjaciół, czy chcesz losy swoje złączyć z tym najszlachetniejszym z obywateli ateńskich?

Elpinika przymknęła teraz oczy jakby w śnie rozkosznym. Ale Efialtes zwrócił się nagle ku Aspazji, postąpił krokiem i podał jej, uchylając czoło, kunsztownie wyrobiony naszyjnik, który dotąd jeden z chłopców trzymał zawinięty w bogatą zasłonę.

Aspazja, której twarz mieniła się to bladością, to nagłym rumieńcem, odetchnęła teraz głęboko i rzekła:

— Wybór pierwszego obywatela Aten i najszlachetniejszego z mężów tego kraju, zaszczyca mnie

Efialtesie. Idź do Peryklesa i powiedz mu, że czekam na niego w domu krewnych moich.

To powiedziawszy drżącym nieco głosem, cofnęła się Aspazja do swych komnat niewieścich. Za nią poszła wzruszona i ocierająca z łez oczy, małżonka Hipodamosa.

Dopiero zdala od ludzi, rzuciła się młoda dziewica w objęcia swej opiekunki, płacząc głośno. Zbyt pełne miała serce i od łez wstrzymać się nie mogła. Poczciwa krewna tuliła ją jak dziecko, głaszcząc jasną głowę sieroty, której w tak ważnym momencie jej życia, matkę zastąpić miała.

W chwili, kiedy Efialtes do Aspazji z mową swoją się zwrócił, skoczyła Elpinika jakby ukąszona przez jadowitą żmiję. Gdyby wzrok mógł zabijać, z pewnością biedny Efialtes byłby nie żył po spojrzeniu, które rzuciła na niego stara elegantka. Chciała mówić, otwarła usta, ale gniew tak gardło jej ścisnął, że głosu dobyć nie mogła. Zatrzęsła tylko zaciśniętemi pięściami i wybiegła na ulicę, jakby goniona przez furję.

Otoczono teraz Efialtesa. Niektórzy z gości, jako to: tragik Sofokles i wytworny Fidjasz wyrzucali młodzieńcowi ten żart złośliwy, jakiego sobie względem siostry Cymona pozwolił.

— Nie godziło się tak z Elpiniki szydzić — mówili. — To nie było właściwe! Należało oszczędzić ją choćby dlatego, że ma smutek w domu. Zresztą, ona jest teraz bezbronna. Nie ma brata w Atenach, a kobieta za którą nie ujmie się ani ojciec, ani mąż, ani brat, zasługuje na wszelkie względy.

Efialtes wzruszył ramionami.

— Moi drodzy przyjaciele! — rzekł. — Macie słuszność, przyznaję; ale się całe lata złość zbierała we

mnie na tę jędzę! Mam ja z nią rachunki moje! Możecie mi wierzyć! Nie było sposobności, nie było dnia, żeby ta opuszczona, jak mówicie sierota (piękna mi sierota!) nie kopała dołków podemną, żeby nie usiłowała szkodzić mi, dręczyć mnie, upokarzać, spotwarzać. Zaiste! za wszystko to, com ja wycierpiał od niej, ten żart choć złośliwy, zbyt małą jest jeszcze zapłatą.

Rozmowę tę przerwał gwar towarzystwa, które się dosyć nadziwić nie mogło niespodzianemu wypadkowi Peryklesowych swatów. Więc nie Atenkę wybrał! Więc nie współobywatelkę?... Czemu?... Jak?... Co?... gubiono się w domysłach. Bo choć Aspazję podziwiali wszyscy dla jej osobistych przymiotów, zdawało im się przecież, że niewiastom ateńskim przez wybór ten krzywda się jakowaś stała.

Ale Efialtes bił w jedno tylko.

— Zaprawdę — mówił — musi Aspazja bardzo drogą być Peryklesowi, kiedy on, na dzisiejszem swojem stanowisku pierwszego obywatela Aten, chce cudzoziemkę poślubić. Pomyśleć tylko! Z ilu on przesądami zerwać teraz musi! przeciw ilu do walki wystąpić!

Przedewszystkiem pozbawia go krok ten owego pełnego prawa obywatelstwa, które w części przez małżeństwo z cudzoziemką traci, a to według własnej, przez siebie wypracowanej ustawy!

Zaczęła się gwarna w tym ważnym przedmiocie rozmowa, która się przeciągnęła do późna. Zmierzch już był i na niebie wybłyskały pierwsze złote gwiazdy, kiedy się goście Hipodamosa rozeszli.

Tymczasem Elpinika dopadła domu. Właśnie wchodziła w bramę, kiedy natknęła się na jakąś po-

stać, której rozróżnić w zmierzchu nie mogła. Szybko zaciągnęła zasłonę na twarz.

— Elpinika! — zawołał wtedy głos młodzieńczy.

Arystokratka zatrzymała się wzburzona. Przed nią stał Ksantypos. Spostrzegł on mimo zasłony pałające oczy i siną z gniewu twarz Elpiniki i cofnął się z przestrachem.

— Na Zeusa! — krzyknął — Co się stało?

— Krzywda mi się stała! — przemówiła gorzkim posępnym tonem Elpinika, a słowa te sycząc wychodziły przez jej zaciśnięte zęby.

Chwyciła Ksantyposa za rękę i pociągnęła go za sobą.

— Nienawidzisz Efialtesa — rzekła — prawda? Nienawidzisz go! Musisz go nienawidzieć! Wszak cię dręczy i prześladuje za dawno minioną i zapomnianą winę! Otóż wiedz; nową zdradę knuje on na ciebie. W dniu, w którym powiodą cię do świątyni Aten »Promachos« aby cię do Efebów zaliczyć, w tym dniu Efialtes winę twą ogłosi! W tym dniu cię zdradzi! A wtedy z hańbą i wstydem z wojska wykluczony będziesz!

Rzekłszy to swoim syczącym głosem, puściła rękę chłopca i drzwi za sobą zatrzasnęła.

Ksantypos stał pod niemi, jakby skamieniały. Śmiertelna bladość twarz jego pokryła, wystraszone oczy patrzyły na drzwi, za któremi arystokratka znikła. Krzyk wściekłości dobył się wreszcie z jego uciśnionej piersi. Na twarz rzucił mu się płomień dzikiego gniewu; wpił kurczowo zaciśnięte palce w dłonie i rzucił się z powrotem w mrok nocny.

VII.

W teatrze Djonizosa.

W Atenach zapanowała powszechna radość. Obchodzono uroczyście »Panataneje« wielkie święto braterstwa, od niepamiętnych ustanowione czasów i urządzane z nadzwyczajnym przepychem.

Niosło podanie, że święto owo wprowadził do Aten jeszcze wielki Tezeusz.

Dotychczas, właściwą uroczystością prócz kapłańskich ofiar, stanowiły wspaniałe pochody oraz wyścigi konne i na wozach; dziś wszakże zapowiadały się uroczystości te całkiem wyjątkowo, a to z powodu, że tylkoco ukończono i poświęcono wielki »Odeon«.

Odeon, tak samo jak większa część wspaniałych gmachów Aten, zawdzięczał powstanie swe Peryklesowi, jego niezmordowanym staraniom o wzrost i upiększenie ojczystego miasta. Była to okrągła budowa, którą nakrywała kopuła, uczyniona na wzór złotego królewskiego namiotu Kserksesa. Wiązanie dachu w kształcie parasola stanowiły maszty na perskich statkach zdobyte.

Olbrzymi ten gmach wznosił się na wschodniej spadzistości Akropolu i przeznaczony był w pierwszym

rzędzie na arenę dla współubiegających się o pierwszeństwo w rozmaitych sztukach.

Miejsca dla słuchaczy wznosiły się amfiteatralnie, zdobne rzędami kolumn, a obejmowały przeszło trzy tysiące siedzeń.

Sam Perykles układał program wczorajszej uroczystości muzycznej na otwarcie święta »Panatenejów«. Współubiegały się flety, cytary i śpiew. Od wczesnej młodości był Perykles wielkim miłośnikiem muzyki, a kształcąc się u sławnego Damona, u Pytokleidosa, wyrobił w sobie niezwykłe znawstwo tej sztuki.

Poraz to pierwszy wielki mąż stanu podejmował honorowy urząd reżysera tych uroczystości. Leżało mu tedy na sercu, aby tegoroczne Panateneje zabłysnąć mogły niezwykłą świetnością. Mieszkańcy Aten, równie jak ludność ze wsi i miasteczek przybyła, wczesnym już rankiem przygotowywała po za miastem uroczysty pochód, który przez ozdobione kwieciem i zielenią ulice miał się udać na Akropol, do opiekuńczej bogini. Na czele pochodu postępowali lutniści i fleciści. Pierwszeństwo kroku przyznano im z powodu, że muzyczny turniej poraz pierwszy wchodził w program uroczystości Panatenejskich.

Za muzykami postępowali pieszo obywatele, żołnierze zbrojni w tarcze i krótkie miecze, a za niemi tętniła konnica podzielona rzędnie na małe kolumny, prowadzone przez oddzielnych wodzów. Za konnicą szli zwycięzcy wczorajszych wyścigów konnych i wozowych, które odbyły się na otwarcie Odeonu.

Tuż za zwycięzcami postępowała procesja kapłanów, augurów i ofiarników, którzy w tak ważnym dniu mieli składać uroczyste hekatomby we wszystkich świątyniach ateńskich. Za kapłanami szli dostojni

starcy, wybrani z pośród ateńskich obywateli; nieśli oni kwiaty i podarki, które miały być złożone u stóp bogini na Akropolu. Za tem szanownem gronem postępowali obywatele Aten z oliwnemi gałązkami w ręku.

Tutaj szedł Perykles, Fidjasz i wielu przedstawicieli sztuk pięknych, jak Iktonos, Kallikrates, Mnesiklos i inni; a także słynni muzycy: Damon i Pytokleidos, równie jak Efialtes i inni dostojni urzędnicy państwa. Uczeni i filozofowie przyłączyli się także do tej grupy. Tutaj również widzieć było można sławnych poetów: Eschylosa i Sofoklesa.

Pierwszy z nich dawniej już pozyskał wielkie imię przez swoje tragedje. Ale w ostatnich czasach prześcignął go młodszy Sofokles. Dwaj ci mężowie, sławą i sztuką złączeni, bardzo się przecież różnili swoim do Peryklesa stosunkiem. Sofokles był mu oddanym przyjacielem, Eschylos przeciwnie, zachowywał się względem Peryklesa niemal nieprzyjaźnie.

Sędziwy tragik z niechęcią patrzył na zwycięstwo demokratów w kraju. Opowiadano też sobie, że w nowym dramacie swoim »Orestesie«, który w dniu jutrzejszym miano w teatrze Djonizosa przedstawiać, Eschylos bardzo jasno i bardzo życzliwie wypowie się za Areopagiem, jako stronnik jego absolutnej władzy. Tak przynajmniej utrzymywał Efialtes, który sam, a był to obowiązek honorowy, od którego żaden obywatel Aten usunąć się nie mógł, należał do »chóru«, i teraz właśnie obok Peryklesa idąc, obznajmiony z treścią »Oresta« deklamował mu niektóre ustępy dramatu.

Ale Perykles nie troszczył się tem wcale. Wysiłki partji arystokratycznej, aby dawny urok odzyskać, zdawały mu się całkiem bezsilne, w obec usposobienia ludności.

Gdy tak pochód posuwał się zwolna świątecznie przybranemi ulicami miasta, ogromne tłumy cudzoziemców i ze wsi przybyłych Greków przypatrywało mu się, stojąc po obu stronach ulic, długim, barwnym rzędem. Szczególny poklask tylu widzów zdobyła sobie grupa najpiękniejszych i z najszlachetniejszego rodu pochodzących dziewic ateńskich, które w ręku i na głowach niosły kosze ofiarnych kwiatów.

Obok tego obrazu żywej wiosny, postępowały starsze obywatelki Aten, niosąc na znak gościnności swych domów, gałęzie dębowe, a dąb był drzewem poświęconem w Atenach Zeusowi Kseniosowi. W tej grupie szlachetnych niewiast znajdowała się także Aspazja wraz z małżonką Hipodamosa idąca.

Środkowy punkt pochodu stanowił posuwany na kołach olbrzymi okręt, na którym w kształcie żagla rozpięta była zasłona opiekuńczej bogini Ateny, z najkosztowniejszej sporządzona tkaniny, a przez młode dziewice bogato złotem i jedwabiami wyhaftowana. Zasłoną tą miał być teraz posąg bogini odziany, jako darem serc i rąk najszlachetniejszych, najczystszych i jedynie godnych.

Tak ustawiony posuwał się zwolna pochód ulicami Aten, wśród dźwięków lutni i fletów, wśród poklasku widzów, zatrzymując się przed świątyniami, gdzie składano krótkie ofiary kadzidła i kwiecia, aż wreszcie wstąpił na Akropol.

Akropol w ostatnich czasach zmienił się do niepoznania. Zrzucono przedewszystkiem stary chram Ateny z jego drewnianą palisadą, a na wyrównanej skalnej płaszczyźnie szczytu wzgórza wznosiła się na jego miejscu nowa wspaniała świątynia. Nie była ona jeszcze wykończoną. Wielkie bloki najczystszego mar-

muru leżały dokoła przygotowane do jej ostatecznej budowy. Ale już teraz nawet zdumiewał ów »Partenon« tak wysokością swoją, jak i cudnym kształtem. Było to arcydzieło architektury w formie długiego prostokąta. Dokoła wnętrza biegła galerja, wsparta na rzędach smukłych marmurowych kolumn. Szczególniejszą ozdobą Akropolu miało być szerokie, na kolumnach wsparte wejście, któreby od podwórza krużganku aż do świątyni wiodło.

Zamiłowany w pięknem budownictwie, zarówno jak w muzyce, do której je porównywał, mąż stanu oddawna zarys wejścia tego obmyślił. Ale ogromna suma, jakiej wymagało nowe to przedsięwzięcie, nie była jeszcze przez zgromadzenie ludowe zatwierdzoną.

Podczas kiedy pochód na szczyt wzgórza wszedłszy, rozdzielił się, aby broń złożyć i do śpiewania hymnu na cześć bogini ustawić się, rozwijał Perykles w rozmowie z przyjaciółmi plan takich »Propylejów«. Fidjasz i Mnesiklos zachwyceni byli jego pomysłem. Ale i oni przyznać musieli, że olbrzymiego dzieła tego uskutecznienie wymagałoby conajmniej sumy dwóch tysięcy talentów. Skądże tedy Ateńczycy tak ogromne koszta ponieść by mogli?... Już teraz nawet skarb krajowy, którego zawiadywanie Areopagowi odjętem zostało, już teraz znacznie zmalał. Same już djety dzienne sześciu tysięcy obywateli ateńskich, powołanych na przysięgłych sędziów, pochłaniały ogromne sumy. A do tego przybywał jeszcze nowo wprowadzony żołd wojowników, którzy dawniej dla zaszczytów tylko i dla łupów, krajowi orężem służyli. Rozrywki i oświata ludu również niemało pochłaniały grosza. Uroczystości religijne były także teraz i liczniejsze i wspanialsze. A wstęp do teatru, iżby i ubodzy korzystać z widowisk mogli,

ograniczony został do dwóch oboli dla biedniejszych obywateli; zajmowali oni wiele miejsc, a mały przynosili przedstawieniom dochód. Ani więc myśleć teraz można było o nowych i to tak ogromnych wydatkach na dzieła sztuki.

Efialtes miał w tym przedmiocie własny swój pogląd, który gdy wynurzył, słuchający go mężowie poczęli trząść głowami.

Sądził on, że budowa Propylejów nie jest tak niepodobną, jak się być wydaje. Należy tylko rozszerzyć handlowy obszar Aten i utrzymać nadal zależność handlową małych związkowych państw, które się w czasie wojen perskich pod skrzydła Aten tuliły. Otóż Cymon jeszcze preprowadził zwyczaj, że państwa związkowe, którym ustawiczna służba we flocie uciążliwą była, dosyłały Atenom statki tylko, a zamiast wojennych załóg, odpowiednie sumy pieniężne. Teraz więc należałoby zrobić krok naprzód jeszcze: teraz należałoby skarb związku delijskiego wprost do Aten przenieść.

Projekt był śmiały, wielki, a to tak dalece, że się aż zbyt śmiałym, zbyt wielkim wydawał. Liczne więc głosy odezwały się i za i przeciw.

Perykles podzielał zdanie przyjaciela. Prócz zysków materjalnych, uczyniło by przeprowadzenie projektu tego Ateny środkowym punktem ustanowionego związku ku wzajemnej przeciw Persom obronie. Była to korzyść moralna tak znaczna, że przenosiła niezawodnie wszelką inną. Ale i materjalna do pogardzenia nie była, zważywszy, iż skarb związkowy wynosi obecnie trzy tysiące talentów i że rozporządzając nim, Ateny miałyby rozwiązane ręce w wielu sprawach, publicznego dotyczących dobra. Czy byłoby to jednak

słusznem, mówili niektórzy, ten skarb związkowy, który wiadomo, że jest przedewszystkiem groszem narodowej obrony od nieprzyjaciół, obracać na upiększenie Aten?...

— Czemuż nie? — odrzekł Perykles. — Wszak Ateny wcale nie byłyby odpowiedzialne za użycie skarbu tego w obec państw związkowych, które go złożyły jako podatek obowiązujący je względem przodującego im państwa. Nie z czego innego bowiem powstał skarb, jak z drobnych, częściowo składanych sum, na rzecz publicznego bezpieczeństwa, które im przodujące państwo zapewnia. Nie do dawców więc skarb ów należy, ale do przyjmującego odpowiedzialność powszechnej obrony, o ile tę obronę dającym poręcza. Gdy więc nasze nowe ustawy, wojskowej służby dotyczące, stawiają nas w możności i potrzebie utrzymywania gotowego ku tej obronie żołnierza, słuszna jest i sprawiedliwa rzecz, aby to, co po uzbrojeniu należytem żołnierza tego zbywa, było obróconem ku sławie nieśmiertelnej i ozdobie grodu naszego.

Ważna ta rozmowa mężów została przerwaną. Jasne, czyste głosy rozbrzmiały hymnem na cześć bogini, ofiara całopalna zapłonęła na jej ołtarzu, a podarki i kwiaty składano u stóp posągu.

Z uniesieniem religijnem słuchał lud hymnu, łącząc głosy ze śpiewakami w chórze harmonijnym. A gdy śpiew przebrzmiał, zapanowała nad tłumem uroczysta cisza.

Teraz słychać było drżące głosy kapłanów, pełniących ofiarę. Dym kadzideł, przejmująca woń palonych ofiar, napełniły powietrze. Westchnienia podniosły piersi. Każdy tu ofiarował swe troski i o pomoc prosił. Szept modlitwy przebiegał masy zebranego

ludu, a ci nawet, którzy się nie modlili, mieli oblicza poważne, skupione. Podniosły się wreszcie nad tłumem drżące dłonie kapłanów z błogosławieństwem. Poczem pochód ustawił się w poprzednim szyku i z pieśnią wtórzącą lutniom i fletom, do miasta powracał.

Efialtes pożegnał przyjaciół. Śpieszył on do teatru Djonizosa, położonego po przeciwnej stronie Akropolu, gdzie właśnie miała się odbyć generalna próba jutrzejszego przedstawienia trylogji Eschylosowej. Jako »Choreuta« nie mógł on być na próbie tej nieobecnym; aby więc honorowemu obowiązkowi zadość uczynić, odrywał się Efialtes na parę godzin od zwykłych swoich poważnych zatrudnień.

Szczególniej zależało na jego obecności w chórze. Jako albowiem wyborny mówca, on to przodował młodym »Choreutom« w modulacjach głosu i nadawał ton właściwy do wyrażenia uczuć i myśli, jakich chór miał się stać wyrazem. Na poranne przedstawienie trylogji zgłaszała się już od dłuższego czasu wielka masa ludzi.

Teatralne przedstawienia codziennemi w Atenach nie były. Służyły one raczej do uświetnienia ważnych uroczystości.

W budowie teatru Djonizosa zużyto bardzo szczęśliwie skalistą ścianę Akropolu. Tarasami wznosiły się tu siedzenia dla widzów, aż do zawrotnej wyżyny szczytu. Przestrzeń amfiteatrem objętą była tak wielką, że przeszło trzydzieści tysięcy ludu pomieścić się tu mogło. Widzowie zasiadali swe miejsca półkręgiem, na coraz to wyższych stopniach, jakby olbrzymich schodach. Najwyższe rzędy nie były jeszcze gotowe. Odsłaniał się z nich przepyszny widok na morze, na jego błękit, na wiejące po nim żagle. Scenę stanowiła wznie-

siona, wązka, daleko sięgająca wolna przestrzeń. Na najbliższej jej części od strony widzów, na tak zwanym »Proscenjonie« występowali aktorowie; na najdalszej, była właściwa scena. Tutaj ustawiano dekoracje. Między proscenjum a widzami mieściła się niewielka »orkiestra«, w pośrodku której stał ołtarz Djonizosa. To było miejsce, z którego odzywał się »Chór«.

Chór wykonywał znaczniejszą część widowiska. Ściśle rzeczy biorąc, on sam był właśnie zarodkiem greckiego dramatu, gdy na cześć Djonizosa wykonywał tańce i śpiewał natchnione hymny. Z czasem, gdy właściwy dramat się rozwinął, chór zawsze jeszcze brał żywy i znaczny w nim udział, już to przez wypowiadanie najogólniejszych i najbardziej znaczących założeń dramatu, już nawet przez współgrę z samemi aktorami. Za wynalazcę dramatu, który zwał się zrazu tragedją, uważano powszechnie Tespisa, który za czasów Solona, obok chóru śpiewającego i tańczącego dokoła ołtarza Djonizosa, pierwszy wprowadził aktora, przemawiającego do widzów z wozu pokrytego deskami. Ten wóz i te deski to była pierwsza teatralna scena. Ale właściwy teatr zbudowano Djonizosowi dopiero za czasów Pizystrata.

Efialtes zastał już zebranych młodzieńców, którym miał przewodniczyć w chórze. Byli to po większej części synowie znakomitych rodzin. Między niemi był i Ksantypos. Niektórzy z nich przechadzali się już w kostjumach, w których występować mieli w trzeciej części trylogji.

Dwie pierwsze jej części: »Agamemnon« i »Choefory« już w dniu wczorajszym odegrane zostały. Dzisiaj przedstawiać miano »Eumenidy« zamykające potężną kreację dramatyczną wielkiego Eschylosa.

Podczas kiedy Efialtes wprawiał część powierzonego sobie chóru do właściwej modulacji głosu i wyrazistej dykcji, pozostali choreuci powtarzali partje śpiewów, w których wystąpić mieli.

Najmłodszym z przywódców chórów był Kalljas. Należący do chóru jego młodzi Ateńczycy wyobrażać mieli w ostatnim występie członków Areopagu. Mieli oni na twarzach maski szanownych starców, a długie bogate szaty wlokły się za niemi, gdy majestatycznie przechadzali się na wysokich koturnach, pod spodem nogi przymocowanych.

Stembrotos, słynny aktor, mający grać rolę Oresta, który zarazem całem przedstawieniem zarządzał, dał już znak rozpoczęcia próby. I tak stracono bardzo wiele czasu. Pochód na Akropol zatrzymał biorących udział w tragedji nadspodziewanie długo. Dzień miał się ku schyłkowi i należało ogromnie śpieszyć, jeśli próba miała być przed zapadnięciem nocy ukończoną.

Fleciści i lutniści ustawili się prędko w dwa rzędy po obu stronach orkiestry.

Widowisko było rozpoczęte.

Orestes, splamiony zbrodnią zabójstwa Klitemnestry, szuka pod ochroną Apollina ucieczki przed ścigającemi go Erynjami, uosabiającemi wyrzuty sumienia.

W tem miejscu spostrzegł Efialtes, że chórzyści z dziwnym naciskiem wymawiają zdania o karze i prześladowaniu za winę. Gdy przyszło do miejsca, w którym Erynje wołają o sąd na Oresta i wybuchają w ogromnych gwałtownych skargach na to, że wszędzie panuje nieprawość, posłyszał trybun za sceną przytakujący groźny pomruk wielu głosów. Natychmiast posunął się naprzód, aby nakazać spokój. Ale w tejże chwili spostrzegł utkwiony w siebie pała-

jący nienawiścią wzrok Kalljasa. Teraz dopiero, rzuciwszy okiem na obecnych, pomiarkował Efialtes, że wszyscy oni należeli do partji arystokratycznej.

Tymczasem, czy to że uczestnicy nie byli dziś przygotowani, czy że myśli ich rozproszone były, dość, że niektóre miejsca tragedji trzeba było wielokrotnie powtarzać, tak, że się próba przeciągnęła nad wszelkie spodziewanie. Zrobiło się już zupełnie ciemno. W orkiestrze musiano zapalić pochodnie, aby ruchy choreutów, a także dzikie tony bogiń pomsty rozróżnić.

Występ Erynji sprawił przerażające wrażenie. Były one straszliwem uosobieniem tych słów poety:

— Okropny ciemnej nocy ród,
Daleki mu i człek i Bóg.
A zło i zbrodnia jego płód,
A czarny Tartar jego próg.
Odtrącon od Olimpu bram,
Oblicza w chmurach kryje rad,
A śmiercią dech ich zionie sam
I z oczu tryska śmierci jad!

Z dzikim okrzykiem... Hahej!... Ehen!... Hahej! Hajahej!... gnały Erynje przed sobą wężowemi biczami uciekającego Oresta:

... W koło zabójcy miga nasz tan,
W koło zabójcy wężowy wian.
Pozbawion mocy,
Wskróś czarnej nocy
Zbrodzień ucieka...
Darmo! daremnie!
Wskroś nocy ciemnie
Ściga go, dręczy
W wężów obręczy.
Erynji tan!...

Tak brzmiały słowa pieśni, dobywającej się przez zaciśnięte zęby potwornych masek. Widmowo poruszał się ich okropny taniec w niepewnem świetle pochodni.

Naraz zatrzymały się Erynje, podnosząc żałosne, namiętne skargi na upadek wszelkiego prawa i sprawiedliwości. Był to jęk i wycie rozpaczy.

Efialtes zauważył nagle, że wiele słów tekstu zmieniono w chórze, zwracając skargi wprost przeciw stosunkom politycznym i prawnym w Atenach. To z pewnością nie było pomysłem Eschylosa! Z pewnością nie należało do tragedji. Efialtes słuchał zdumiony.

Kalljas z trupio bladą twarzą stał w głębi sceny. Otaczało go zewsząd wielu młodych ludzi. Nie biorąc udziału w widowisku, skupili się oni i w cichych szeptach wskazywali sobie wzrokiem młodego trybuna.

— Powinienby zrozumieć te słowa! — szepnął jeden z nich.

— Teraz... teraz patrzcie na niego, jaką minę zrobi na to, co teraz nastąpi.

— Nic nie miarkuje! — odezwał się inny.

— Nie wie, jak gwałtownie jutro słowa te podziałają na przedstawieniu!

— Ale my, — rzekł półgłosem pierwszy — my wszyscy powstać musimy z miejsc naszych, skoro się rozlegnie hymn na cześć najwyższego sądu Areopagu!

— A kto nie wstanie, tego wygwizdamy! Co? — zagadnął inny.

— Spodziewam się! Wszystkie arystokratyczne domy zgodziły się na to!

— Będzie to widowisko!...

— Cicho! Idzie ktoś! — przerwał Kalljas, który od samego zaczęcia próby w dziwnem podnieceniu się znajdował.

Nagle rozproszyli się młodzi spiskowcy. Ktoś z chóru Erynji się zbliżał. Podszedłszy, zdjął maskę

i Kalljas zobaczył przyrodniego brata swego, Ksantyposa. Ale zaledwie przybyły rzucając dokoła trwożliwe spojrzenia, zapytał go o coś, Kalljas położył palec na ustach, brew zmarszczył.

— Zdradzasz nas! Milcz, na Zeusa!

Zaraz wszakże pociągnął go za sobą głębiej jeszcze w mrok zupełny.

— Efialtes szpieguje nas — mówił Kalljas przerywanym głosem. A ty jeszcze prosto tu idziesz na nas?

— Widziałem to, Kalljasie — odparł Ksantypos. — I dlatego raz jeszcze ci mówię, czekajmy, odłóżmy rzecz na później.

— Na później?... — zaśmiał się szyderczym, stłumionym głosem starszy. — Na kiedyż to?... Wspomnij na słowa Elpiniki! Jutro będzie już po czasie! Wszak jeszcze przed rannem widowiskiem odbędzie się poświęcenie Efebów! Na to tylko czeka Efialtes, żeby cię zgubić.

Ksantypos drżał na całem ciele. Zimny pot wystąpił mu na czoło.

— Tak — mówił, a zęby szczękały mu jak w febrze. — Tak! wiem! zdradzi mnie! Ale tak się czuję słabym! tak...

— Tchórzu! — syknął Kalljas.

Wstrząsnął się chłopiec i nie odpowiadając bratu, przemknął przez ciemną scenę jak widmo w swoich czarnych szatach Erynji.

Widowisko ciągnęło się tymczasem dalej.

Właśnie oznajmiła bogini Atene, że odbierze władzę pomsty okropnym Erynjom i odda na wieczne czasy prawo kary sprawiedliwym przysięgłym sędziom. Wzywała Erynje ażeby dały dowody i wskazały świadków

zbrodniczego czynu Oresta, zanim przystąpią do wydania sądu na niego, przypomniawszy jeszcze, że tych sędziów znajdzie ona w grodzie, który opieką otacza, w Atenach. Co rzekłszy, dobra bogini wstąpiła na wóz przez uskrzydlone rumaki ciągniony i znikła.

Teraz wybuchnęły Erynje w dzikim chóralnym dwuśpiewie:

... Więc nam już ginąć wedle nowych praw!
Więc nie pomszczona odtąd będzie krew?

Odezwał się dziki głos pierwszej z mściwych bogiń.

A na to inne:

Dobry jest strach, co jako stróż
Pilnuje serca! Dobry karci
Gdy ten upadnie, któż, ach któż
Szanować będzie prawa głos?

Te dzikie skargi brzmiały coraz przeraźliwiej, coraz żałośniej.

Efialtes z przykrością słuchał tych słów, tak wyraźnie obliczonych na wzburzenie ludu przeciw nowym sądowym ustawom.

Teraz przychodziła do głosu druga połowa chóru, zmieniająca się kolejno z pierwszą. Erynję, która po owej strofie antystrofę wypowiedzieć miała, przedstawiał najmłodszy z choreutów. Ten zbliżył się z podniesionemi rękami ku siedzeniom widzów i z widocznem wzburzeniem wewnętrznem tak przemówił:

To moja pierwsza i ostatnia rada:
Szanujcie ołtarz praw dawnych, o Grecy!
I nigdy płochą stopą go nie depczcie,
Bo przyjdzie kara na was! Już się zbliża!
Już ją zuchwalcom oznajmuję tutaj...

— Dość! Ani słowa więcej! — przerwał mówiącemu Efialtes.

Aż dotąd tłumił on w sobie coraz wzbierający gniew. Gdy wszakże ta ostatnia przemowa aż nadto widocznie dążyła do wzburzenia słuchaczów przeciw mężom, którzy Areopag z uroku dawnej władzy odarli i sami ją posiedli, nie mógł młody trybun ścierpieć dalszego podburzania umysłów.

— Zamierzacie zdradę! — zawołał teraz z wybuchem nagłego gniewu. — Kto z was napisał te słowa?

Ale w tejże chwili ujrzał się otoczonym przez współgrających.

— Precz ze znieważycielem Areopagu! — zakrzyknął teraz ów, któremu Efialtes mowę przerwał.

Nie zdołał jeszcze opamiętać się młody trybun, kiedy go tłum masek pchnął w ciemną głąb sceny.

— Co się stało?... Cicho! ciszej! — Wołali inni, nie wiedząc, czemu przypisać nagłe zamieszanie.

A wtedy od strony widzów podniosła się przed orkiestrą wysoka postać męża.

Był to Eschylos.

— Spokój tam! — zabrzmiał poważny głos sędziwego poety.

— Precz ze zdrajcami! — zakrzyknięto z głębi ciemnej sceny.

Eschylos zstąpił z pośpiechem ze swego siedzenia i zszedł przed samą orkiestrę.

— Czy nie mówiłem — zawołał Stembrotos wzburzony — że poprawki wywołają skandal?

— Nie rozumiecie mej myśli! — rzekł Eschylos na to. — Tragedja istotnie bierze cześć Areopagu w obronę, ale nie oskarża nikogo. Jej zadaniem i zamiarem moim jest zgoda współobywateli. Chcę, aby Areopag wyczerpnął ze słów mych pociechę, że ta re-

szta władzy, jaką ma teraz, nigdy mu już odjętą nie zostanie!

— Nic ze zgody! — krzyknięto z głębi sceny. — Nie ma żadnej zgody ze zdrajcami!

— Ciszej! — zagrzmiał Stembrotos, a miał głos potężny.

— Grajcie dalej! — rzekł z siłą Eschylos. — Dopiero koniec tragedji całą myśl moją wykaże. Stembrotosie! Mów słowa bogini Atene.

— Ciszej tam, ciszej!... — wołała część obecnych.

Tymczasem Efialtes, który się chciał przedostać ku orkiestrze na owo miejsce próżne, czynił usiłowania, aby się przebić przez tłum, który go murem otaczał. Gorące oddechy roznamiętnionych mężów i młodzieńców czuł prawie na twarzy.

Widocznem było, że nie wypuszczą go z pomiędzy siebie cało.

Stembrotos stanął w postawie bogini i tak mówił:

Słuchaj więc prawa, o ludu Attyki!
Co ci moc sądu nad zbrodniarzem daje:
Tyś jest najpierwszy z potomków Egeja,
Co zasiadł ławy te sprawiedliwości
Na wzgórzu Ares i w Areopagu!
Niechaj braterska cześć obywateli
Łączy was z sobą jedności przykładem
I przeciw zbrodniom ubezpiecza wzajem.
Kto skazi czyste źródło mych wyroków,
Męty pić będzie aż do zguby własnej!
Pod rządem prawa, nie pod rządem gwałtu
Żyć winien naród, chce li żyć szczęśliwie.
W sprawiedliwości czerpajcie krynicy,
Gdyż i sąd nawet ma nad sobą — sędzię!

Przeraźliwy krzyk zagłuszył ostatnie słowa aktora. Z głębi sceny dał się słyszeć łoskot ciężko upadającego ciała, a w tej samej chwili rozproszyła się ciżba,

która Efialtesa objęła. Biegli teraz ludzie ku wyjściom sceny w gwałtownym pośpiechu, pytając jedni drugich: Co się stało?

A wtem padł z ust jednego z muzyków stojących niedaleko orkiestry i oczekujących swojej kolei, okropny okrzyk:

— Morderstwo! Zabójstwo!

Ogromny wykrzyk zawtórował tym słowom.

Jak skamieniały stał Eschylos i patrzył w głąb sceny. Stembrotos też się ku niej z otwartemi jeszcze ustami obrócił i nagle rzucił się w orkiestrę, chwycił pochodnię i przebiegłszy scenę, oświetlił jej głąb ciemną. Dreszcz przerażenia wstrząsnął obecnych, gdy przy migotliwym blasku pochodni ujrzano martwe ciało w kałuży krwi leżące.

— Efialtes! — zakrzyknęły głosy.

Ludzie zaczęli uciekać. Zrobił się zamęt nie do opisania. Aktorowie biegli przez scenę, rzucając szczudła, maski i długie plączące się im u nóg płaszcze; znaleźli się wszakże i tacy, którzy otoczyli ciało zabitego w milczeniu zgrozy pełnem.

Kto był mordercą, nikt nie wiedział. Broń morderczą, która jeszcze w piersiach ofiary tkwiła, nie dawała żadnej wskazówki. Był to sztylet, podobny do tysiąca innych, jakie Ateńczykowie nosili, bez żadnego szczególnego znaku.

Najbardziej wszakże wzburzonym i nieprzytomnym prawie był Kalljas. Gdy trupa zobaczył, zakrzyknął strasznym głosem, chwycił za ramię znajomego i błagał go, by go uprowadził z sobą. Przerażenie jego było tak wielkie, że zataczał się prawie i ledwie iść zdołał, uderzając rękoma w ciemności, prowadzony przez towarzysza, jak błędny.

Tymczasem ze wzgórza biegli w najwyższem pomieszaniu ludzie, krzycząc:

— Morderstwo! Morderstwo!

Straszliwie brzmiał krzyk ten wskroś pustki i nocy. Na placach miejskich ruch jeszcze panował, zwłaszcza na Troistej ulicy, która z rynku Kerameikos na Akropol wiodła; przechadzało się tu dużo ludzi, używając wieczornego chłodu. Kobiety nawet, opuściwszy zamknięte komnaty, w towarzystwie córek i służebnic przyszły tu, aby wraz z mężami swemi odetchnąć rzeźwiącym tchem morza.

Jak piorun spadła tu wieść o zbrodni w teatrze Djonizosa spełnionej.

Efialtesa kochali i szanowali wszyscy współobywatele. Rzucono się tedy całym tłumem w stronę Akropolu, ku tym, co ze wzgórza biegli, zatrzymując ich, pytając, wydając okrzyki zgrozy.

Jak inni, tak samo był zatrzymany Kalljas z towarzyszem swoim. Ale pomieszanie młodzieńca było wprost zadziwiające. Dawał odpowiedzi niejasne, wzroku ludzkiego unikał i drżał na całem ciele, jak w febrze. Na domiar złego, ów towarzysz odbił się gdzieś w ścisku, i Kalljas został sam. Rzucił się tedy w bok i biegł jak zwierz ścigany, instynktem wybierając puste i kręte uliczki. W jednej z nich zaszła mu niespodzianie drogę, śpieszącą ku rynkowi postać kobieca.

Była to Elpinika.

Cofnął się Kalljas ku najbliższemu zakrętowi, ale go już spostrzegła.

— Prawdaż to? — zawołała ochrypłym głosem, chwytając go za rękę. — Prawdaż to, co na mieście mówią? Efialtes nie żyje? Efialtes zamordowany?...

Kalljas milczał.

— Mówże! — krzyknęła, cisnąc z całych sił jego rękę, a oczy jej pałały jakimś wilczym ogniem.

Młodzieniec skinął głową.

— A kto... kto to uczynił? — wyszeptała Elpinika, zbliżając do Kalljasa swą twarz pałającą.

— Ja... ja nie wiem! To było w ścisku... w tłumie — tłomaczył Kalljas wyrywając rękę. — Ta zbrodnia będzie pomszczoną!... Biada zbrodniarzowi — wołał. — Twarz jego z bladej stawała się szarą.

Drżał tak, że stara arystokratka spojrzała na niego z pogardą.

— Czego się trzęsiesz ty... tchórzu? Kogo się lękasz?

— Erynji! — krzyknął Kalljas z jakąś nieprzytomną rozpaczą. — Erynji! Elpiniko, uciekaj! O!...

I wyrwawszy rękę, biegł jak szalony ku domostwu swemu. Zimny pot oblewał całe jego ciało, kiedy dopadł bramy.

Kilku niewolników stało gawędząc przed progiem. Widocznie czekali na młodego pana. Ujrzawszy go jednak w tak strasznem pomieszaniu, cofnęli się wylękli.

— Światła! — krzyknął Kalljas. — Dawajcie światła! dużo, jak najwięcej światła!

I nieprzytomny biegł we drzwi komnaty.

Natychmiast rozdmuchano starannie pod popiołem przechowany żar ogniska i zapalono pochodnie. Były to długie wiązki smolnego łuczywa z cienkich szczepek, łykiem wiązane. Gdy je zatknięto w umyślnie przygotowane i u kolumn przytwierdzone obsady, światło ich wydało się Kalljasowi niedostatecznem. Wszystko zresztą w komnacie zdawało się poruszać i przybierać okropne kształty. Rozbiegli się tedy słu-

dzy, zapalając i ustawiając lampy: okrągłe, półkoliste naczynia, z dwoma otworami, z których jeden służył do nalewania wewnątrz oliwy, a drugi utrzymywał knot.

Teraz dopiero Kalljas uspokoił się nieco i rzuciwszy się na klinjon, pot ocierał z czoła. Tymczasem stary szafarz stanął przed nim i o rozkazy pytał. Nie doczekawszy odpowiedzi, zaczął wyliczać przysmaki i łakocie przygotowane na jutrzejsze święto.

Ale Kalljas i teraz milczał także, dysząc ciężko.

Stary sługa patrzył na niego z dziwem. Nareszcie kazał sobie młodzieniec podać wina. Skoczyli niewolnicy i powrócili natychmiast, niosąc różne dzbany do wyboru. Piwnica hulaszczego młokosa była zaopatrzona bogato w ciężkie greckie wina. Kalljas chwycił najmocniejsze i nie nalewając w kubek, przychylił dzban do warg spieczonych, i pił, pił chciwie; poczem ruchem ręki czeladź swą na spoczynek odprawił. Chciał być sam. Kroki niewolników, jakkolwiek ciche, drażniły go. Ich głosy, ich szepty także. Wszystko go drażniło i niepokoiło.

Dzban tylko z resztą wina postawił przed sobą na nizkim stole i wyciągnięty na klinjonie, zwrócił się myślą ku wypadkowi tego wieczora. Ale myśl wirowała jak w zaklętem kole. Dzikie i żałosne krzyki Erynji brzmiały mu w uszach i huczały w mózgu. Ogromne wstrząśnienie, jakiego doznał, zespoliło się nierozerwalnie z ich zawodzeniem, z ich szczującym mściwym głosem.

... Hohej!... Hejahej! Ho! Ho! brzmiało i świszczało mu w uszach.

Nagle zerwał się. Na tle jaskrawo oświetlonej ściany poruszał się cień jakiś. Młodzieniec krzyknął i wy-

ciągnął rękę, jakby do obrony. Ale nadludzkiej wysokości widmo także wyciągnęło ramię.

— Cień Klitemnestry... — szepnął zimnemi usty Kalljas, a w mózgu jego zaczęły wirować słowa, któremi zamordowana, Erynje ku zemście przeciw zabójcy pobudza.

... Ze snu go budźcie, jako zwierza w kniei
Psy budzą gończe, szczekając zajadle.
Dalej! Do dzieła! Do krwawego dzieła
Pomsty, od samej zbrodni krwawszej jeszcze!
Bijcie mu serce wężowemi biczmi,
Dalej! W gon za nim! W gon do samej śmierci!...

Z niesłychaną wyrazistością huczała ta skarga Klitemnestry w uszach wzburzonego Kalljasa, z dramatu Eumenidy, wczoraj jeszcze odegranej części Eschylosowskiej tragedji.

Nagle krzyknął ze zgrozą. We drzwiach stanęła czarna postać, otulona w długie, wlokące się za nią szaty. Straszliwe rysy jej twarzy wykrzywiała rozpacz. Tak! To była Erynja! To była pomsta... pomsta! Węże wiły się jako loki naokoło tej głowy olbrzymiej.

Kalljas padł nieprzytomny na klinjon, szczękając zębami.

Wtem z poza tej okropnej maski odezwał się głos trwożny.

— Kalljasie, ratuj mnie! Kalljasie!

— Kto jesteś? — pytał Kalljas ochrypłym z przerażenia głosem.

Przerażająca maska Erynji opadła. Pijany strachem i winem Kalljas ujrzał bladą, zmienioną twarz przyrodniego brata.

— Ksantypos! ty!

Przybyły rwał na sobie w sztuki czarne szaty z jakiemś wściekłem uniesieniem. Cisnął w kąt maskę,

zerwał z głowy perukę i resztę szmat, jakie w strzępach na nim wisiały. Teraz ukazał się w zwykłem swem ubraniu, którego fałdy porządkował z gorączkowym pośpiechem.

Kalljas ciągle jeszcze był jak nieprzytomny. Język mu się plątał, głowa ciężyła, wszystko mu się zdawało ciężkim snem i zmorą.

Tymczasem Ksantypos do ogniska skoczył, rozdmuchał je i zwinąwszy szmaty zerwanego z siebie przebrania, razem z maską i peruką w płomień cisnął. Buchnął snop iskier, ogień trzeszczał przez chwilę, poczem wszystko stało się popiołem.

Wtedy Ksantypos odetchnął i do Kalljasa się zwrócił.

— Ścigają mnie! — rzekł półgłośnym szeptem. — Bracie, broń mię! Widzieli!... Zdradziłem się. Ludzie gonią za mną! Tam... cały tłum, cała kupa ludzi. Zaledwie tu uciekłem, a oni krzyczą: Efialtes... Efialtes!...

Uchwycił się Kalljas kolumny, żeby nie paść. Nogi trzęsły się pod nim, gdy się podniósł z klinjonu. Wyciągnął rękę do brata i palcem dotknął jego piersi.

— Ksantypos! Tyś jest mordercą jego! — zawołał.

— Nie jestem mordercą — odrzekł młodszy brat. — Jestem oswobodzicielem!

I rzuciwszy się do stołu, dzban z winem chwycił, wyciągając ku niemu spieczone usta.

Kalljas wyrwał mu dzban z ręki.

— Precz! — krzyknął. — Precz stąd! Zgubiony będę, jeśli cię tu znajdą!

Ksantypos patrzył na brata w niemem przerażeniu.

— Nie jestżeś wspólnikiem? — zapytał. — Nie ty-

żeś to popchnął mnie do tego czynu? Com zrobił, zrobiłem nietylko dla siebie, ale i dla ciebie także!

— Kłamiesz! kłamiesz! — krzyczał, tracąc resztę przytomności Kalljas. — Moje ręce wolne są od morderstwa! Ja się nie zmazałem krwią.

I nagle stanęły mu na głowie włosy. Wyraźnie usłyszał znowu krzyki trwogi i rozpaczy, krzyki mściwych bogiń.

„... Jako psy tropią lań ranną po śladach,
Tak my zbrodniarza tropim węsząc za krwią...
Już nam tchu w piersiach nie staje w tym gonie,
Przeleciał lądy i rzuca się w morze...
Dalej! wpław za nim, wpław za krwi zapachem,
Ho! Hejahej! Hahej!... Hahej!... Dalej!...

Stał przez chwilę, głosów owych w swym wnętrzu nasłuchując, poczem złamany przerażeniem, upadł na siedzenie.

W tej chwili wszakże dały się słyszeć głosy i kroki w ganku, który z ulicy do atrjum prowadził.

— Tu wbiegł! Tu się ukrył! — wołano ze dworu. — Maskę miał i czarne szaty. To był jeden z chóru.

— Hej, tam! otwierać! otwierać!

Zaledwie Ksantypos głosy te posłyszał, wpadł przez boczne wejście do sypialni brata, pchnął okno na ogród wiodące, skoczył w nie i znikł w cieniach nocy.

Tymczasem ludzie wtargnęli na dziedziniec. Dziki krzyk zbudził niewolników; zerwali się tedy z posłań swych i ku atrjum biegli. Tłum ludzi pchał się i tu i coraz zwiększał.

— Przeszukać dom! — wołano — przetrząść dom cały!

Przestraszeni niewolnicy ledwie się ośmielili pytać — co się stało?

— Morderca Efialtesa ukrył się tutaj! — zakrzyknęły głosy.

Chwycono pochodnie u kolumn płonące i cały tłum rzucił się w głąb domu. Niewolnicy tymczasem ratowali pana. Pierwszy szafarz spostrzegł, iż on leży omdlały, a chwyciwszy kubek z wodą, nacierał mu skronie. Gdy zaś Kalljas zaczął przychodzić do siebie i błędnym wzrokiem dokoła wodził, stary sługa usiłował mu wytłómaczyć powód najścia tych obcych ludzi na dom jego.

— Szukają kogoś... — mówił — jakiegoś zbiega. Musieli się pomylić!

Głosy dawały się słyszeć coraz bliżej.

— Szukajcie! świećcie! cały dom strząść trzeba! Morderca ujść nie może!

Kalljas słuchał tych głosów, milcząc. Zdawało mu się, że to jeszcze dalszy ciąg widowiska w teatrze Djonizosa.

— ... Hahej!... Hajahej!... — wyszeptały jego sine wargi, poczem głowa bezwładnie na pierś mu opadła.

Kiedy obywatele podaremnem szukaniu weszli do komnaty, Kalljas był pogrążony w głębokim uśpieniu.

VIII.

Erynje.

Późno w noc szli w milczeniu i wolnym krokiem mężowie, niosący ciało zabitego z teatru Djonizosa do ubogiego domostwa jego.

Perykles prowadził ten żałobny pochód. Żaden okrzyk, żadna skarga nie wyszły z ust jego, gdy mu przyniesiono okropną wieść o śmierci przyjaciela. Jakby zmartwiały z bólu, przyjął nieruchomo straszne poselstwo. Tylko jego wzrok odbijał nieskończoną żałość duszy.

Posępnie i w paru słowach rozporządził przeniesienie zwłok zamordowanego. Do pochodu przyłączyli się Anaksagoras, Fidjasz, Hipodamos, Sofokles i wielu innych obywateli.

W milczeniu ruszył pochód za Peryklesem, którego niewolnicy nieśli na marach ciało zabitego. W atrjum ubogiego domostwa ustawiono mary te na ziemi. Otoczyli je mężowie ateńscy w niemej i cichej rozpaczy. Każdy ostatnią straż trzymać chciał u tego śmiertelnego wezgłowia. Ponieważ Panateneje jeszcze ukończone nie były, ciało zamordowanego musiało zatem być pogrzebane już jutro wczesnym rankiem.

Według greckiego obyczaju bowiem, nie mógł się trup nie pogrzebany znajdować w mieście podczas tak wielkich uroczystości.

Razem z dnia brzaskiem przystąpiono tedy do pogrzebowych obrzędów. Perykles, jako najbliższy zabitego, sam w braku krewnych, włożył mu w usta obola, aby miał czem Charonowi opłacić przewóz przez Styks. Namaszczono potem ciało balsamami, owinięto je w żgło z cienkiego płótna i obrzucono wieńcami i gałązkami zieleni, które w ciągu nocy w wielkiej obfitości nadesłali znajomi i przyjaciele.

Ruszył żałobny orszak. Na czele szedł chór, śpiewając pieśni pogrzebowe. Mary niesione były przez najbliższych przyjaciół zamordowanego.

Groby obywateli ateńskich znajdowały się po za bramami miasta, wzdłuż gościńca. Tam to zwrócił się orszak wolnym, uroczystym krokiem.

Już w ciągu nocy niewolnicy Peryklesa przygotowali grób wykuty w skale. Kiedy postawiono mary tuż przed nim, Perykles przemówił kilka słów wzruszających, żegnając czule miłego druha od siebie i od współobywateli, poczem grudki ziemi upadły na białe płótno, zakrywające ciało Efialtesa. Rzucali je przyjaciele i blizcy. Zaczem kopacze ująwszy łopaty, zasypali otwór i założyli go kamienną płytą.

Orszak żałobny powracał milcząc do miasta. Właśnie na ulicach rozległy się radosne okrzyki świętujących tłumów. Zwłaszcza przed świątynią Ateny Pramachos cisnął się lud gwarnie. Tutaj bowiem miano dzisiaj poświęcić Efebów.

I Ksantypos znajdował się w gronie wybranych młodzieńców. Twarz jego była śmiertelnie bladą, wzrok

mętny i osłupiały. Całą noc spędził po za ojcowskim domem.

Paralos, z którym dotychczas brat starszy dzielił jedną sypialnię, oka zmrużyć nie mógł, poddając się w swej samotności niepokojącym myślom i przypuszczeniom. I teraz oto biegł na Akropol niespokojny, drżący, a spostrzegłszy brata, rzucił się ku niemu z pytaniami.

Ale Ksantypos odwrócił oczy.

— Milcz!... — wyszeptał blademi usty i poszedł dalej.

Zobaczywszy brata w okropny sposób wzburzonego, Paralos cofnął się ze ściśniętem sercem.

Ale oto już się rozpoczęła uroczystość. Perykles nie brał w niej udziału, lubo syn jego miał być jednym z tych, którzy poraz pierwszy broń poświęconą krajowi, do rąk przyjąć mieli. Zbyt głęboko był on dotknięty nieszczęściem przyjaciela, zbyt wzruszony świeżym pogrzebem jego.

Stary wódz, Leokrates, pod którego rozkazami Efebowie kształcić się mieli w morskiej wojennej służbie, prowadził młodzieńców przed ołtarz bogini. Mnóstwo tłoczyło się tu osób. Krewni, przyjaciele, rodzice młodzieży obstąpili ołtarz do około.

Lecz Ksantypos nie troszczył się o przyjaciół i krewnych. Jego wzrok ulatywał ciągle ku ogromnej, modrej płaszczyźnie morza. Tam kołysały się maszty i żagle wojennego statku. Ksantypos wiedział, że jestto okręt, który go z towarzyszami na rok cały uwiezie zdala od ojczystych brzegów.

Po uroczystej mowie sędziwego strategi, poklękli u ołtarza młodzieńcy, aby wobec współobywateli złożyć przysięgę Efebów.

Przysięgali zachować wierność wodzowi, posłuszeństwo obozowemu prawu, cześć powierzonej sobie broni i śmierć, jeśli tego obrona Ojczyzny wymagać będzie.

Stary wódz wymawiał słowa przysięgi, a młodzieńcy powtarzali je chórem. Po każdej części tej przysięgi odzywały się wojenne rogi. Podnieśli się wreszcie Efebowie, owiani dymem spalonego na ich intencje kadzidła na ołtarzu bogini, wzruszeni, dumni i szczęśliwi.

Ksantypos odetchnął głęboko. Już Leokrates wydał piewszy rozkaz: jutro z dnia brzaskiem stawić się mają w porcie Pireus do drogi gotowi.

Młodzieńcy wydali gromki okrzyk radości, uroczystość była skończona. Jej część urzędowa przynajmniej. Teraz bowiem zaczął się gwar nie do opisania.

Rodzice i krewni prowadzili w tryumfie młodych Efebów przez ulice miasta.

Znajomi winszowali im, ściskali ich ręce. Małe pacholęta rozdawały gałązki dębowe, które młodzieńcy brali i nieśli, jako zadatek wieńców bohaterskich. Uroczystą ucztą obchodzono dzisiaj w wielu domach przysięgę syna lub brata, lubo nie wszyscy młodzieńcy udział w tem wziąć mogli. Ci bowiem, którzy należeli do chóru, śpieszyć musieli, aby się przygotować do bliskiego widowiska. Nie było wprawdzie zrazu pewnem, czy po wczorajszej, tak okropną zbrodnią zakończonej próbie, widowisko będzie miało miejsce, ale właśnie ogłoszono tylko co na rynku, że ostatnia część trylogji mimo wszystko co zaszło, ku czci bogini przedstawioną zostanie.

Zaledwie tłumy ruszyły z przed świątyni Ateny, pobiegł Ksantypos chyłkiem ku wschodniej stronie

Akropolu. Paralos niepostrzeżony szedł za nim. Wielkiemi susami biegł starszy po stopniach i zniknął w kierunku teatru Djonizosa. Paralos prześliznął się za nim. Ogromna budowa była jeszcze zupełnie pusta. Tylko na drodze prowadzącej dokoła Akropolu, widać było młodzieńców. Byli to Efebowie biorący udział w chórze.

Trwożnie rozglądał się Paralos dokoła. Olbrzymi amfiteatr, wznoszący się stopniowo od orkiestry aż do szczytu, w pustce tej jeszcze się ogromniejszym zdawał.

Już Paralos, nie widząc nigdzie brata, wymknąć się chciał z powrotem, kiedy nagle zatrzymał się, jakby skamieniały. W głębi sceny stał Ksantypos, z głową schyloną, z oczyma wlepionemi w ziemię.

Dreszcz przebiegł Paralosa, rzuciwszy bowiem okiem, spostrzegł, że w miejscu, na którem brat jego stał tak nieruchomie, ziemię pokrywała wielka krwawa plama. Było to miejsce, na którem padł Efialtes pod morderczym ciosem. Przeraźliwy okrzyk wybiegł z ust chłopca.

Ksantypos drgnął.

— Ksantypie! — wołał tamten. — Chodź, chodź prędzej!... To jest to straszne miejsce, gdzie Efialtes...

— Tak! to samo! — odrzekł drżącemi usty starszy. — I każdemu zdrajcy tak samo będzie! — dodał głuchym głosem.

Paralos biegł do brata płacząc i ze złożonemi rękami.

— Boję się!... boję się — wołał.

— Precz! — krzyknął Ksantypos, i pchnąwszy brata, rozśmiał się szyderczo.

Paralos, ze łzami w oczach, zawrócił ku domowi. Ale

już teatr napełniać się zaczął. Wielki ruch panował w głębi proscenjum.

Stembratos był rozdrażniony niezwykle. Przy obliczeniu jednej części chóru, okazało się że brakuje Ksantyposa.

— Dlaczego go nie ma?... - grzmiał niecierpliwy głos reżysera.

Wytłomaczono mu to z łatwością. Młody choreuta, jako syn związanego tak ścisłą przyjaźnią z zamordowanym trybunem Peryklesa, zbyt był dotknięty wczorajszą zbrodnią i z tego powodu udziału w przedstawieniu nie brał.

Chwycił się za głowę Stembratos.

Jako prawdziwy aktor, uważał on, że teatr zajmować powinien każdego i przedewszystkiem.

Co było robić? Z pośpiechem tedy oddano pierwszemu lepszemu miejsce Ksantyposa.

Ale i w chórze panowało niezwykłe wzburzenie. Nie wiadomo skąd rozeszła się pogłoska, że Areopag ma pociągnąć do odpowiedzialności wszystkich choreutów. Rzeczywiście trudno było między setkami mężów i młodzieńców, jako uczestników chóru, trafić na ślad winowajcy. Wszelkie też poszukiwania, jakie ubiegłej nocy rozwinięto w mieście, okazały się bezowocnemi, a podejrzenia bezpodstawnemi.

Już tłumy widzów zajęły siedzenia tak szczelnie, że nawet urzędnikom dozorującym ciężko się było między ich rzędami przecisnąć. Pyszny to był widok, te fale ludzkie w różnobarwnych strojach, piętrzące się coraz wyżej i wyżej na tle najczystszego lazuru greckiego, pogodnego nieba.

Przeważną część widzów stanowili mężczyźni, ale były obecne także i kobiety.

Obyczaj bowiem pozwalał Atenkom przypatrywać się tragedji w teatrze. Tylko komedja, z jej nieraz dosadnemi żartami, kończąca zazwyczaj widowisko dla rozweselenia tłumów, wzbronioną im była.

Siedzenia kobiet były oddzielone od siedzeń męskich. Chłopięta mogły przypatrywać się zarówno tragedji, jak i komedji.

Niewolnicy wszakże, ci nawet, którzy za panami swymi nieśli do teatru miękkie poduszki, ku większej ich wygodzie, wszyscy z widowiska byli wykluczeni.

Przedstawienie »Oresta« dobiegało spokojnie końca. Nawet te miejsca trzeciej części wielkiej Eschylowskiej trylogji, które wyrażały większą cześć dla Areopagu, nie wywołały w widzach żadnego, mogącego zaniepokoić demokratyczną partję, wrażenia. Widocznem było, że stronnictwo arystokratyczne wstrzymuje się od wszelkich zamierzonych demonstracji, ze względu na rozgoryczenie, jakie wśród ludu wywołało zabójstwo powszechnie kochanego trybuna. Mimo to wszakże podczas widowiska panował jakiś ruch niezwykły. Szczególniej w niższych rzędach.

Głośnemi oklaskami i przywoływaniem, to Eschylosa, to aktorów, a także rzucaniem wieńców i kwiatów na scenę, zakończyło się wreszcie przedstawienie. Tylko biedny choreuta, który na krótko przed widowiskiem, rolę Erynji za nieobecnego Ksantyposa objął i utykał w niej co słowo, on tylko wygwizdany został.

Perykles nie był obecnym w teatrze. Zgnębiony, zamknął się w domu i nie mówił z nikim. Najlepsi nawet przyjaciele nie mieli przystępu do niego. Stary Euangelos odprawiał wszystkich ode drzwi, wzdychając i trzęsąc głową,

Nadeszła noc. Niewolnicy udali się na spoczynek.

Sam tylko szafarz czuwał niespokojny. Ale Ksantypos i dziś także nie pokazał się w domu ojcowskim.

Niespokojnie przewracał się Paralos na posłaniu swojem, daremnie usiłując zasnąć. Dzień wszedł, a on nie spał jeszcze. Zaledwie oświtło, zerwał się z łoża, odział z pośpiechem i pobiegł przez puste ulice miasta ku portowemu wybrzeżu. Właśnie od wschodniej strony ukazało się słońce z za morza. Zaczął się cudny poranek. Promiennie świeciła ognista kula nad gładką powierzchnią szafirów. Głęboka cisza panowała dokoła. Tylko łagodny plusk fal, sennie jakby jeszcze o brzegi bijących, napełniał rytmicznym szmerem przejrzyste powietrze.

Niespokojny wzrok Paralosa obiegł pustą przystań. W oddali dopiero, na samym horyzoncie niemal, spostrzegł on statek Efebów we mgle rannej niknący. W biednym chłopcu stanęło prawie serce. Ksantypos opuścił ojczyznę, nie pożegnawszy się z nim... Nie pożegnawszy się nawet z ojcem!

Jakiś straszny, dręczący domysł zbudził się w nim. Opuścił głowę na piersi i w głębokim smutku do domu powracał.

W czystem niewinnem swem sercu, postanowił on z ojcem mówić otwarcie.

Kiedy Perykles dowiedział się o wyjeździe syna bez pożegnania, bez błogosławieństwa, westchnął głęboko i rzekł:

— Oto mi odjęty został najmilszy przyjaciel. A teraz opuszcza mię syn rodzony!

Wzruszony Paralos pochwycił rękę tak ciężko doświadczonego rodzica. Ale widząc tak wielkie cierpienie drogiego ojca, nie mógł przenieść na sobie, aby je zwiększyć jeszcze wynurzeniem podejrzeń swoich.

Spojrzał tylko z dziecięcą czułością w pobladłą twarz Peryklesa i rzekł:

— Ale ja ojcze... ja zawsze zostanę z tobą! zawsze!...

Chcąc myśl zbolałą oderwać od okropnego skonu przyjaciela i od niewdzięczności starszego syna, rzucił się Perykles z zapałem do prac związanych ze stanowiskiem swojem. Z niewzruszoną, owszem, ze zdwojoną czynnością wypracowywał on teraz ów plan śmiały, dążący do powszechnego narodowego związku wszystkich państw, wszystkich plemion Grecji.

Położenie rzeczy zdawało się nader przyjaznem do przeprowadzenia tego wielkiego zamiaru. Sparta bowiem, ciągle jeszcze nieudolnie z Helotami walcząca, była wyczerpaną i bezsilną. Czując swój upadek, patrzyła ona teraz podejrzliwem okiem na państwa związkowe, obawiając się opuszczenia i zdrady z jednej strony, a z drugiej, z najwyższą zawiścią i trwogą widziała rosnącą potęgę Aten i moralną ich przewagę w związku.

Flota ateńska panowała teraz na Śródziemnem morzu aż do brzegów Fenicji. Wojska lądowe walczyły nad Nilem, wespół ze sprzymierzonym Egiptem, przeciw Persom.

Perykles zapatrywał się na tę oddaloną, jeszcze za czasów Cymona przedsięwziętą wyprawę, jako na znaczny ubytek sił krajowych; ale ponieważ była już rozpoczętą, uważał za słuszne popierać ją dla sławy ojczystego kraju. Za to ze wszystkiemi związkowemi państwami żyła Attyka w zgodzie, a ten pokój wewnętrzny udzielał jej tem większej mocy na zewnątrz.

Co ważniejsza, udało się Peryklesowi przeprowadzić ustawę, oddającą do rozporządzenia Aten skarb

związkowy. Związek delijski znajdował się w tej chwili w kwitnącym stanie. Rosnące powodzenie i sława Aten skłoniły ostatniemi laty wiele handlowych niezawisłych państewek do wstąpienia w ten związek, ubezpieczający ich handel i ich żeglugę.

Perykles został mianowanym zarządcą powiększonego w ten sposób skarbu.

Z ufnością tedy i męzką siłą szedł on śmiałym krokiem ku urzeczywistnieniu wielkiego swego zamiaru: ku obwołaniu powszechnego panhelleńskiego zjednoczenia. Wszyscy Helleni, już w Europie, już w Azji zamieszkali, zwołani być mieli na wielki wiec do Aten.

Potrzebę wiecu takiego usprawiedliwiała konieczność narad nad ważnemi publicznemi sprawami. Chodziło o odbudowanie świątyń Grecji spalonych podczas wojen perskich; chodziło o dopełnienie ofiar i ślubów przyrzeczonych bogom czasu niebezpieczeństwa, a zwłóczonych dotąd; chodziło o ubezpieczenie słabych wybrzeży morskich i powszechnej żeglugi. Te cele, widocznie obmyślone na to, żeby pozyskać jednogłośną zgodę państw greckich, uznano za nader ważne, a myśl powszechnego panhelleńskiego wiecu, z poklaskiem została przyjętą na ludowem zgromadzeniu.

Wyznaczono natychmiast dwudziestu posłów, wybranych z pomiędzy obywateli powyżej lat pięćdziesięciu. Pięciu z nich objechać miało kraje nad Helespontem leżące i Trację aż do Bizancjum. Pięciu wyprawiono do Beocji, do Focydy do Peloponezu, a stamtąd przez Lokrydę do Epiru i aż do Akarnanji, oraz do Ambrachji. Pozostali mieli przebiedz Eubeję, Achaję i Tessalję. Wszystkich zaś obowiązkiem było zwołać pobratymcze ludy na wiec i namówić je do wzięcia udziału

w obradach nad zjednoczeniem całej Hellady, w widokach bezpieczeństwa i spokojnego rozwoju narodu.

Z niemałem oczekiwaniem wyglądano powrotu wysłańców do Aten. Różnie bowiem odpowiedzi państw owych wypaść mogły. Gdyby jednak wiec miał przyjść do skutku, przybyłoby do Aten na wiec ów jakichś pięciuset posłów conajmniej. Może nawet do tysiąca. Byliby to upełnomocnieni owych państw wybrańcy i przedstawiciele.

Perykles był dobrej myśli. Cel jego: jedność, pomyślność i rozwój ojczyzny, zdawał się być blizkim urzeczywistnienia. I on i cała demokratyczna partja pracowali usilnie nad tym wielkim krokiem naprzód, ku potędze Grecji.

Wszakże wpośród tych pokojowych zatrudnień, Perykles nie spuszczał z oka niebezpieczeństw, jakie miastu grozić mogły od Persów choćby też synom i wnukom współczesnych mu obywateli.

Dlatego też ważną jego troską było ubezpieczenie, ufortyfikowanie Aten.

Niezmordowanie tedy posuwał naprzód budowę murów, które obejmować miały nietylko Pireus ale i Faleron. Przedłużenie murów wynosić miało w północnej ich odnodze przeszło milę, a w południowej nie o wiele mniej.

Uskutecznienie planu fortyfikacji Aten kosztowało Peryklesa niemało trudów. Cała partja arystokratyczna była przeciw temu. Już to wyrażała ona obawę, że fortyfikowanie miasta wzburzy Spartę i tak już niechętnem okiem na Ateny patrzącą; już to lękali się znowu połączenia z ludnością portową w obrębie jednych murów. Co większa, posiadacze gruntów, którzy z ziem w pasie fortyfikacyjnym leżących, musieli

być wywłaszczeni przez państwo na rzecz obrony miasta, tak samo niechętni byli planom Peryklesa jak i ci, którzy posiadając ziemie za linją ową, byli na przypadek napadu zostawieni jakby na łup najeźdźców.

Ale i poza tymi mnóstwo było malkontentów. Bo jestto rzeczą charakterystyczną, że wszelkie przedsięwzięcia publiczne, silnej woli i bystrego widzenia rzeczy owocem będące, ganione bywają przez różnych niedołęgów i krótkowidzów, już to dla kosztów, choć nie dają na to ani grosza, już dla trudności, choć nie podejmują ich sami.

Udało się przecież Peryklesowi przezwyciężyć wszystkie te przeszkody. Dużą mu w tem pomocą była znajomość rzeczy fachowca Hipodamosa, przyjaciela jego. Hipodamos zamyślał nawet o gruntownej przebudowie samego portu Pireus. A kiedy przedstawił Peryklesowi zarys nowych projektowanych przez siebie urządzeń, tam, kanałów, przystani, magazynów, doków, arsenału i ogromnych śpichlerzy zbożowych, wielki mąż stanu oczarowany był tak daleko sięgającemi planami przyjaciela.

. . . . . .

Zaczął się miesiąc Gamelejon. Zwyczajem było w Atenach w miesiącu tym sprawować weselne gody. Nazywano go też miesiącem oblubieńców. Zaślubiny Peryklesa z Aspazją także teraz odbyć się miały.

Wczesnym już rankiem zebrało się w domu Hipodamosa liczne grono przyjaciół. Uczta weselna odbyć się miała w domu pana młodego, ponieważ Aspazja była sierotą. Wszakże Hipodamos i małżonka jego przybrali dom swój wieńcami z zieleni. Aspazja weszła do atrjum, na którem wszyscy zebrani już byli, pro-

wadzona przez opiekunów i zawoalowana. Bogaty himatjon zarzucony nietylko na ramiona, ale i na głowę, otulał jej wysmukłą postać. Radosne okrzyki powitały ukazanie się oblubienicy, która też zaraz wstąpiła na wóz zielenią przybrany. Fidjasz, który w zastępstwie nieszczęsnego Efialtesa, orszak weselny jako swat prowadził, siadł po prawej stronie Aspazji, Perykles zaś po lewej. Za wozem szli fleciści, wtórując śpiewanemu przez cały orszak weselny hymenajonowi. Tak posuwali się zwolna ulicami miasta, wśród muzyki i śpiewu, ku przybranemu kwieciem i zielenią domowi Peryklesa, radośnie przez przechodniów witani.

Najbliżej wozu szła małżonka Hipodamosa, która Aspazji w tym obrzędzie zastępowała matkę; niosła ona pochodnię, zatloną u domowego ogniska. Licznie zebrani przyjaciele oczekiwali na młodą parę przed domem Peryklesa. W pośrodku nich stał Paralos, trzymając również w ręku płonącą pochodnię.

Serdecznemi słowy powitał chłopiec drugą matkę swoją. Aspazja głęboko wzruszona, ze łzami w oczach ucałowała czoło jego.

W głębi stał między obcymi Kalljas. Nie mógł on bez naruszenia obyczajów rodzinnego kraju odrzucić zaproszenie ojczyma. Perykles nie mógł pominąć go także. Udział jednak tego młodzieńca z posępnem wejrzeniem, w radosnej uroczystości, był fałszywym tonem wśród ogólnej harmonji dnia tego.

Od pamiętnego wieczoru nieszczęsnej próby w teatrze Djonizosa, Kalljas zmienił się nie dopoznania. Wyuzdanie jego dawne, swawola, zbytki, ustąpiły miejsca ponurej zadumie. Dawni towarzysze jego skarżyli się, że ich nie wzywa jak przedtem, na zbytkowne

uczty. Dom jego przycichł, spoważniał, niewolnicy wprost nie poznawali pana.

Bo i zewnętrznie nawet Kalljas bardzo się odmienił. Twarz jego blada, zeszczuplała, nosiła piętno bezsennych godzin i surowej powagi. Głęboko zapadłe oczy paliły się jakimś wewnętrznym żarem. Zwiędłe usta często wykrzywiał jakby ból tajony.

Kiedy Aspazja podeszła ku niemu z wyciągniętą ręką na powitanie, Kalljas cofnął się trwożnie. Zauważył to Perykles, ale w dniu tak radosnym i tak uroczystym, nie chciał sobie psuć pogodnej myśli, dziwactwem swego pasierba.

Tymczasem towarzystwo zebrało się około weselnych, wykwintnie zastawionych stołów, przy których wyjątkowo w dniu tak ważnym, wbrew obyczajom, i kobiety były obecne. Uczta zastawioną była w atrjum, w tym dziedzińcu otoczonym kolumnami, w którym stał ołtarz Hestji, bogini domowej i szemrała fontanna, a który nakrywał promienny błękit pogodnego nieba. Wieńce z kwiatów i owoców zdobiły kolumny i łączyły je z sobą.

Co tylko było w domu kosztownych naczyń, drogich makat, artystycznie wyrobionych amfor, to służyło obecnie ku ozdobie owej jedynej w swoim rodzaju weselnej uczty. Dookoła niewielkich stołów umieszczone były bogato dywanami zasłane klinje, rodzaj podłużnych leżeń, każde na dwie osoby. Zajmowali je tylko mężczyźni. Według obyczaju greckiego bowiem, kobiety biorące udział w ucztach wspólnych, jadły nie leżąc, lecz siedząc.

W domu Peryklesa panowała zazwyczaj wielka skromność w rodzinnych biesiadach. Tym razem jednak otrzymał stary Euangelos pozwolenie na wyjąt-

kowo wspaniały występ, w który też stary szafarz cały kunszt swój włożył.

Biesiadę otworzyły półmiski jaj. Po nich ukazały się pieczenie wołowe, koźlęce, baranie i wieprzowe, na rożnach pieczone, stawiane przez niewolników świątecznie przybranych, którzy ucztującym usługiwali. Do tego roznoszono płaskie jęczmiene placki, w które ocierano palce, potłuszczone przy jedzeniu mięsiwa. Nie był to ich użytek jedyny. Wydrążone bowiem z ośrodka, służyły także i za łyżki do czerpania sosów, płynów i rzadkich potraw. Do mięsiw szły przystawki. Były to wyborne sałaty, srebrzyste osmażane cebule, fasole i zielone grochy.

Zaledwie goście spożyli owo danie, kiedy ukazały się ryby morskie, przybrane zielenią rzerzuchy i obłożone oliwkami. Sardele podawano na małych mosiężnych patelniach, w gotującej się jeszcze oliwie. Raki przeróżnych kształtów, ślimaki, ostrygi i smakowicie przyrządzone pająki morskie kończyły ucztę.

Może nie była ona najwykwintniejszą i najkosztowniejszą z tych, jakie w Atenach znano, ale tak wybornie przygotowanych potraw nikt dawno nie spożywał. Stary Euangelos był mistrzem w sztuce kucharskiej i przez umiejętne dodanie, tu wina, owdzie soku, cytryn, to znów kaparów świeżych albo szafranu, umiał rozmaicać i podnosić smak każdego dania.

Wielu z gości posyłało przez stojących za niemi niewolników smaczne kęski nieobecnym przyjaciołom.

Żaden gospodarz uczty nie miał tego w Atenach za złe.

Ucztę ożywiała wesoła rozmowa biesiadników. Nigdzie zapewne nie prowadzono rej w tak wykwintny, dowcipny i subtelny sposób, jak w tem wyborowem towarzystwie. Czuł wszakże ten i ów, a najbar-

dziej czuł sam Perykles, jak bardzo brak między niemi Efialtesa. To też od czasu do czasu jakiś cień ukazywał się na twarzy obecnych, tych zwłaszcza, co bliżej zaprzyjaźnieni byli z młodym trybunem, tak niegodnie ze świata zgładzonym.

W domu Peryklesa nie poświęcano jednak zbyt wiele czasu na uczty. Gdy tylko się goście nasycili, zaraz zaczęto uprzątać stoły i resztę półmisków, a także muszle, kości i ogryzki, które biesiadnicy bez troski na ziemię rzucali. Jak na początku uczty, tak i teraz, podawano misy z wodą i z pachnącem mydłem, do umycia rąk.

Zaczem ofiarowano nieco wina na ołtarzu Hestji, zaznaczając w ten sposób przejście od uczty do Sympozjonu.

Napełniono winem amfory i podano wety. Składały je figi, daktyle, migdały, melony, a także zaprawne korzenie i sól, która pobudzać miała pragnienie i przyśpieszać wychylanie puharów wina.

Rozłożono teraz na małych stołach słodkie, w kształcie kul wypiekane ciasta, pasztety i rzadkie ryby z wyjętemi ośćmi, nadziane wybornemi przysmakami. Wpośród tych wykwintnych przekąsek stały wielkie dzbany kosztownego wina z Chios.

Jako dziewosłąb i najbliższy przyjaciel Peryklesa, podniósł się teraz Fidjasz i wypowiedział pierwszy toast, w serdecznych, gorąco uczutych słowach, kończąc go życzeniem, aby biesiadnicy, idąc za starodawnym obyczajem, wybrali z pośród siebie, »Sympozjarchę«, czyli przewodniczącego tej części uroczystości.

Jednomyślnie zawołali goście, że Sympozjarchą chcą mieć gospodarza!

Perykles wzdragał się zrazu. Musiał wreszcie uledz naleganiom gości i przyjąć honorowy urząd »króla wetów«.

W tym charakterze, obowiązkiem jego było wnosić zdrowia, wymyślać żartobliwe »prawa dzbana«, a także przewodniczyć składanym ku czci bogów «libacjom«. Ta część biesiady była prawdziwą rozkoszą dla żądnych zabawy Ateńczyków. Rozbrzmiały wesołe pieśni. Niewielka lira krążyła teraz dokoła stołów z rąk do rąk, a każdy z biesiadników śpiewał przy jej dźwiękach jakąś okolicznościową piosnkę.

Gdy zapadł wieczór, rozpoczęły się tańce mimiczne. Fidjasz i inni artyści nie wzdragali się dla uczczenia tak wielkiej uroczystości, wziąć w nich osobisty udział. Tańce przedstawiać miały sceny ze starych bohaterskich podań.

Poeta Sofokles skomponował tekst do odpowiednich śpiewów, które wykonać miał chór w czasie samychże tańców. Ten tekst i ten chór, wiązały w pewnej mierze w przejrzystą całość luźne sceny mimiczne i dramatyczne obrazy, które przedstawiały głównie zmienne koleje wojny Trojańskiej.

Powrót bohaterskich wodzów z pod Illjonu, stanowił naczelną część widowiska.

Tu występowały postacie Menelausa i Oddysseja. Powrót Agamemnona przedstawiony był także w szeregu wzruszających obrazów.

Już zaraz przy pojawieniu się jego, w jednym z kątów dziedzińca zauważono jakiś niepokój.

Agamemnon leżał właśnie rzężąc śmiertelnie na ziemi. Słychać jeszcze było żałosny krzyk Kasandry, umierającej obok niego, pod ciosem zbrodniczej Klitemnestry, kiedy na scenę wbiegł Orestes mściciel.

Nagle przenikliwy okrzyk przerwał widowisko. Widzowie zmieszali się z aktorami, wszyscy biegli w stronę, skąd się krzyk rozległ. Ale się wnet cofać zaczęto. W kącie dziedzińca klęczał śmiertelnie blady Kalljas, i załamawszy ręce, błagał jęcząc o zmiłowanie jakieś niewidzialne moce. Młodzieniec był widocznie pijany, to też ze wstrętem odwracano oczy od tego przykrego widoku.

Perykles ściągnął brwi gniewnie. Nienawidził on wszelkiego nieumiarkowania. Surowym głosem rozkazał niewolnikom wyprowadzić pijanego z domu. Zaledwie wszakże stary Euangelos się zbliżył, kiedy Kalljas nieprzytomnym głosem rozpaczliwie krzyczeć zaczął:

— Hajo!... Hajojo!... Szczuj! chwytaj! goń go!... Kto idzie?... Kto się zbliża do mnie?... Wy to, wy, straszliwe Erynje!... Wy, nocy czarnej córy... Biada mi!... Biada mi!... Precz! precz! zostawcie!... Niedotykajcie mnie!...

Na ten krzyk straszny, wylękłe kobiety schroniły się do dalszych komnat.

— Precz! precz! — wołał coraz silniejszym głosem Kalljas. — Ratujcie! ukryjcie mnie!... osłońcie mnie! oto idą... oto się zbliżają Erynje... Na koniec świata pójdę! Za morze pójdę! Na wyspy niedostępne!... Darmo! Darmo! One mnie dogonią! One mnie znajdą!...

Napróżno usiłowali niewolnicy uspokoić i wyprowadzić pijanego Kalljasa, przed którego pamięć pojawienie się Oresta wywołała straszną scenę zamordowania Efialtesa.

— Litości! litości! — wołał młodzieniec z rozpaczliwą trwogą. — Ja nie zabiłem Efialtesa! przez bogów, nie!... Zmiłowania!

Wołaniu temu odpowiedział okrzyk zgrozy obecnych.

Zbladł Perykles i z pochyloną naprzód głową do jęczącego pasierba się zbliżył.

— Kalljasie! — przemówił stłumionym zgrozą głosem — przez wiekuistych bogów Olimpu! Co wiesz o zabójstwie Efialtesa?... Mów! kto był mordercą jego?..

Uczyniła się głęboka cisza. Przerywały ją tylko jęki i łkania Kalljasa.

— Precz! precz!... Nie dosiężecie mnie nigdy! — zawołał wreszcie mocnym głosem, a porwawszy się z kolan, rzucił się, zataczając, ku ołtarzowi Hestji i padł przy nim na ziemię, obejmując ramionami kamień ofiarny.

Straszliwy domysł rósł między obecnymi.

— On jest mordercą Efialtesa! On!... On!... — szeptano ze zgrozą, a na wszystkich twarzach malowało się okropne przerażenie.

Perykles patrzył przez chwilę nieruchomym wzrokiem na pijanego młodzieńca. Dzika rozpacz malowała się w jego zwykle tak dostojnej twarzy.

Z wściekłością rzucił się ku pasierbowi, jakby go chciał zmiażdżyć. Ale nagle stanął. Groźnie wzniesiona pięść opadła bezwładna.

— Złożyłeś — mówił przerywanym głosem — głowę na stopniach ołtarza. Opieka bogini chroni cię przed gniewem moim... Ale nim dzień zaświta, opuścisz ziemię Attyki na zawsze!

Wypędzam cię z mego domu! Wypędzam cię z naszego, poświęconego bogini miasta! Wypędzam cię z kraju! Jeśli twoja noga waży się kiedy wstąpić na ojczystą ziemię, ja sam będę sędzią i Areopagiem nad tobą, ojciec twój. Darowane ci jest życie, ale przekleń-

stwo będzie za tobą biegło, jak cień twój, a bogini pomsty gonić będzie śladem twoim, rozdzierając pierś twoją okropną skargą!

Idź! wywołańcze, Kalljasie! idź!

Rozkazującym gestem wyciągnął rękę nad głową nieszczęśnika.

Kalljas słuchał tych słów, leżąc na stopniach ołtarza, złamany, zdruzgotany, i nie usiłując nawet ukryć wspólnictwa swego w morderstwie Efialtesa.

Zamęt, jaki w jego nędznej głowie sprawiło mocne wino, zniknął już zupełnie. Oczy tylko miał błędne i wzrok nieprzytomny. Podniósł się z trudnością, zwiesił shańbione czoło i szedł przez dziedziniec ku wyjściu, szukając drogi wyciągniętemi przed sobą rękoma.

Ze wstrętem cofano się przed nim.

Gdy jego nędzna postać zniknęła wreszcie z przed oczu obecnych, wyprostował się Perykles z męzką dumą i rzekł uroczyście.

— Nigdy imię jego nie będzie nazwane przedemną!

Wkrótce potem rozochocili się znowu zebrani. Przynajmniej część ich większa. Kobiety nawet na dziedziniec wróciły.

Tylko Perykles milczał pogrążony w groźnej zadumie. Dopiero kiedy wzrok jego spoczął na dwóch postaciach, u ogniska stojących, rozjaśnił mu oblicze jakiś promień pociechy. Aspazja to była, a obok niej Paralos. Pomagał on matce rozdmuchać żar ogniska, które zupełnem wygaśnięciem groziło. Różany ciepły blask oświetlał jakby zorza tę wdzięczną grupę.

Zbliżył się ku nim Perykles i ucałował czoło i oczy małżonki i syna.

— Wypędzam cię z mego domu, wypędzam cię z kraju! — mówił Perykles. (Str. 148).

IX.

Współzawodnik.

Tymczasem posłowie, którzy się w sprawie ogólnego wiecu helleńskiego po wszystkich krajach Grecji rozeszli byli, powracali teraz do Aten jednocześnie prawie, ale z odpowiedzią odmowną.

Było to gorzkie rozczarowanie dla Peryklesa. Największe jego nadzieje z tą odmową upadały.

Sparta najbardziej szorstko z wszystkich państw greckich odmówiła wszelkiego udziału w projektach ateńskiego zjazdu. Więcej nawet! Ci, co ze Sparty wrócili, przynieśli wieść o jej nadzwyczajnych uzbrojeniach. Podniecona głęboką zawiścią przeciw rosnącym w potęgę Atenom, Sparta postanowiła rozprawić się ostatecznie z buntowniczymi Messeńczykami, aby mieć wolne ręce do morderczej walki przeciw znienawidzonemu państwu.

Jakoż w tym samym dniu, kiedy posłowie ateńscy, oburzeni zawistnym oporem Lacedemończyków, opuścili miasto, wyszli także i wysłańcy Sparty po za mury. Mieli oni przebiegać wszystkie związkowe państwa, podburzając przeciw Atenom, wzywając do wspólnej walki z niemi, do nienawiści i orężnego oporu ich roszczeniom przodowania w Helladzie.

Perykles miał nadzieję, że idea nowego powszechnego zjazdu, idea związku państw greckich, uciszy niezgody, rozdmucha patrjotyzm, rozbudzi z ospalstwa duchowego oddane kupiectwu państwa pomniejsze, da im poczuć urok i siłę jednej wielkiej, wspólnej umiłowanej i bronionej ojczyzny. A tymczasem tak wielki spotkał go zawód! Przeciwnie nawet, jeżeli się ocknęły gdzie umysły, to na głos Sparty i przeciw Atenom. Żądza wyłączności i samorządu, na którą Perykles według ich mniemania nastawał, popchnęła związkowe państwa do natychmiastowych uzbrojeń wojennych na wszelki wypadek.

Korynt, Epidauros, Egina, Lokris, Doryda i Eubeja, stanęły po stronie Sparty, odrzucając jednogłośnie zaproszenie Aten.

Perykles wszakże nie oddawał się zbyt długo goryczy zniechęcenia. Pobudzony ożywczym wpływem przyjaciół, którzy tak samo jak dawniej w domu Hipodamosa,—co wieczór w domu jego teraz się zbierali, pobudzony rozmowami, których środkowym punktem i teraz jak dawniej była pełna ducha i umysłowego czaru Aspazja, pracował Perykles ze zdwojonym zapałem nad projektami upiększenia miasta. Gdy nie mógł z powodu ciasnoty pojęć i zawiści krajów i miast pobratymczych, uczynić z Aten ogniska potęgi greckiej i urzeczywistnić idei utworzenia jednego, silnego państwa, chciał przynajmniej okryć je nieśmiertelną sławą piękna i arcydzieł sztuki.

Wszakże i nieprzyjaciele jego nie spoczywali także. Nie tylko po za Atenami, ale i w mieście samem podniosły się głosy, ostrożnie wprawdzie i tajemniczo, przeciw samodzielnemu, dumnemu stanowisku Peryklesa.

Najzawziętszą przeciwniczką jego była zawsze jeszcze Elpinika, siostra wywołańca Cymona.

. . . . . .

Zapadła noc ciemna, burzliwa. Ani jednej gwiazdy nie było widać na niebie. Morze huczało niespokojne, mroczne. Całe miasto uśpione było snem głębokim. Tylko w domu Elpiniki czuwano. Coraz drzwi otwierały się z cicha. Z ulicy do domu wchodziły liczne, tajemniczo osłonięte płaszczami postacie. Zaraz w progu przyjmował ich stary niewolnik i prowadził do wielkiego ogrodu położonego w głębi.

Zebrani tutaj, choć pustka była dokoła, szeptali z cicha. Byli to sami najgorętsi stronnicy arystokracji. Augur Lampon przyszedł jeden z pierwszych.

— Kto jest ten obcy, który właśnie do ogrodu wchodzi? — zapytał on półgłosem pani domu, wskazując wysoką, zbliżającą się ku nim postać.

— To jest Tycydydes[1]), Milezjosa syn, nienawidzący nietylko Peryklesa, ale tak samo, jak ty, Lamponie, i bezbożnych przyjaciół jego.

Oczy augura błysnęły w ciemności.

— Nigdy nie przebaczę Anaksagorasowi — zaszeptał — wzgardy okazanej mi wówczas przy wróżbieniu. Biada temu kacerzowi, temu doradcy Peryklesa, jeśli kiedy w ręce me się dostanie!...

Mówił tak jeszcze, kiedy wśród zebranych zrobiło się zamieszanie. Ludzie cofali się przed jakimś w ciemnym płaszczu otulonym człowiekiem, który odepchnąwszy od drzwi starego niewolnika, szybkim krokiem wszedł do ogrodu.

---

[1]) Należy rozróżniać tego ateńskiego męża stanu, od ateńskiego historyka Tucydydesa, który był Olorosa synem.

Był to Kalljas.

— Nędzniku! — zawołał stłumionym głosem Lampon, poznawszy go. — Ty śmiesz oddychać powietrzem Aten?...

— Czy i ty, augurze — odrzekł szyderczo Kalljas — uląkłeś się pogróżek Peryklesa?

— Nie o to idzie — wmieszał się Tucydydes — idzie o śmierć twoją, gdyby cię odkryto. Lud ciągle dopomina się o ukaranie mordercy. Podejrzenie na ciebie rośnie z dniem każdym. Areopag musi cię osądzić, jeśli cię kto na ateńskiej ziemi pochwyci!

— Ależ na wszystkie bogi! — zawołał Kalljas — ja jestem niewinny!

— Dość! — rzekła Elpinika. — Być winnym albo niewinnym, strzedz się albo się nie strzedz, to już rzecz Kalljasa! Zwołałam was tu w ważniejszej sprawie, ateńscy mężowie! Zaszły wypadki, które wzmocnić mogą nadzieje nasze. Kalljas wraca z dalekiej wędrówki. Widział i słyszał wiele. Pozwólcie, że wam opowie, co się dzieje w państwach sąsiednich.

— Byłem w Koryncie—rzekł młodzieniec — byłem na wyspach Epidauros i w Eginie. Wszędzie wrze gniew i oburzenie przeciw naszemu miastu. Wezwanie na zjazd uważane jest za zdradę i nowe zuchwalstwo Aten. Propozycję tę wszędzie odrzucono.

— O tem już wiemy! — przerwał augur chmurnie mowę Kalljasowi. — Niech wstyd i hańba spadnie na głowę Peryklesa za całe to bezrozumne przedsięwzięcie!

— Słuchajcie dalej! — mówił Kalljas. — Samo odrzucenie i udaremnienie projektu zjazdu nie zadawala przeciwników naszego miasta. Tę chęć przodowania Grecji, te zabiegi o narzucenie woli swojej, bo nie do

czego innego dążą plany Peryklesa, wszystko to chcą one krwawo pomścić, żeby na zawsze Atenom odpadła chętka zadzierać głowę nad inne greckie miasta. Tak postanowiono wszędzie.

Wielki ruch powstał między obecnymi.

— Któż winien, że doszło do tego rozdwojenia, a może nawet do blizkiej bratobójczej wojny? — zapytał Tucydydes.

— Perykles! Perykles!... tylko on — zaszemrały głosy.

Kalljas opowiadał dalej.

— Korynt, Epidauros i Egina rwą się wprost do boju. Na łeb na szyję wszystko się tam zbroi! Głupie miasta! Bo głupie są one! Nie dla siebie, ale dla Sparty wyciągać będą z żaru pieczone kasztany.

— I Egina, mówisz, także się uzbraja? — pytał Lampon. — Przecież należy ona do delijskiego związku. Jest zatem prawnym sprzymierzeńcem Aten.

— Och!... prawnym!... — przerwał Tucydydes. — Cóż tu ma do roboty prawo w takim wypadku! Zresztą Egina oddawna do samodzielności dąży. Nigdy się ona nie troszczyła zbytnio o delijski związek. Ale od czasu, kiedy Ateny siłą wymogły na Egińczykach wojenne daniny, jej oburzenie i złość względem Aten są nieprzejednane. Zresztą, wiadome rzeczy, Egina cierpi na manję wielkości... Jest więc do przewidzenia, że teraz popuści sobie cugli.

Zaczęto roztrząsać ważne, przyniesione przez Kalljasa wieści.

— Jakże myślisz? — pytał Tucydydes. — Kiedyż uzbrojenia państw owych gotowe być mogą?

— Ha! — odparł Kalljas — za kilka tygodni wszystko tam wybuchnie.

— A więc to już blizkie! — zawołał jeden z zebranych.

— Okaże się teraz — rzekł inny szyderczo — ażali ten wielki statysta dorósł do gry, jąką prowadzi!

— Przystałbym na to — zawołał gorąco trzeci — żeby wojska nasze wszędzie ale to wszędzie, na lądzie i na morzu pobitemi były, byle tylko Ateńczycy raz przejrzeli nareszcie, jak niebezpieczną jest rzeczą oddawać losy państwa w ręce jednego człowieka.

— I tak będzie! — rzekł ponuro Kalljas. — Bo wiedzcie, że posiłkowe wojska nasze w Egipcie pobite zostały przez Persów pod Memfis! Cofnęły się one na wyspę Prozoputis, po swojej porażce, ale Persowie trzymają je w oblężeniu od paru tygodni.

— Posiłkowa armja pobita? — zakrzyknęły przerażone głosy.

Elpinika odetchnęła głęboko.

— A widzicie! — zawołała powstając z ławki. — Niedopuściłby do tego brat mój! Ale Ateńczycy mego brata na wygnanie zesłali! Zwycięzki jego miecz rdzewieje. Hańba narodowi, który bohaterów swoich prześladowaniem nagradza! Hańba i zguba mu! Cymon jedynym jest mężem, przed którym drżą Persowie!

— Uspokój się, Elpiniko — rzekł augur — przypomną sobie Ateny zasługi Cymona, skoro tylko wiadomość o porażce pod Memfis rozejdzie się po mieście!

— A jakże Sparta? — pytał Tucydydes, pogrążony w myślach. — Jak Sparta odnosi się do owych uzbrojeń Eginy i innych?...

Kalljas wzruszył ramionami.

— Sparta — rzekł — dotąd jeszcze ręce ma związane. Ciągle jeszcze z Messeńczykami ujadać się musi.

Skąd myśleć o drugiej wojnie, kiedy pierwsza nieskończona jeszcze?... Ale niech tylko raz skończy z Messeną, zobaczycie wtedy! Bo wszystko niczem, i Egina i Korynt i Eubeja w porównaniu do śmiertelnej nienawiści, jaką czuje każdy Spartańczyk do naszego miasta. A potem, co za siły! Phi!... Zajęte teraz, prawda, ale co za siły!

— Nie! nie! — zawołał gorąco Tucydydes. — Nie można dopuścić do wojny otwartej między Atenami a Spartą! I nie potrzeba nawet! Niech tylko małe państwa podniosą głowę, i naraz — niech nasze wojska zmuszone będą rozproszyć się w różnych kierunkach, a Perykles musi uznać swą niemoc, i upadek ludowładztwa stanie się nieuniknionym!

— I więcej jeszcze! — rzekła Elpinika. — Raz przecież ustanie to szalone marnotrawstwo murów. Ale trzebaby... należałoby — mówiła dalej z wahaniem — żeby wojska nieprzyjacielskie tajemnie otoczyły miasto... trzeba je do wspólnego napadu na Ateny skłonić!

Cofnęli się mężowie.

— Ależ to zdrada! — zawołały głosy.

— Niech będzie zdrada! — odparła Elpinika. — Ale jej celem dobro ojczyzny, nie zguba! Mury jeszcze nieskończone, nie dają prawie żadnej obrony. Nie oprą się też ani przez dzień jeden napadowi nieprzyjacielskiemu i chęci ich zburzenia tego, co im solą w oku stoi. A tak upadłoby nietylko ludowe samowładztwo, ale i znienawidzony przez nas wszystkich zamiar ufortyfikowania miasta!

Rozdzieliły się zdania i spór trwał długą chwilę. Wreszcie rzekł Tucydydes:

— Tak, to jest myśl! Ale kto podejmie się tego niebezpiecznego poselstwa do Sparty? Kto z nas takie ma w Sparcie zachowanie, aby słowom jego zawierzono i nie podejrzywano zdrady?

— Cymon! Mój brat! — zawołała Elpinika głosem pewnym. — Kalljas dowiedział się w swej wędrówce o siedzibie naszego wywołańca. Dumny wódz, skazany przez sąd skorupkowy na dziesięć lat wygnania z Aten, przeniósł się do pięknej i żyznej Elidy. Tam nad brzegiem Alfejosu, w pobliżu Olimpji, świętego miejsca wielkich igrzysk, osiedlił on się wśród wesołego, przyjaznego i oddanego rolnej pracy ludu. Jego gniew przeciw Peryklesowi wrze jeszcze. Ciebie, Kalljasie — mówiła Elpinika — poślę do brata mego zaraz. Niech się ocuci ze swego małodusznego poddania! Cała Sparta czci go i poważa. Niech jaknajprędzej do Sparty podąża i niech stanie na czele wojsk, przeciw Atenom!

— Ależ to jego ojczyste miasto! — ozwały się głosy.

— To i cóż! — zawołała Elpinika. — Piękne ojczyste miasto, które jego bohaterskie czyny zapłaciło wygnaniem!

Kalljas z niechęcią podejmował się poselstwa tego. Ta ciągła włóczęga już mu się sprzykrzyła. Zniewieściały młodzieniec podwójnie odczuwał niewygody i trudy tułaczego życia, on, który dotąd oddawał się zbytkom i bezczynności. Lamentował tedy przed Elpiniką, rozwodząc się z narzekaniem swojem.

— Przyczyń że się co rychlej — mówiła stara arystokratka — do upadku Peryklesa i jego partji, a przyjdą i dla ciebie szczęśliwe czasy. Gdy tylko Tucydydes stanie u steru rządu w Atenach, ja w tem, że będziesz

mógł bezpiecznie wrócić. Tymczasem o jednem myśl tylko, o tem, że całą tę biedę, całe to nieszczęście na ciebie ściągnął jeden znienawidzony człowiek — Perykles.

Szepcząc i oglądając się dokoła, rozeszli się spiskowcy.

Elpinika opuściła ogród zaraz, gdy tylko drzwi za ostatnim z jej nowych gości się zamknęły.

Chłód był przejmujący. Kalljas owinął się szczelnie w swój ciemny płaszcz i mrucząc klątwę jakąś pod nosem, puścił się w swą drogę. Wkrótce zbliżył się do murów, które w połowie ukończone, widmowo majaczyły wskroś pochmurnej nocy. Ogromne słupy, potężne arkady, głębokie rowy, wskazywały miejsce, gdzie wkrótce zbudowaną być miała warowna brama. Kalljas zażył niemałego trudu, zanim przebył tę przeszkodę, już to wspinając się, już skacząc na czworakach i czołgając się przez nagromadzone stosy materjałów. Znużony, znalazł się wreszcie po drugiej stronie fortyfikacji.

Już brzask ranny szarzał, kiedy na zachodniej stronie portowego przedmieścia ujrzał przed sobą morze.

Szedł drogą nadbrzeżną. Mijały długie godziny, gdy wreszcie znalazł się na korynckiem międzymorzu. Droga przed nim ginęła w sinem oddaleniu.

. . . . . .

Najbliższe już tygodnie przyniosły z sobą rosnący niepokój w Atenach. Ze wszystkich stron nadbiegały groźne wieści. Wkrótce nie było żadnej wątpliwości, że Korynt i Epidamnos zamierzają na Ateny uderzyć.

Zaraz też zwołał Perykles zgromadzenie ludowe,

na którem uchwalono uzbrojenie floty przeciw nowo wyrosłemu nieprzyjacielowi.

Wodzem wyznaczono doświadczonego strategę Leokratesa, który tylko co, z oddziałem Efebów, oddanych mu do wyćwiczenia, powrócił i do Pireus wpłynął.

A tak musiał on niezwłocznie znów rozwijać żagle.

W kilka dni później przyszła pocieszająca wiadomość. Przyszło do utarczki pod Helia, a zwycięzcami byli Ateńczycy. Wkrótce odniósł Leokrates ważniejsze zwycięztwo nad statkami związku Peloponezkiego, pod Eginą i pod Cekryfaleją.

Leokrates osaczył teraz buntownicze wyspy i obezwładnił je zupełnie.

Tę wszakże okoliczność wyzyskał Korynt na swą korzyść. I podczas kiedy flota ateńska oblegała wyspy, Korynt pozyskał sobie nowych sprzymierzeńców i niespodziewanie rzucił się ze znaczną siłą na megarskie dziedziny.

Teraz Ateny znalazły się w ciężkich obrotach. Nie namyślając się długo, uchwaliły zgromadzone stany uzbrojenie nowego oddziału wojska. Tym razem oddano dowództwo Mironidesowi.

Wkrótce i z tej także strony przyszły pomyślne wieści. Mironides rzucił się na nieprzyjaciela z ogromną zapalczywością i całą Megarę oczyścił. Wprawdzie tak położenie tej prowincji, jak i usposobienie mieszkańców wykazywało potrzebę trzymania tam stałej załogi. Megara stanowiła wązki szmat lądu między Koryncką a Farońską zatoką, ujęty z jednej strony skalistym grzbietem gór Skiros, z których dawnemi czasy napadali żądni mordu i rabunku osiedleńcy na

spokojnych wędrowców. Cały kraj zresztą przeważnie górzysty, przedstawiał wyborne miejsca do zasadzek, w których wojska korynckie wyćwiczone były.

Do tego czasu Ateńczycy byli zadowoleni ze swych wojennych przewag. A choć nie można było przewidzieć, jak długo ważne te punkty oblegane będą, przecież o tyle odparto niebezpieczeństwo bezpośrednie i blizkie, że dalsza budowa murów obronnych stała się znów możebną.

Ale pomyślne położenie zmieniło się nagle, gdy Sparta stanęła pod bronią. Zrazu wojska jej nie wystąpiły jawnie przeciw współzawodnikowi. Przecież Ateńczykowie z gorączkowym niepokojem śledzili ich ruchy.

Pierwsze hasło do boju dali sprzymierzeni z Atenami Focejczykowie. Ci żyli od dawnych lat na stopie nieprzyjaznej z Doryjczykami, współplemiennikami Sparty, zamieszkałymi w środkowej Grecji. Nieprzyjaźń ta niezawsze trzymała ich z sobą w otwartej wojnie. Teraz wszakże zadawniony spór tak nagle się zaostrzył, że Focejczycy opanowali małą Dorydę, zdobyli jedno z jej czterech miast i wcale nie mieli zamiaru puścić tej zdobyczy z ręki.

Gdy wszakże Doryda była macierzystym krajem wielu mieszkańców Peloponezu, a także i Spartanów, nie mogła Sparta obojętnie patrzeć na jej klęskę, a może nawet na jej ujarzmienie. Chociaż więc, wobec nieskończonej wojny z buntowniczą Messeną, wcale to było Sparcie nie na rękę, zebrała przecież swe wojska, i w sile dwunastu tysięcy ludzi, aby na wszelki wypadek być gotową, przebyła międzymorze i zmusiła Focejczyków nietylko do opuszczenia Dorydy i oddania zabranego miasta, ale i do złożenia broni. Co

uczyniwszy, Nikomedes, zwycięzki wódz Spartanów i namiestnik nieletniego króla ich Pleistoanaksa, zaraz się do powrotu zabierał.

Tymczasem wszakże podniosły się w Atenach głosy, iż nie należało cierpieć spokojnie tego poniżenia Focejczyków. Należało niedopuścić do powrotu wojsk Sparty, i zajść im drogę lądową u Pogai, Geranei, oraz Megary, morską zaś drogę przeciąć w zatoce Korynckiej.

Perykles jednak uważał, że chwila rozpoczęcia wojny ze Spartą źle jest obrana. Po pierwsze dlatego, że obronne mury Aten nie są jeszcze ukończone; powtóre, że w samych Atenach przebywało silne, oddane Sparcie stronnictwo; potrzecie, że siły wojenne kraju, uszczuplone wyprawą egipską, a także koniecznością oblegania Eginy, nie zdawały mu się dostatecznemi, aby się zmierzyć ze Spartą.

Ale rozjątrzenie obywateli było tak wielkie, że przedstawienia jego nie znalazły posłuchu. Lud czekać nie chciał, a po poprzednich zwycięztwach wydawało mu się łatwem pobić i upokorzyć Spartę. Uważali nadto Ateńczykowie, że cała ta wyprawa na Foceję nie inny cel miała, jak tylko pokazać im zblizka kły i pazury Sparty. Chociaż bowiem Sparta wojny Atenom nie wypowiedziała, choć Ateny nie były w tak ścisłem z Foceją przymierzu, któreby je zmuszało do chwycenia za oręż w jej sprawie, przecież całe wojsko spartańskie składało się z zaciężnych tych państw, które w jawniej wojnie i nieprzyjaźni z Atenami żyły. Nie było to więc nic innego, jak najście, obelga i urąganie się Atenom.

Wniosek się ten utrzymał, i Perykles ze swojem zdaniem ustąpić był zmuszony.

W największym pośpiechu uzbrojono teraz nowo utworzone oddziały wojska, dla których wzmocnienia, Mironides ze swojemi oddziałami został odwołany z Megary.

Spartanie powracać mieli traktem głównym na Koroneję, Teby, Ptatajai i Eleuteraję. Pewni byli, że na tej drodze będzie łatwo o prowjant dla żołnierza. Ale zaledwie przeszli Kitairon, dostali języka, że wojska ateńskie ciągną w znacznej sile. Nie wkraczali tedy do kraju nieprzyjacielskiego, ale zatrzymawszy się w Beocji, czekali co będzie.

Uderzyło to Peryklesa. Nie oczekiwał on nic dobrego z tego kwaterowania wojska spartańskiego w Beocji. Teby dawno już ubiegały się o hegemonję nad Beocją. Było do przewidzenia, że teraz, pod osłoną Sparty, zechcą pokusić się na nowo o uskutecznienie swych zamysłów.

Udział wojsk spartańskich w umocnieniu Teb był dla Aten niebezpieczny. Nie można było dłużej czekać i pozwolić na to.

Tak więc postanowiono niezwłocznie i to znaczną siłą uderzyć wstępnym bojem na nieprzyjaciela.

Rzecz była niebezpieczna. Co innego było zajść wojska w drodze wracające, a co innego teraz, kiedy miały one czas wybrać sobie doskonałą pozycję bojową. Z Teb bowiem wyszły wojska spartańskie ku Tanagrze. Znajdowały się przeto na samej granicy ateńskiej, w miejscu doskonale obranem, gdyż jezioro Kopais nie utrudniało przemarszu Focejczyków od północy ku Attyce, a od południa Teby panowały nad wszystkiemi idącemi tu drogami.

Tymczasem nadszedł listopad. Ciężkie mgły, które są zwykłą plagą Beocji, staczały się w coraz gęściejsze

masy. Wojska ateńskie nie mało też cierpiały od surowego chłodu w górzystej krainie. Na domiar złego, usposobienie żołnierzy i wodzów było nienajlepsze.

Nikt nie przewidywał zwycięstwa. Wszystko owszem obracać się zdawało na korzyść nieprzyjaciela. Przewaga licznego żołnierza, jego sprawność o wiele większa niż w świeżo zaciężnem wojsku i doskonała pozycja.

Zaledwie wszakże Ateńczycy posunęli się do pierwszych strażnic spartańskich, kiedy niespodziewane wydarzenie podniosło ducha ich niezmiernie.

Przeszło tysiąc jeźdźców Tessalskich przyłączyło się do wojsk, dowodzonych przez Mironidesa, jako posiłkowy żołnierz sprzymierzonego z Atenami państwa; jazda zaś tessalska sławna była z męstwa i wytrzymałości w boju.

Zaraz tedy wypracował Perykles z Mironidesem nowy plan kampanji. Świeżo pozyskany żołnierz posiłkowy miał oskrzydlić obóz nieprzyjaciela, podczas kiedy Perykles miał z kolmuną piechoty uderzyć w sam środek Spartan i złamać ich szyki. Przyjąwszy plan taki na wojennej radzie, wodzowie uspokoili się i byli dobrej myśli.

W obozie, w wigilję wykonania napadu, cisza zapanowała już wczesnym wieczorem. Nie rozpalono nawet obozowych ognisk, aby nie zdradzać pozycji.

W pewnem oddaleniu od wojsk ateńskich, w miejscu, gdzie skały stromo spadały w wązką dolinę rwącego strumienia Azopos, stał na prędce urządzony namiot. Płonęło tu kilka głowien, zachowanych z ognisk wartowniczych. Przed namiotem nie było żadnej warty, wewnątrz zaś namiotu leżeli uśpieni mężowie. Słychać było ich głęboki, jednostajny oddech.

Północ minęła dawno i niebo na wschodzie zaczynało się już rozjaśniać.

Nagle jeden ze śpiących zerwał się z przestrachem; ktoś się do namiotu zbliżał. Mąż zbudził towarzyszów. Wysoki, tęgi, od stóp do głów uzbrojony żołnierz podniósł się ciężko i pomrukiem niechętnym pytał o przyczynę alarmu. Ale tamten, który się pierwszy zbudził, milcząc, wskazał mu dwie postacie, które oglądając się na wszystkie strony, powoli skradały się ku namiotowi.

— To Rypares, kuglarz z Olimpji! — wtrącił trzeci ze zbudzonych, który tymczasem także się ze swego legowiska podniósł i do wejścia namiotu się przybliżył. — Niesie chleb i wino, żeby pośniadać.

— Ale z kim? — pytał pierwszy. — Jeśli mnie oczy nie mylą, tamten nosi ateńskie suknie?

— Psst!... — rzekł drugi i w milczeniu patrzyli na zbliżających się ukradkiem ludzi.

Ale zbrojny ów olbrzym nie mógł wytrzymać i szepnął zdumiony.

— To Kalljas! pasierb Peryklesa! Ale jak on nieborak wygląda!... Sandały podarte, kurzawa na nim aż się bieli, strzępy wiszą z płaszcza. Na Zeusa, toć on ledwie lezie!...

— Hej, Kalljasie! A gdzie to idziesz, synu! Cóż cię to, szczęśliwcze, z Aten pędzi?

Zagadnięty stanął. Towarzysz wskazał mu namiot palcem i rzekł:

— Oto tam znajdziesz tego, kogo szukasz, Cymona, wygnanego wodza Ateńczyków.

Wtedy pasierb Peryklesa ujrzał stojącego w otworze namiotu wojownika.

— Wielkie drogi leżą za mną — przemówił sła-

bym głosem Kalljas do Cymona. — Przeszedłem całe międzymorze. Przewędrowałem Argolidę i Arkadję. Z niebezpieczeństwem życia przebrnąłem Stymfalskie bagna... Bogowie nie chcieli mojej śmierci, gdyż mam sobie powierzone ważne poselstwo do ciebie, szlachetny Cymonie!

— Idziesz z Aten? — zapytał wywołaniec, a radość oświetliła twarz jego.

Kalljas potwierdził.

— Szukałem cię nad brzegiem Alfejosu—rzekł.— Ale powiedziano mi tam, że razem z innemi mężami ateńskiemi, których wyrok wygnania oddalił z ojczystego miasta, przeszedłeś także te ciężkie i dalekie drogi, które za mną leżą.

— A cóż cię to tak pędzi moim śladem, młodzieńcze?... Jeśliś wysłańcem mego rodzinnego miasta, to skądże tamten z tobą?

— Twoja siostra Elpinika przysyła mnie do ciebie, Cymonie, a z nią całe stronnictwo arystokratyczne Aten. Sprzysięgli się oni — dodał z cicha — strącić ze szczytu władzy przeciwnika twego, Peryklesa, i jego ludową partję.

Szybko podnieśli się teraz mężowie na posłaniach w namiocie siedzący i skupili się dokoła mówiącego. Kalljas zauważył, iż wszyscy byli tęgo uzbrojeni.

— Masz — rzekł młodzieniec — wzburzyć Spartę przeciw Atenom i wezwać ją do napadu na Ateny. Obronne mury jeszcze nieskończone. Wojska ateńskie rozrzucone w różnych oddalonych od siebie okolicach. Śmiały krok naprzód, a władza tego samowładnego męża, któremu przyklaskuje lud ateński, w proch padnie!

Tu mówca obejrzał się po zgromadzeniu. Ale

gdy oczy jego spotkały wzrok Cymona, ścierpł cały. Srogi gniew palił się w twarzy wywołańca. Żelazo szczękało na nim od gwałtownych poruszeń. Zdawało się, że chwyci niefortunnego posła, zdusi jak kurczę i o ziemię ciśnie.

Ale się opanował i rzekł:

— Słuchaj, ty! Czy mnie w Atenach mają za łajdaka, że śmią podobne propozycje robić?... Czy też ty jesteś tym łajdakiem, który się poselstw takich podejmuje?... Albożem nie służył Atenom całe życie uczciwie, ile mi sił stało?... Czy nie dzieliłem z współobywatelami mienia i dobra?... Czy nie nastawiałem w perskiej wojnie własnego karku?... Czym się zawahał kiedy oddać krew serdeczną za ojczyznę?... I teraz mi tu...

Zatknął się mąż z wielkiej, ognistej pasji i nie kończył słowa, sapiąc ciężko. Po chwili dopiero przemówił spokojniej nieco.

— Wracaj do mojej siostry i powiedz jej, że wstyd mi zawdzięczać życie rodzicom, którzy obok mnie, wychodowali zdrajczynię ojczystego kraju!

Pomruk uznania rozszedł się wśród towarzyszów Cymona. Każdy z nich darłby się do ostatniego z tą lub ową partją, rządzącą w kraju, ale jawnie zdradzać ojczyznę!...

Nigdy! Zaraz też poczęli groźnie łyskać oczyma i uderzać po krótkich, u boku tkwiących mieczach; co widząc, Kalljas cofnął się przezornie i w pewnem oddaleniu stanął.

— Czemuż więc ciągniecie zbrojno przeciw Atenom? — pytał śmielej teraz. — Cóż was w te góry wypędziło z waszej doliny, jeśli nie żądza zemsty za niesprawiedliwość, jaka was dotknęła?

Cymon wyciągnął rękę na zachód.

— Tam — rzekł — za Azaposem, nieopodal Tanagry, stoi nieprzeliczona mnogość wojsk spartańskich. Ale nie zdrada ich tu przywiodła! Przywiodła je klęska ojczystego kraju, ojczystej Dorydy, której chcieli pomódz. A teraz, patrz tam! — rzekł wskazując na wznoszące się w tej chwili z perlonych mgieł słońce. — Tam stoją zbrojne i do boju gotowe Ateny! Do cichego ustronia mego nad wodami Alfejosu przecisnęła się wieść o niebezpieczeństwie, w jakiem się mój kraj ojczysty znalazł. I dlatego jesteśmy tutaj, u granic Attyki, ja i moi towarzysze wygnania! Wracaj do tych, co cię wysłali i powiedz im, że Cymon gotów jest wstąpić w szeregi obrońców ojczystego kraju, jako prosty żołnierz! Że gotów życie oddać w boju z wrogiem, aby dowieść, że mimo uznania dla obyczajów Sparty i jej żołnierskiego ducha, nigdy przecież nie spodli się zdradą!

Tak mówił Cymon z twarzą rozognioną, a towarzysze jego ściskali jego twardą i mężną prawicę.

Zdumienie Kalljasa nie miało granic. Słuchał i uszom własnym nie wierzył. Słuchał i nie mógł przemówić słowa.

Napróżno więc przedsiębrał tę okropną i tak długą drogę!... Przygryzł wargi, drżąc z tajonej wściekłości, aż wreszcie rzekł szyderczo.

— Czy tak?... A zatem jesteś Cymonie, mimo swego wieku, jak ów żak, który nauczycielowi za rózgi dziękuje... Dobrze! bardzo dobrze! i owszem! Udaj się do tych, co cię zrujnowali i skórę obili! Idź! idź! Ugnij kolana przed Peryklesem, który cię wywołańcem uczynił.

Wódz patrzył w ziemię ponuro milcząc. Odetchnął wreszcie z głębi piersi i rzekł silnym głosem.

— Ateńczykiem jestem i ateńczykiem umrę! Nie

pójdę na pomoc tym krzykaczom, którzy ze mnie zdrajcę chcą zrobić, tylko pójdę na pomoc ojczyźnie! Dalej przyjaciele! dalej w drogę! słońce już wschodzi! siodłajcie konie! ściągnijcie namiot! jedziemy!

Szorstko odwrócił się stary żołnierz od rozgniewanego, a przecież zawstydzonego Kalljasa.

Pasierb Peryklesa rzucił wywołańcowi spojrzenie jadowite. Poczem zszedł z drogi w bok, a wkrótce mgła gęsta zasłoniła go zupełnie.

W chwilę potem mały oddział dobrze uzbrojonych jezdźców jechał stępa po spadzistości grzbietu górskiego, ku wschodowi. A kiedy jeźdźcy dosięgli obozu Ateńczyków, ozwały się głośne okrzyki. Forpoczty pobiegły ku przybyszom. Starzy, brodaci żołnierze, z radosnem zdumieniem poznali między niemi wygnanego wodza, z którym niejedno zwycięstwo odnieśli.

Perykles i Mironides ledwie uwierzyli nowinie, którą im przyniesiono do ich wspaniałego namiotu głównej kwatery. Ale zaraz nadszedł sam stary rębacz, i w swój prosty, nieco rubaszny sposób oznajmił, co go tu przywiodło. Nigdy on, ani przyjaciele jego nie pożądali tego, aby Sparta zwyciężyła w boju ich ojczyste miasto. Tak, nie zaprzecza, przychylny był Sparcie. Chciałby nawet, żeby coś z jej surowości i do Aten, nazbyt rozmiękczonych w zbytku, przeszło. Ale gdy przyjdzie stanąć w otwartym boju przeciw Sparcie, Ateńczykiem jest tylko i będzie!

Gdy tak mówił, podszedł ku niemu Perykles i podał mu do uścisku rękę.

— Cymonie! — rzekł wzruszony. — Skrzywdziłem cię myślą i odwołuję to!... Przebacz mi! Inne są drogi nasze, inne sposoby służenia ojczyźnie! Ale w miłości ku niej, rozumiemy się i jesteśmy sobie blizcy. Witam

cię więc, druhu! Żaden nie będzie odepchnięty z tych, którzy ojczystemu krajowi służby swoje niosą!

Stary rębacz ociągał się przez chwilę. Widocznem było, że go dużo kosztuje uścisnąć rękę człowieka, o którym mniemał, że jest przyczyną jego niedoli. Gdy nareszcie wyciągał do uścisku swoją szeroką i ciężką prawicę, usłyszał nagle słowa:

— Czekaj! hola! — i zobaczył Mironidesa, który zwróciwszy się do Peryklesa, rzekł rozdrażnionym głosem.

— Czyś ty król, Peryklesie, albo autokrata, żebyś samowolnie i na własną rękę przyjmował wywołańca do szeregów wojska naszego?... Lud wybrał mnie i ciebie na wodzów. Bez woli ludu nigdy nie zgodzę się na to, żeby Cymon w jednym ze mną walczył rzędzie!

Cymon zmierzył mówiącego straszliwem wejrzewiem. Mironides zazdrosny był o wojenną sławę dawnego wodza. Czuł, że właśnie gwiazda jego zabłysła, dzięki tylko szczęśliwym okolicznościom i lękał się, aby jej blasku nie przyćmiły bohaterskie czyny starego żołnierza.

Przyszło tedy do gorzkich przymówek obustronnych, których koniec był ten, że Mironides żądał natychmiastowego zwołania rady wojennej, któraby w zastępstwie ludu, spór rozstrzygnąć mogła.

Wiadomość o przybyciu Cymona obudziła wielki ruch w obozie. Wnet zadźwięczały długie rogi wojenne, zwołując podwładnych dowódców przed namiot naczelnych wodzów.

Gdy się zebrali, przemówił Perykles za przyjęciem Cymona w szeregi.

W czasie tej mowy, Cymon z przyjaciółmi znajdował się w namiocie. Z niepokojem oczekiwali oni skutku narady. Stary wódz mało miał przyjaciół pomię-

dzy mężami, składającemi radę wojenną. Wielu też z głosujących mniemało, że przypochlebi się Peryklesowi czarną gałką rzuconą na Cymona. Najwięcej zwolenników znalazł wywołaniec pomiędzy Tessalczykami. Wszyscy prawie oni chcieli iść w bój pod rozkazem jego.

Przystąpiono wreszcie do zliczenia głosów.

— Odrzucony! — krzyknął tryumfująco Mironides, który rachował kamyki do dwu hełmów rzucane.

Z błyskawiczną szybkością rozbrzmiał ten okrzyk w obozie.

— Odrzucony!— szepnął Cymon z goryczą. Przyjaciołom wszakże jego pozwolono wstąpić w szeregi!... Odpasał wtedy Cymon miecz swój zwycięski i podając go jednemu z nich, rzekł:

— Ale to zardzewione krwią wrogów żelazo musi bić się za ojczyznę, choć nie w mojem ręku! Przyjaciele, zachowajcie tę broń we czci! Dotrwajcie na placu boju do ostatniego tchu i poświadczcie starą sławę ateńskiego męstwa!

Towarzysze wywołańca uderzyli mieczami w tarcze na znak, że wrócą z niemi, albo na nich.

A wtem zatrąbiono pobudkę.

Mironides stanął na czele ciężko zbrojnej tessalskiej jazdy. Niechętnym wzrokiem patrzyli jeźdźcy na dowódcę swego. I nagle, zanim rozkaz wydać zdołał, rzucił się cały oddział z głośnym krzykiem po spadzistości wzgórza, za linję bojową. Ogromny kłąb kurzawy, kopytami tysiąca rumaków wzbity, zakrył konie i ludzi w jednem mgnieniu oka.

— Zdrada! zdrada!—krzyknęły setki głosów jakby z jednych ust rzucone, w najwyższej zgrozie. Niepodobna było wątpić! Tesalczyczy przeszli do nieprzyjaciela.

Zbladł Perykles jak trup, gdy mu przyniesiono tę straszną nowinę. Należało natychmiast natrzeć na wroga, inaczej dostać mogli Spartanie języka od zbiegów, o pozycjach ateńskiego wojska.

Zagrały rogi. Mironides rozwinął kolumnę swoją i pierwszy ją wiódł do ataku. Szczupła tylko liczba jeźdźców osłaniała boki piechoty. Harcowali oni po flankach dość żwawo, ale nie mogli okryć całej linji. Ciężko uzbrojony lud pieszy, hoplici, ruszyli naprzód zbitą ciemną masą. W każdej greckiej armji ta część wojska stanowiła rdzeń jego siły. Od dzielności hoplitów, od ich wytrzymałości w boju, zawisło zwycięstwo lub klęska.

Natychmiast pierwsze kolumny rozpoczęły bój, za niemi posuwała się reszta.

Zaledwie jednak Mironides piechotę swą ruszył, kiedy jak piorun spadł za nią ze wzgórza oddział spartańskich hoplitów, z całą przewagą rozpędu, jaką mu dawała wyborna pozycja.

Od pierwszego zaraz natarcia setki padły po ateńskiej stronie.

Zmieszały się szyki, pierwsze złamane szeregi trzeba było natychmiast osłonić innym żołnierzem, aż do nowego ich sprawienia.

Ruszył tedy Perykles swój lekko zbrojny naród: łuczników, kopijników i procarzy. Ci nie nosili ani hełmów, ani też pancerzy. Całe ich uzbrojenie składało się z lancy albo z kopji z grotem, z łuku i z procy. Ku obronie zaś własnej używał żołnierz ten wyciętych w półksiężyc, długich na dwie stopy, drewnianych tarczy, obciągniętych skórą.

Szyk ich rozwinął się sprawnie. Ze schylonemi lancami rzucili się kopijnicy do ataku, jak stado dzikich turów, gdy nastawią rogi.

Chmura strzał przyjęła ich ze spartańskiej strony; ale łucznicy wparli się w tę chmurę, świecąc w niej błyskawicami naostrzonych grotów. Szli, a raczej biegli naprzód i pod górę, co iż im utrudniało użycie tarcz, padali gęsto. Ale był to lud dzielny, młody, najmniej o śmierć dbający.

Perykles patrzył z uwielbieniem na sprawność dowódców, którzy to wojsko wiedli. Nareszcie nie mogąc wytrzymać ognia, który mu po żyłach od widoku tego szedł, skoczył w bój, sam chwyciwszy miecz i tarczę.

Tymczasem Spartanie skorzystali z zamieszania, jakie sprawiła w obozie ateńskim ucieczka Tessalczyków i osaczyli ich wojska dokoła. Stały one teraz w kotlinie, zagrożone ze wszystkich stron przez wroga. Wielkim łukiem zajęła im tyły sprzeniewierzona jazda tessalska.

W chwili, kiedy z dzikim okrzykiem jeźdźcy rzucili się na wojska ateńskie, Spartanie całą potęgą wpadli na nich z przodu.

Nie było co myśleć o komendzie, o ładzie, po ateńskiej stronie. Zaczęła się teraz w ścisku niemal ręczna walka, w której każdy zostawiony był własnemu męstwu. Zamieszanie było wprost bezprzykładne.

Sam Perykles omal że nie zginął w tej straszliwej zawierusze ludzi, broni, konnicy, piechoty; tak się wszystko skłębiło, zwarło w jedną śmiertelną, piorunową burzę!

Siekąc na prawo i na lewo, uczynił przecież wódz koło siebie nieco wolniejsze miejsce. Udało mu się nareszcie skupić przy sobie swój oddział, który, gdy komendę wodza posłyszał, znów nabrał ducha.

Ale Mironides, choć się bił dzielnie, nie mógł przełamać parcia i ciągle się cofał. Szczęście jeszcze,

że zdołał połączyć swoich hoplitów z łucznikami Peryklesa. Gdyby go odcięto, byłby zgubiony. Świst, trzask, szczęk, krzyki, jęki, wołania i klątwy zapanowały na całej linji. Kurzawa nakryła walczących tak, że się niemal na oślep bito.

Tymczasem obaj wodzowie, złączywszy się szczęśliwie, postanowili podać wrogom tak zwany macedoński »Falanks«, znany Ateńczykom z wojen perskich. Rozległa się komenda. Pierwszy szereg kopijników opuścił lance. Drugi wytknął je z pomiędzy pierwszych wyżej nieco. Trzeci, czwarty i piąty szereg wysunęły także i w tenże sam sposób, swoje lance, tylko coraz wyżej, tak, że wszystkie groty sterczały ostrzem na linji pierwszego szeregu. Jazda osłaniała z tyłu walczących. Był to straszliwy widok! Ten wał, ta ściana błyszczących ostrz, musiała wstrzymać najdziksze nawet natarcie.

Jakoż konnica spartańska złamać falanksu nie mogła. Po obydwóch bowiem jego stronach, łucznicy szyli, w dodatku, tak gęsto w konnicę ową, że ranne rumaki wspinając się i rżąc przeraźliwie, waliły się razem z jeźdźcami. Wsparła ich ściągnięta z poprzedniego stanowiska tessalska jazda, ale i ta tej strasznej zapory przełamać nie mogła.

Krok za krokiem cofał się falanks, a po obu jego stronach, łucznicy i procarze niemało szkody wyrządzali wrogom na swoją rękę.

Tak osłonięci owym wałem ostrz, cofali się Ateńczycy, walcząc o każdą piędź ziemi, ku podnóżom skalistego pasma, nie wychodząc ani na chwilę z tego zdumiewającego szyku. Gdy któremu z żołnierzy omdlała ręka, Perykles zagrzewał go do wytrwania, do męstwa.

Zakryły wreszcie drzewa i zarośla na stoku gę-

sto rosnące, cofających się, którzy wtedy, nagle w tył się zwróciwszy, wbiegli na grzbiet górzystego pasma. Tam byli od mordercżych strzał wroga bezpieczni.

Tymczasem Spartanie, zebrawszy się na pobojowisku, zasłanem więcej niż tysiącem poległych z obu stron mężów, otrąbili zwycięstwo na długich chrapliwych surmach i pociągnęli ku niedalekiej Tanagrze.

Na pobojowisku stanęły teraz honorowe straże. Obowiązkiem bowiem było otrzymujących plac boju zwycięzców, uczcić pogrzebem wszystkich poległych, zarówno swoich, jak wrogów.

Tak tedy, w tym dniu niefortunnym, zwycięstwo uszło rąk Peryklesa, mimo jego osobistego męstwa, i mimo dzielności żołnierzy. Niepomyślny wynik bitwy przypisywano w obozie ateńskim głównie zdradzie Tessalczyków.

Obejrzeli się teraz ludzie po sobie. Ani jeden z towarzyszów Cymona nie został przy życiu. Bili się jak lwy, zginęli jak bohaterowie. Ich śmierć była chlubnem świadectwem nietylko miłości ojczyzny, ale także ręczyła niejako za patrjotyzm i obywatelskie uczucia ich odrzuconego wodza.

. . . . . .

Posępnie i w milczeniu przyjęła ludność miasta wracające, a pobite wojska.

Niejedno gorzkie słowo posłyszał Perykles przy składaniu ofiar za poległych. Stronnictwo arystokratów tryumfowało. Cymon urósł nagle w powadze i w znaczeniu u współobywateli. Jego gotowość do walki za kraj, bohaterska śmierć jego towarzyszów, przejednywały najzawziętsze nawet umysły.

Zaczęto porównywać dawne świetne czasy z obecnem, ciężkiem położeniem kraju.

— Cymon nigdy nie dopuściłby do tej nieszczęśliwej wojny! — mówili teraz ci, którzy na zgromadzeniu ludowem najgłośniej domagali się wojennej przeciw Sparcie wyprawy.

— Ale niechby i była wojna!—odpowiadali inni.— Niechby była! Pewnem jest, że nie przyszłoby do tej klęski, gdyby Cymon był wodzem. Wszak ci to największy bohater naszych czasów, zwycięzca w tylu bitwach! Inaczej on by tam pod Tanagrą bój poprowadził, to pewna!

Jednak klęska pod Tanagrą nie była tak wielką, aby wojskom ateńskim niepowetowaną miała zadać krzywdę. Z drugiej zaś strony, i Sparta odniosła w boju tym nader poważne straty w ludziach i w koniach, a to tak dalece, iż zmuszona poprzeć silniej wojnę z Messeńczykami, nietylko nie myślała o pochodzie na Ateny, ale owszem, na drugi zaraz dzień po bitwie owej, zgodziła się na czteromiesięczne zawieszenie broni.

Zaprzeczyć wszakże nie można, że znaczne niebezpieczeństwo rosło dla Aten na przyszłość z tej nieudanej wyprawy. Sparta bowiem zużyła czas pobytu swego w Beocji na to, aby sobie nietylko z tej prowincji, ale także z całej środkowej Grecji, a mianowicie z Lokrydy i Dorydy, sprzymierzeńców uczynić. Tak samo zapowiadało się całkowite odpadnięcie Tessalji z ateńskiego związku.

Spodziewać się też należało niemal napewne, że na wiosnę, po upływie zawieszenia broni, trzeba będzie wstrzymać niezawodny napad Sparty, oraz jej pomnożonych tak znacznie sprzymierzeńców.

W przewidywaniu niebezpieczeństwa, jedno było dla Aten koniecznem: pokój wewnętrzny i zgoda oby-

wateli. Perykles gotów był do wszelkich ofiar w tym celu. A to tak dalece, że gdy zgłębił i bliżej poznał usposobienie ludu, który naraz w Cymonie zbawienie swoje upatrywać zaczął, sam pierwszy zaproponował ludowi przywołanie do Aten dawnego zwycięskiego wodza.

Wniosek ten przyjęto z radością.

— Niech wraca! — wołali teraz Ateńczycy, wzruszeni jego miłością ojczyzny. — Niech w tryumfie do Aten powraca!

We wszystkich tych wypadkach Perykles zachował godność niezachwianą i szlachetną inicjatywę w dążeniu do uspokojenia umysłów. Nie żywił on zresztą nigdy względem Cymona zbytniej nienawiści. Potępiał jego politykę, oto wszystko.

A potem i w jego też oczach oczyścił się Cymon z niejednej plamy, przez swój żołnierski patrjotyzm, tak gorący i tak czysty.

To też zachowanie się Peryklesa zjednało mu stronników we wszystkich partjach.

Nawet między arystokracją objawiała się jakaś dążność ku pojednaniu, gdy Perykles chcąc uprzednie podejrzenia zniszczyć, sam obstawał za tem, aby synowie współzawodnika jego, lubo z matki cudzoziemki zrodzeni, otrzymali pełne prawo ateńskiego obywatelstwa, jako zaszczytny wyjątek.

Przez wzgląd na dawne i liczne zasługi Cymona, lud zgodził się na to żądanie.

Kiedy w miesiąc później, wśród wesołych okrzyków ludności, Cymon do Aten wracał, przyjęło go w rynku grono najznakomitszych i najmożniejszych obywateli miasta.

I Elpinika była tam obecną; zaledwie też spo-

strzegła otoczoną radosnym tłumem wysoką postać Cymona, rzuciła się z powitaniem ku bratu.

Ale wódz pominął ją zimnem, jak stal spojrzeniem. Poczem podszedł ku Peryklesowi i dłoń jego uścisnął.

Ze zdumieniem zauważyli to obecni i wkrótce na wszystkich placach i ulicach miasta o niczem innem nie mówiono, tak, że naraz nie Cymon, ale Perykles stał się bohaterem chwili.

— Cóż to za mąż — mówiono — któremu wszyscy, nawet wrogowie, hołd składają!

X.

W nieprzyjacielskim obozie.

Lud ateński zbyt był lekkkomyślnym, aby długo opłakiwać klęskę. Owszem, przegrana pod Tanagrą wyjaśniła tę dobrą stronę w usposobieniu Ateńczyków, że i z losem i między sobą także godzili się łatwo. Jakoż w szerokich kołach ludności budziło się poczucie blizkich niebezpieczeństw, a z niem gorąca żądza zjednoczenia, zespolenia wszystkich sił do walki z niemi. Okazało się, że w tych poróżnionych przez względy polityczne warstwach narodu, najgłębszym pokładem jest zdrowy i silny patrjotyzm, który nieszczęście narodowe wydobyło na wierzch.

Najpierwszym skutkiem tego wydobycia był nastrój wojowniczy. Każdemu obywatelowi ateńskiemu zależało teraz na tem, aby niefortunną wyprawę pomścić świetnym czynem.

Sposobność nastręczyła się wkrótce.

Sparta, będąc sama zatrudniona wojną z Meseńczykami, podburzyła Beotów, sprzymierzeńców swoich, aby niepokoili Ateny i nie dali podnieść im się tak rychło po otrzymanej pod Tanagrą klęsce.

Beocja poszła ślepo za tem poduszczeniem. Ze

wszystkich stron ściągano w niej wielkie wojenne siły, przygotowując się do napadu na Attykę.

Ale Ateny uprzedziły napad. Mironides zebrawszy i zasiliwszy świeżym żołnierzem swe pobite wojska, już w miesiąc niespełna wystąpił do boju z Beocją.

Starcie nastąpiło pod winnicami Oinofitai. Było ono niezwykle krwawem, gdyż Ateńczycy z wściekłością szukali odwetu za swoją porażkę pod Tanagrą. Odnieśli też stanowcze i całkowite zwycięstwo, tak nad Beotami jak i nad posiłkowemi wojskami ich sprzymierzeńców, zwycięstwo brzemienne w nadzwyczaj ważne następstwa. Mironides bowiem nie zadowolił się samym tryumfem na polu walki, lecz starał się ze zwycięstwa tego wyciągnąć jak największe korzyści.

Wkroczył do Beocji i ustanowił we wszystkich jej miastach rząd demokratyczny. Samą zaś tę prowincję, równie jak Focydę, uczynił zależną od Aten; zaś wschodnia Lokryda musiała dać tysiąc zakładników, zwycięzcy dla pewności zachowania warunków.

Z tryumfem tedy powracał dzielny wódz do Aten.

Zanim wszakże znalazł się u bram ojczystego miasta, kiedy obywatele, uradowani tak walną wygraną, nową mu i zaszczytną powierzyli wyprawę przeciw Tessalji, a to dla ukarania ich zdrady pod Tanagrą.

Natychmiast tedy, wzmocniony zakładniczem wojskiem Focydy i Beocji, ruszył Mironides na Tessalję i zdobył kraj cały, za wyjątkiem tylko Farsalosu. Na stałą władzę Aten w Tessalji nie było oczywiście co liczyć, ale osiągnięto przecież w zupełności zamierzone ukorzenie i ukaranie tego kraju.

Obok Mironidesa, zwycięzcy z pod Oinoifitai, za-

służył na uznanie współobywateli i drugi wódz, Tolmides.

Przedsięwziął on na nowo oblężenie wyspy Eginy i dzięki jego wytrwałości, Egina, którą Perykles nazywał »cierniem w oku Pireusa« wpadła wreszcie całkowicie w moc Aten. Egińczycy musieli oddać wszystkie swoje statki wojenne, musieli zrównać z ziemią wszystkie swe obwarowania; sami zaś wcieleni zostali do Attyki, jako obowiązani do wnoszenia danin poddani.

Perykles brał udział we wszystkich tych tak pomyślnie dla Aten rozwiązanych sprawach. W jego to bowiem ręku spoczywały wodze państwa i on to kierował niemi tak mądrze i zręcznie.

O Cymonie tymczasem nie było już mowy. Nacieszywszy się powrotem słynnego niegdyś wodza, spostrzegli Ateńczycy, że wobec nowych sił, jest on prawie zbytecznym.

Ale bo też i w samym Cymonie zaszły dość uderzające zmiany. Nie był to już ów wielomówny w rubasznych żartach smakujący wojak. Kilkoletnie wygnanie uczyniło go poważnym i milczącym, owszem, rozgoryczonym i zgryźliwym. Ateńczycy zaledwie poznawali go teraz. Na dobitek, w tym czasie doszły do Aten wiadomości o niepowodzeniach wyprawy egipskiej, przez niego jeszcze zainicjonowanej. Posiłkowa armja attycka pobitą została na wyspie Prosopitis, a flota jej wynosząca 50 okrętów, była zupełnie zniszczoną.

Gorzko wyrzucano całe to przedsięwzięcie staremu wodzowi. W nim jednak gorzała jeszcze żądza wojny po dawnemu. A chociaż smutne następstwa ostatniej wojny z Persami mało zdawały się zachęcać do ponownej wyprawy, rwał się Cymon do Egiptu, żeby naprawić klęskę.

Stary rębacz nie mógł być bezczynnym. A przytem potrafił świeżo zasłużyć się swym współobywatelom; jego to bowiem pośrednictwu przypisać trzeba, iż Sparta nie odrzekała się teraz zgody z Atenami.

Przedewszystkiem zawarto rozejm pięcioletni.

Czas rozejmu tego postanowił Cymon właśnie użyć na zwrócenie sił wojennych Attyki ku poparciu egipskiej wyprawy. Na sercu mu leżało pomścić na Persach starą swą porażkę. Popierany tedy silnie przez przyjaciół, usiłował Cymon wytłomaczyć ludowi ateńskiemu, że wojnę przeciw Persom uważać należy jako widowisko, któremu się zdala przypatrywać można z całem bezpieczeństwem i które spokoju attyckich ognisk domowych nigdy nie zakłóci; że zatem nie należy się bać owych Persów, którzy w pychę urośli aż nadto.

Oto właśnie opanowali wyspę Cypr. Możnaż pozwolić na to? — A i państwa greckie w małej Azji coraz zuchwalej są przez nich naciskane.

Te mowy Cymona pobudziły krew Ateńczyków przeciw Persom.

Perykles milczał, wszakże nie przeczył. Właściwie rad był, że ruchliwy i czynny w jedynym tylko kierunku wojny, duch Cymona znajduje dla siebie pole działania poza Atenami, lubo owo rozpraszanie sił wojennych kraju na ciągłe utarczki z Persami, wcale mu się podobać nie mogło.

Nareszcie postanowiono podjęcie nowej przeciw Persom wyprawy, a Cymon obrany został jej wodzem.

Wkrótce potem wyruszył on z portu Pireus, z potężną, dwieście okrętów liczącą flotą.

Miała to być ostatnia wyprawa starego żołnierza.

Zwycięsko sprawował sędziwy wódz całą drogę morską, rozpraszając spotykane na niej okręty Per-

sów i zmuszając znaczne oddziały ich floty do haniebnej ucieczki.

Ale po zdobyciu Kitjonu na Cyprze, ciężka rana zmusiła go do pozostania na pokładzie statku. Z dnia na dzień opuszczały go siły. Zgasł wreszcie. Ale na rozkaz jego zatajono śmierć tę przed wojskiem, i przez trzydzieści dni jeszcze od chwili zgonu, wydawane były w imieniu Cymona rozkazy załodze floty.

Świetne zwycięstwa tej floty złamały ostatecznie potęgę morską Persów.

Tak więc powracał na statku wódz nieżywy wprawdzie, a jednak tryumfujący, gdyż życie swe zamknął zwycięstwem, które ojczyźnie jego zapewniało spokój. Przyjmowano też jego zwłoki ze czcią i wojennemi honorami tak, jak gdyby żył jeszcze.

Po śmierci Cymona ster państwa został wyłącznie w ręku Peryklesa.

Tucydydes był i teraz głową partji arystokratycznej. Ale ściśle rzeczy biorąc, nie był on zdolnym zastąpić swego poprzednika. Wprawdzie był Tucydydes o wiele bardziej wykształconym niż Cymon, a także prawdziwym mężem stanu i dobrym mówcą; ale nie posiadał tego wpływu, jaki daje sława, a który tak często czynił Cymona wprost niezwyciężonym.

Tymczasem Perykles korzystał z chwilowego uspokojenia na zewnątrz i na wewnątrz Aten i prowadził dalej dzieło upiększania ojczyzny. Bogate środki ku temu celowi zapewniał mu skarb państw związkowych.

Właśnie pod ręką Fidjasza powstawała za przewodem Peryklesa olbrzymia statua Zeusa, do świątyni w Olimpji przeznaczona.

Cisza wszakże przyjazna sztukom i dziełom pokoju nie trwała długo. Ciężką niemiernie było rzeczą

utrzymać spokój w państwach związkowych i namiętności ścisnąć w karbach. Jak w Atenach bowiem, tak we wszystkich greckich miastach, walczyły z sobą nieprzyjazne partje demokratów i arystokratów.

Nagle przyszła wieść do Aten, że wielu arystokratów w Beocji, opanowawszy kilka miast pomniejszych, zbroi się przeciw Tebom. Już Tolmides, który po bitwie pod Eginą ufał w swą szczęśliwą gwiazdę, chciał zwołać Ateńczyków do boju, kiedy Perykles stanowczo temu się oparł. Nie chciał rozpoczynać nowej wojny, a na zebraniu ludowem starał się Tolmidesa odciągnąć od przedwczesnego jego rwania się do nowych awantur, upominał go i przestrzegał.

— Jeżeli mnie nie wierzysz — mówił — to czekaj przynajmniej i zostaw to najlepszemu doradcy—czasowi.

Tolmides jednak nie słuchał i szukał innej drogi. Zmuszony wyrzec się regularnego wojska, zebrał garść straceńców ochotników, i z tą drużyną szalenie rzucił się na Beocję, gdzie nietylko został zupełnie rozbity pod Koroneją, ale i sam poległ. Co pozostało z wojska przy życiu, dostało się do niewoli.

Aby uratować jeńców wojennych od niewoli, musiał Perykles zawrzeć układ z Beocją, mocą którego, za wolność niedobitków, zrzekły się Ateny wszelkiego zwierzchnictwa nad tą ważną pograniczną prowincją.

Skutki tej klęski objawiły się niezwłocznie, gdyż po usunięciu załóg ateńskich z Beocji, trzeba było odstąpić także Focydę i Lokrydę, które tylko bezpośrednia obawa trzymała w uległości.

Z tych niespokojności skorzystali i Megarejczycy, którzy sprzymierzywszy się z Koryntem, wypowiedzieli posłuszeństwo Atenom.

Perykles obległ ich i zamknął w murach; zanim

wszakże zwyciężyć ich zdołał, groźniejsze niebezpieczeństwo zbliżało się od strony Eubei.

Niezwłócząc ani chwili, Perykles uderzył na nią całą siłą wojsk swoich.

Zaledwie wszakże się ruszył, kiedy uderzyła w niego wieść straszliwa.

Sparta szła na Attykę!

Cała potęga Aten była w tej chwili jak bańka mydlana zdmuchniętą. Lud stracił odwagę.

Smutny to był dzień, kiedy Perykles, z wojskiem, ciągłemi przemarszami w najwyższym stopniu znużonem, po parogodzinnem tylko zatrzymaniu się, opuszczał Ateny. Aspazja odprowadziła małżonka aż po za miasto. Obok niej szedł wyrosły już w młodzieńca Paralos i młody towarzysz jego, Alcybiades. Klinjas, ojciec tego uderzająco pięknego i wesołego chłopca, poległ w bitwie pod Koroneją. A ponieważ Perykles był dalekim krewnym matki Alcybiadesa, objął zatem nad sierotą opiekę. Chłopiec był dla swego dowcipu, żywości i uprzejmości, przez wszystkich lubiany. Szczególniej przywiązał się Paralos do znacznie młodszego od siebie towarzysza.

Z głębokiem wzruszeniem żegnała się rodzina. Wszakże Perykles szedł w całkiem niepewną przyszłość! Wojsko jego było słabe, znużone, upadłe na duchu, a on nie miał przy sobie dawnych, dzielnych towarzyszów broni!...

Tolmides i Cymon chwalebnie zginęli w boju. Mironides umarł wkrótce po zwycięstwie nad Tessalją. A Spartanie idąc z wielką siłą, wkroczyli już do Eleusis i kraj niszczyli straszliwie.

Perykles więc nawet w ruchach swoich strategicznych nie był całkiem wolny. Czy chciał czy nie chciał,

musiał koniecznie zająć obronne stanowisko na wyżynie Eigaleos, a to dla zakrycia wielkiej, tak zwanej »świętej drogi« z Cekropji do Aten wiodącej.

Zaledwie to uczynił, kiedy wojska spartańskie, idące brzegiem odnogi Sarońskiej, do Attyki wkroczyły.

Wódz ich, Kleandrydas, młody jeszcze człowiek, działał śpiesznie i śmiało. Wyprawa na Attykę była jego pierwszym ważniejszym czynem wojennym. Zakładał tedy na niej całą nadzieję swej sławy. Nadewszystko oddawały mu wielką usługę wyborne wiadomości, jakie otrzymywał z Aten o ruchach i położeniu wojsk; a dostarczycielem tych wiadomości do spartańskiego obozu był nie kto inny, tylko Kalljas.

Odepchnięty przez Cymona, pasierb Peryklesa udał się wprost do Sparty. Nie było mu tam trudno, nawet mimo rozejmu, rozniecić w jasny płomień tlejące iskry zazdrości. Nadewszystko obstawał Kalljas przy tem, aby Sparta nie zwłóczyła z napadem na Attykę. Gdy raz Ateny wykończą swoje obronne mury, nie będzie co i myśleć o zdobyciu miasta.

Tak więc nędzny ten zdrajca ojczystego kraju i podżegacz przeciw ojczyźnie, był ważnym czynnikiem w wojnie, która zapowiadała się dla Aten bardzo smutno i wątpliwie. Gdyby nie jego podżegania, Sparta byłaby dochowała wiary w umówionym na lat pięć rozejmie.

Nadeszła noc; mimo to Kleandrydas trzymał wojska swoje w pełnem pogotowiu do marszu. Zaraz po północy miał ruszyć na Ateny, a był tak blizko, iż spodziewał się o świcie stanąć pod murami miasta.

Właśnie wydano rozkazy mającym ruszyć naprzód rekonesansom, kiedy Kalljas otrzymał rozkaz, aby się natychmiast w namiocie Kleandryda stawił.

Z wahaniem podstąpił zdrajca do głównego wodza. Ten stał z twarzą wzburzoną w pośrodku ludzi, w których Kalljas na pierwszy rzut oka poznał szpiegów wojennych.

— Nędzniku! — krzyknął wódz z wściekłością — oszukałeś mnie! Przysięgałeś mi, że Ateny są bezbronne, że wojska ich i wodzowie znajdują się w Eubei! Na twoje słowo ważyłem się aż tak głęboko z mojem wojskiem w kraj nieprzyjacielski. A tymczasem, zdrajco ty nikczemny, o trzydzieści stadjów stąd, całe Ateny stoją zbrojne i do boju gotowe!

Kalljas cofał się ku wyjściu, drżąc ze strachu przed wzburzonym wodzem. Jak każdy zdrajca był on także tchórzem. O przygotowaniach wojennych w Atenach wiedział dobrze; obawiał się jednak, że Sparta, licząc się z niemi, odwłóczyć zechce upragnioną przez niego wyprawę wojenną, która jak się spodziewał tego, miała zniszczyć i do upadku przywieść znienawidzonego ojczyma. Dlatego to zamilczał o gotowości Aten do obrony.

Tymczasem wódz spartański odprawił obecnych. Zaledwie wszakże opuścili namiot, przystąpił szybko do Kalljasa i rzekł stłumionym głosem.

— A wiesz ty, kto jest wodzem ateńskiego wojska?... Sam Perykles!...

I odwróciwszy się od nikczemnego szpiega, zaczął chodzić niespokojnie po swoim namiocie. Nie uśmiechał mu się bynajmniej otwarty bój z najsilniejszym z współzawodników Sparty. A potem jakże on, niedoświadczony zgoła, mierzyć się ma z mężem tak sławionym, z tym wielkim Peryklesem, którego imię nawet w nieprzyjacielskim kraju ze czcią wymawiane było!

Kleandrydas mniemał, opierając się na wiadomościach zaczerpniętych od Kalljasa, że idzie po łatwe zwycięstwo, które mu sławę zapewni. A tymczasem położenie rzeczy było wątpliwe i mogło na całe jego życie mieć wpływ jak najfatalniejszy. Rozważał to wszystko w myśli, coraz gwałtowniej chodząc wzdłuż i wszerz namiotu i coraz większym zapalając się gniewem przeciw Kalljasowi.

— Słuchaj! — krzyknął. — Do konia przywiązać cię każę i prowadzić w pierwszym szeregu; jeżeli przegram, jak psa zabić cię każę! Precz mi z oczu!

Trzęsąc się, opuścił Kalljas główną kwaterę wodza. Ziemia paliła mu się pod nogami. Ucieczka tylko ocalić go mogła. W śmiertelnym niepokoju oczekiwał wieczora. Gdy wreszcie mrok zapadł, przesuwał się ostrożnie wzdłuż linji namiotów.

Linja ta dotykała zatoki, i placówki obozowe nie tak gęsto z tej strony były rozstawione.

Tu czekał, przyczajony, aż do ciemnej nocy. Wtedy na czworakach pełznąć począł pomiędzy zamykającemi obóz wozami, zsunął się na sam brzeg i przysiadłszy w piasku, upatrywał czółna.

Pusta powierzchnia wody głęboko czerniła się przed nim. Nigdzie żadnego ruchu; senne i ociężałe fale uderzały o brzeg. Położenie jego stawało się nieznośne.

Nagle wydało mu się, że słyszy z oddalenia śpieszne, miarowe uderzenia wiosła. Wkrótce odgłos się zbliżył i w chwilę później ujrzał małe czółno, sterujące wprost ku brzegowi.

Wreszcie rudel przybił do lądu i kilku ludzi wyskoczyło z czółna. Niewymowny strach przejął Kalljasa. Już chciał uciekać, gdy jakaś ręka spoczęła na jego

ramieniu i Kalljas spojrzał przerażony w oblicze dobrze sobie znane.

Tym nocnym żeglarzem był Perykles.

Skinął na towarzyszów, którzy skoczyli w czółno i ujęli wiosła, by w każdej chwili módz odbić od brzegu.

— Idź, Kalljasie, do twojego pana — rzekł Perykles twardym i wzgardliwym głosem — i powiedz mu, że Perykles, nie wódz ateńskiej armji, ale Perykles mąż stanu, żąda z nim rozmowy, bezbronny z bezbronnym; niech przybędzie tutaj tak jak i ja, bez towarzyszów.

Chciał Kalljas odpowiedzieć wymijająco, ale piorunujące spojrzenie oczu Peryklesa zmusiło go do posłuszeństwa.

— Idź — powtórzył stratega raz jeszcze, wyniosłym ruchem ręki wskazując mu drogę.

Niebawem stanął Kleandrydas przed nieprzyjacielem. Zdumiał on się nad męską odwagą tego wielkiego człowieka, który prawie do samego obozu wrogów przybył bez broni i tylko w towarzystwie paru wioślarzy.

Perykles istotnie ważył się na krok niebezpieczny; ale tylko natychmiastowe porozumienie się co do rozejmu — przed bitwą jeszcze — mogło wyrwać Ateny z groźnego położenia, w jakiem się znalazły.

Nietylko bowiem widział Perykles niepomyślny wynik wojny z powodu braku silnego wojska, lecz i wewnętrzny stan kraju przedstawiał się nader groźnie. Niezadowoleni podnosili głowy, a wreszcie w szeregach stronnictwa arystokratycznego, które nie dało jeszcze za wygranę, wrzenie znowu się rozpoczynało.

Szczególnie augurowie i kapłani, niezadowoleni

z wpływu nauk Anaksagorasa na lud i wyszydzania przez aktorów na scenie starej wiary Ateńczyków, jawnie już występowali przeciw nowemu porządkowi rzeczy.

Wiedział zatem Perykles, że obecność jego w Atenach jest teraz tem potrzebniejszą, i rad był wracać za wszelką cenę.

Powziąwszy raz to postanowienie i nie zważając na widoczne własne niebezpieczeństwo, pragnął on spróbować osobiście, czy nie uda mu się groźnego przeciwnika usunąć innym sposobem.

Wśród innych argumentów, liczył on także na chciwość spartańskiego wodza. Złoto było w Lacedemonji rzeczą nader rzadką, a Kleandrydas miał mieć na brzęk jego, ucho bardzo czułe. Na tem właśnie, z wyborną znajomością ludzkich przywar, budował plan swój Perykles.

Po krótkiej rozmowie z młodym Spartańczykiem, wiedział już, jak ująć przeciwnika.

Wszakże nie obraził go żadną bezpośrednią propozycją datku. Owszem, rozwinął przedewszystkiem przed oczyma jego te szkody, jakie wspólnej ojczyźnie przynoszą ciągłe walki między jej ziemiami, jej prowincjami.

Ileż sił rzuconych na marne, jakie sumy odwrócone od krajowej pomyślności!

Czyż nie powinno to być zadaniem szlachetnie myślących Greków, porzucić ten system wzajemnego niweczenia owoców swej pracy, czuć się braćmi i niedawać z siebie krwawego widowiska barbarzyńskim ludom?

W taki to sposób usiłował Perykles wzbudzić w sercu przeciwnika wątpliwość co do samej zasady prowadzenia bratobójczej wojny. Następnie przedstawił mu zupełną bezcelowość najścia na Ateny, które się z pewnością obronić potrafią.

Kleandrydas zachwiał się; poprzednie doniesienia,

znacznie zresztą przesadzone, o ogromnych uzbrojeniach Aten, znajdowały potwierdzenie w ogólnych, ale pozwalających domyślać się więcej, słowach Peryklesa.

Teraz dopiero mądry mąż stanu, widząc wahanie się spartańskiego wodza, nadmienił, że wie dobrze, ile kosztów, nawet osobistych, pociąga wojenna wyprawa i że Ateny skłonne są pokryć je do sumy dziesięciu talentów, — w razie, dodał Perykles, jeśli wojska spartańskie wycofają się z Attyki i wrócą do domu, a Kleandrydas, jako przestawiciel i zastępca króla, podpisze pokój na lat trzydzieści.

Warunków tych prawie że wódz spartański nie słyszał. Ogromna suma dziesięciu talentów sprawiała mu zawrót głowy. Ale przecież wahał się jeszcze, choć właściwie i dla ojczyzny jego korzystniejszą był rzeczą pokój, niźli wojna.

Tymczasem Perykles mówił dalej:

— Porównaj, Kleandrydzie, to, czego od ciebie wymaga twój lud, z tem co ja ci ofiaruję dobrowolnie. Spartanie wysłali cię, abyś im powrócił posiadanie prowincji środkowej Grecji. Dobrze. Otóż ja chcę Sparcie w sposób pokojowy zapewnić to, co by im wojna zwycięska dać mogła. Zwycięska mówię! Ale wojna, jak wiesz, niezawsze zwycięską bywa. Przypuszczam wszakże i ty przypuść, Kleandrydzie, żeśmy się już bili i że Sparta zwyciężyła Ateny. Tak. — Że zwyciężyła! Czemuż więc wahasz się przyjąć bez boju to, co mogłoby być owocem tylko najzupełniejszej wygranej twojej? Pomyśl tylko! Wszak po zwycięstwie zawarlibyśmy pokój, którego najcięższe warunki nie mogłyby przenosić korzyści, które teraz dobrowolnie zapewniam Sparcie. Chcę tego dla oszczędzenia krwi mego i twego ludu.

— Po co ma ginąć tylu Greków? Powiedz!

Aby zjednać przeciwnika dla swojej idei, Perykles rozwinął całą swoją wymowę. Argumenty wymowy tej nie tyle wszakże działały na Kleandryda, ile oślepiająca go ilość przyobiecanego złota.

Ze swej strony, Perykles wymagał zgody jego na dwie jeszcze rzeczy. Pierwsza, aby państwom greckim wolno było swobodnie przyłączyć się albo do związku peloponeskiego albo do doryckiego. Druga, aby w razie sporów między Atenami a Spartą, nie oręż rozstrzygał, lecz sąd polubowny.

Po długiej rozmowie zdecydował się wreszcie Kleandrydas na żądanie Peryklesa.

Wielki statysta wymagał wszakże, aby warunki umowy natychmiast spisane i podpisane zostały.

Wódz Spartan powiódł go do swego namiotu.

Północ dochodziła, kiedy obaj mężowie przystąpić mieli do podpisania tak ważnego aktu.

— Kto wszakże zaręczy mi, że przyrzeczona suma istotnie wypłaconą mi będzie?—rzekł Kleandrydas, pełen tajonej troski.

— Moje imię! — odparł Perykles z dumą.

Spartanin uległ i podpisał.

Kiedy Perykles umowę wziął i zabierał się do opuszczenia namiotu nieprzyjacielskiego, Kleandrydas wybiegł za nim szybko i rzekł jeszcze porywczo:

— Wiedz Peryklesie, że mam w domu żonę, dwóch synów i starego ojca, którego utrzymuję, jest bowiem biedny i chory. Wszyscy oni odemnie wyglądają chleba. Gdybym umarł, pamiętaj o nich!

— Bądź spokojny! — rzekł Perykles do wodza, którego nagle zdjął żal i opanowała wątpliwość. —

Gdy staniesz w Sparcie, posłowie moi już cię tam ze złotem oczekiwać będą.

Wyszli. Kleandrydas towarzyszył Peryklesowi do samego czółna.

— A nie myśl źle o mnie, Peryklesie! — zawołał Spartanin.—Nie przez chciwość to czynię, ale żeś mnie przekonał, że to będzie z pożytkiem dla całej Hellady.

Perykles skinął głową. Zaledwie wszakże wstąpił w czółno, zdawało się Spartaninowi, że widzi na jego księżycem oświetlonej twarzy, wyraz wzgardy.

Niekontent z siebie, wrócił do namiotu.

W namiocie tymczasem zebrali się dowódcy. Godzina naznaczona do wyruszenia na Ateny blizką była.

Jakoż w obozie rozległ się głos rogów. Była północ. Żołnierze zrywali się i ściągali z pośpiechem namioty.

— Kto nakazał pobudkę? — zawołał wódz.

— Ty sam, wodzu! — odparł jeden z dowódców.

Kleandrydas zamyślił się przez chwilę.

— A więc dobrze! Idziemy — rzekł.

— Na Ateny! — zawołali dowódcy, żądni boju, jakby jednym głosem.

— Nie! Do Sparty z powrotem! — zabrzmiał rozkaz wodza.

Wiadomość ta rozeszła się w wojsku lotem błyskawicy.

Ogromny zawód dał się widzieć w całej armji. Żołnierze liczyli na bogate łupy przy zdobyciu Aten. Bajeczne wieści o skarbach tego miasta rozżarzały ich męstwo, gdy tu biegli. Teraz nadzieje te znikły i podniecały ich gniew. Z głuchym pomrukiem, niechętnie zabierało się wojsko do odwrotu.

Dowódcy oddziałów, po krótkiej naradzie jedno-

głośnie zażądali od Kleandryda wyjaśnień co do tak szczególnego postąpienia.

Zawiadomił tedy Kleandrydas ździwionych wojowników o układzie zawartym z Peryklesem.

— Wszystkie korzyści zupełnego zwycięstwa zapewnia Sparcie umowa ta — mówił wódz — a oszczędza krwi żołnierzy i obywateli!

Zrazu olśnieni byli Spartanie tak świetnym wynikiem układów. Jednomyślnie chwalono mądrość i roztropność wodza.

Natychmiast wyprawiono forpoczty do Sparty, które o tem bezkrwawem zwycięstwie rząd zawiadomić miały.

Kleandrydas aż dotąd niepewny, czy źle, czy dobrze zrobił, z obawą myślał o nakazanym odwrocie swych wojsk; wzmógł się jednak na duchu, widząc, że wszyscy się cieszą z takiego obrotu sprawy i że ci, którzy go posłali, dają mu pełne zapału dowody uznania.

Bo i Sparta znużona była wojną. Ale co zataił Kleandrydas dowódcom i posłom, to owe dwa ustępstwa dla Aten, które w umowie z Peryklesem podpisał.

Z ciężkiem sercem udał się wreszcie, zaraz po swoim powrocie do Sparty, przed radę starców, Geruzję, której miał zdać rachunek z powierzonej sobie wyprawy i ze swoich czynności.

Właśnie kiedy wyszedł z domu, aby się udać na rynek, spotkał Kalljasa na drodze.

— Wodzu — zawołał młody Ateńczyk, — gdy od Peryklesa zapłatę swą odbierzesz, pamiętaj, że mnie należy się połowa!

Ukryty za namiotem podczas rozmowy Peryklesa ze spartańskim wodzem, Kalljas słyszał wszystko, co

z sobą mówili. Pozbawiony wszelkich środków i widząc przed sobą nędzę, postanowił korzystać hojnie z tej podstępnie zdobytej wiadomości.

Kleandrydas odepchnął od siebie przewrotnego zdrajcę i z przekleństwem odwrócił się od niego.

Późny był wieczór, gdy wódz z Geruzji powracał. Widocznem było, że jest zupełnie wyczerpany. Tylko wytężeniem wszystkich sił wymowy zdołał odwrócić od siebie podejrzenie zdrady.

Wracał cokolwiek spokojniejszy, gdy tuż przy domu, natknął się znowu na Kalljasa, który na niego czatował. Z większem jeszcze zuchwalstwem zbliżył się ten do wodza, narzucając mu wymagania swoje i warunki. Mówił tak głośno, iż Kleandrydas, lękając się zbiegowiska na ulicy, wziął go z sobą do mieszkania. Ale zaraz w dziedzińcu wywiązała się gorąca sprzeczka.

Kleandrydas zgrzytał ze złości. Groźnie wreszcie pięść podniósłszy, krzyknął:

— Strzeż się, nędzniku! Wiesz, że my w Sparcie nie bawimy się w długie pisanie oskarżeń. Jedno słowo moje, a zostaniesz batem wypędzony z miasta!

— Tak? — zawołał Kalljas. — A więc i ty strzeż się! Nim zostanę wypędzony ze Sparty, dowie się twoja ojczyzna za jaką cenę...

— Cicho! ciszej! — syknął Kleandrydas z przestrachem. — Słychać kroki w bramie. Moja żona powraca z miasta.

Ale Kalljas tem głośniej krzyczał.

— Tak, dowie się Sparta jeszcze tej godziny, żeś ją sprzedał Peryklesowi za dziesięć talentów!

Straszny krzyk dobył się z piersi wodza.

Jak osłupiały wpatrywał się w bramę dziedzińca. W niej stali Eforowie Sparty, najwyżsi urzędnicy mia-

sta, których moc sięgała aż do sądzenia wykroczeń samego króla przeciw prawu. W największem przerażeniu i nieruchomo patrzył Kleandrydas przez chwilę w ich surowe twarze, poczem nagle odwrócił się, i przez drzwi przeciwległe rzucił się precz z dziedzińca.

Stało się to z tak błyskawiczną szybkością, że żadnemu z Eforów nie przyszło na myśl zatrzymać zdradzieckiego wodza. A kiedy jeden z nich wybiegł na ulicę, nigdzie nie było widać i śladu uciekającego. Kręte uliczki Sparty i brak murów otaczających miasto, ułatwiły mu ucieczkę.

Przepadł jak kamień w wodę.

Z tem większą wściekłością rzucono się teraz na Kalljasa. Natychmiast Eferowie przywołali niewolników, którzy młodego Ateńczyka związali.

Ogromne zbiegowisko zrobiło się przed domem wodza. Właśnie żona jego wróciła z miasta, a dowiedziawszy się o nieszczęściu, zaczęła krzyczeć jak szalona. Nie chciała wierzyć w zdradę męża, niepodobna ją było przekonać o niej.

Tymczasem Kalljasa więcej wleczono, niżli prowadzono na rynek, wśród gróźb i przekleństw tłumu.

Natychmiast zebrała się Rada najstarszych w mieście. Eforowie wysłani z Geruzji w celu nadzorowania Kleandrydasa i ostatecznego wyjaśnienia sprawy, a którzy na pierwszym zaraz kroku przekonali się o zatajonym postępku i wynikającej z tego strasznej jego winie, wystąpili teraz jako oskarzyciele.

Kalljas już i tak przedtem nie lubiany przez skromnych i surowych w życiu Spartańczyków, z powodu jego zbytkownego i rozwiązłego życia i z powodu dwuznacznej pozycji, jaką zajął względem wła-

snego kraju, obwiniony teraz został jako pośrednik w przekupieniu Kleandrydasa.

Napróżno powoływał się Kalljas na to, że należy do przyjaznego Sparcie stronnictwa arystokratycznego w Atenach, — nie pomogło mu to. Jednogłośnie skazany został na śmierć.

Tej jeszcze nocy powleczono nieszczęsnego młodzieńca na brzeg stromej skały Tajgetu.

Ze zgrozą ujrzał przed sobą Kalljas czarną ziejącą przepaść.

Sępy czyhające na krwawą zdobycz szybowały ciężko w powietrzu. Dusząca woń zgnilizny biła z przepaści.

To było miejsce kaźni dla przestępców.

Mała tylko garść ludu obecną była przy spełnieniu wyroku. Silne, obnażone ręce oprawców chwyciły drżącego zdrajcę i uniosły go wysoko w powietrze.

— Erynje!... Erynje!... — krzyknął straceniec pobladłemi usty.

W chwilę potem ciało jego leżało poszarpane na dnie przepaści Tajgetu.

W milczeniu powracali do Sparty surowi sędziowie po spełnieniu smutnego obowiązku.

Natychmiast stada głodnego ptactwa nocnego zaciemniły powietrze szeroko rozportartemi skrzydłami. Z krzykiem i krakaniem spuściły się one na okropną ucztę.

Ranek już świtał, kiedy ich chmary jeszcze się unosiły nad skałą Tajgetu, podobne strasznym boginiom pomsty, nad swoją ofiarą.

XI.

Zwycięzca.

Pokój panował w kraju. Zdawało się, że wszystkie ludy Grecji przebudziły się po śnie długim, męczącym, do nowego życia. Na wszystkich polach duchowego rozwoju wybuchnęła z ogromną siłą nowa i potężna czynność. Ateny promieniały radością, iż w tym ogólnym pokoju mogą panować nad innemi państwami Grecji nie orężem, lecz nauką i sztuką.

Perykles stał na czele gminowładnego ludu, umocniony w swej potędze po zawarciu rozejmu ze Spartą. Był on w Atenach jakby samowładcą, bo lud szedł za jego wolą i myślą. A chociaż nie został Archontem nawet, był więcej niźli Archontem. Był bowiem duchem i sercem Aten, rządził narodem, dzięki wielkim zdolnościom i szlachetności swojej, a jako wielki mówca, umiał zawsze przekonać wszystkich, że to, co robi, jest dobre.

Nie mógł przecież w następnych latach wymówić się od przyjęcia niektórych urzędów. I tak przyjąć musiał urząd naczelnego wodza, a już to samo dawało mu prawo rozkazywania tak w razie wojny, jako i pokoju, tak na lądzie, jak i na morzu. Miał także moc zwoływać i rozwiązywać ludowe zebrania.

Niemniej był głównym zawiadowcą publicznego skarbu, do którego powiększenia przykładał wszelkich i usilnych starań.

Sztuki i rzemiosła zakwitły, handel się wzmógł, nie było w Atenach próżnującej ręki.

Najwięcej wszakże mieli do roboty budowniczowie i kamieniarze.

Przy takim pomnożeniu pracy i zarobku nikomu nie ciążyła danina, idąca na skarb publiczny. Owszem, obywatele ateńscy dumni byli z tej przewagi ojczystego miasta, jaką mu zapewniało bogactwo, przemysł i sztuka. Obudziło się przytem jakieś szlachetne współzawodnictwo, jakiś niezwykły wyścig w pracy, dzięki któremu, tak ogromne przedsięwzięcia, jak budowa Partenonu i Propylejów, niespodziewanie szybko ukończone zostały.

Sławny Fidjasz prowadził sam wszystkie roboty ze swoimi uczniami; ale inicjatywa, rada i pomysły wychodziły zawsze od Peryklesa. On był duszą tych ogromnych, mistrzowsko wykonanych planów.

On też obmyślone w ciszy z przyjaciółmi plany przedstawiał na zebraniach ludowych i uzyskiwał ich zatwierdzenie. Smak ludu, zamiłowanie piękna, szlachetna żądza upiększenia ojczystego miasta, rozbudziły się przez to niezmiernie. Lud ateński sam się niemal czuł mistrzem, gdy za jego zgodą wznosiły się te wspaniałe dzieła sztuki.

A tak przodownictwo Aten pozyskanem było na drodze pokoju. I chociaż nie zdołał Perykles postawić Ateny na czele związku, obejmującego całą Grecję, osiągnął jednak to, że ojczyste jego miasto było uważane jako główna potęga Grecji. Nazywano je teraz strażnicą morza, siedliskiem nauk, sztuk i wymowy.

Pireus stał się portem otwartym dla ludów całej

Hellady. Zbiegały się do niego okręty, niosąc coraz nowych przybyszów. Uznano bowiem, że w Atenach teatry są najpiękniejsze, uroczystości najwspanialsze i nieustające wyścigi, nietylko zręczności i siły ciała, ale i duchowej i umysłowej pracy.

A wszystkie nici tego tak ożywionego ruchu i cugle państwowego porządku spoczywały w ręku Peryklesa.

Tak same Ateny, jak i wszystko, co od Ateńczyków zawisło, było mu posłuszne, wszystko od niego zależne: dochody, wojsko, flota wojenna, wyspy, morza. Panował nietylko nad Helenami ale i nad sąsiedniemi ludami i krajami zdobytemi, a umacniał tę władzę Aten za pomocą rozumnych i coraz korzystniejszych przymierzy z królami i książętami.

Niezawodnie miało to swoje trudności i niemałe. Przy takich rozległych stosunkach państwowych, przy takiem bujnem życiu, ciągłym napływie obcych żywiołów, raz wraz wybuchały jakieś zajścia, niezgody; gdyż razem z lepszemi siłami życia, przy naprężonem współzawodnictwie w działaniu, rozwijała się i zawiść.

Ale Perykles posiadał najtrudniejszą ze wszystkich sztuk, sztukę rządzenia: przy pomocy strachu i nadziei; niemi się posługiwał, niby wybornym sterem, kierując nową polityką Aten. Strach miał dla wyniosłych, których umiał zawsze w porę wstrzymać; nadzieję dla słabnących, których trzeba było dźwignąć i pocieszyć.

Całą tę niemal królewską władzę pozyskał Perykles nie tylko przez swój wyjątkowy genjusz. Dawało mu ją także nieskazitelne życie, na które lud patrząc, ufał mu ślepo, wtedy nawet, kiedy surowość władzy czuł nad sobą. Wiedzieli też wszyscy, jak Perykles nie-

nawidził chciwości i przekupstwa i jak był w tym względzie nieubłagany.

W tym czasie wybuchnął spór między wyspą Samos a Miletem, o władanie miastem Prine. Perykles nakazał stronom spornym broń złożyć, i stosownie do umowy, odwołać się do pokojowego sądu w Atenach, ponieważ oba te kraje należały do delijskiego związku.

Milet usłuchał. Ale Samijczycy chwycili za broń i na Milet napadli.

Natychmiast Perykles ruszył z flotą na Samos; zniósł tamtejszy rząd, wziął 50 zakładników z pośród znaczniejszych obywateli i wszystkich do uległości przywiódł.

Ucichło na wyspie. Lecz skoro tylko Perykles do Aten powrócił, niesforni Samijczycy wypowiedzieli swoje należenie do związku delijskiego, uzbroili się i rzucili się na nowo w bój z Miletem.

Perykles wyruszył powtórnie przeciw nim. Ale nie był to teraz łagodny rozjemca. Był to mściciel zgwałconego prawa!

Pod wyspą Tragiai we dwadzieścia okrętów rozbił w puch flotę samijską, liczącą 50 statków wojennych i obległ miasto; rozwalił ich mury obronne, a zwyciężona wyspa wydała resztę swojej floty i musiała znaczną sumę zapłacić do skarbu Attyki.

Stanowcze wystąpienie Peryklesa przeciw chcącemu się odłączyć związkowemu, wywołało i w innych związkowych państwach taki przestrach, że poddały się w milczeniu swemu losowi i zamiast mieć równe prawa, przyjęły zupełnie zależność od Aten, jako państwa poddane.

Kiedy Perykles, poskromiwszy Samijczyków, do Aten powracół, sprawił wspaniały pogrzeb tym, którzy w tej wojnie zginęli i na grobie ich, na przedmieściu

Kerameikos, miał ku ich czci mowę, która porwała całe Ateny. Gdy schodził z mównicy, otoczyły go kobiety i tłumy ludu z wieńcami kwiatów i zieleni.

— Chwała Olimpijczykowi! Chwała!... — brzmiał okrzyk w porcie i w mieście.

Był to jeden z najpiękniejszych dni w życiu Peryklesa.

Otoczony radosnym ludem, wracał wódz do swojego domu. Na progu oczekiwała go Aspazja.

Rodzinne ich życie było nad wyraz jasne i szczęśliwe, ożywione wzajemną miłością i szacunkiem. Wyznać też trzeba, że w szczęściu tem i w duchowym wpływie żony, znajdował wielki mąż stanu siłę i natchnienie do prac swoich i planów. To też dla Peryklesa dom był jakby świątynią. Wolał on też przebywać w nim, niż na ucztach i zebraniach publicznych.

Kiedy tak tryumfujący i uwielbiany przez całe Ateny, znalazł się wobec drogiej żony, Aspazja spojrzała na niego z całą dumą niewieściego serca.

Stał przed nią z wieńcem na hełmie hetmańskim, w bogatym płaszczu, zarzuconym na żołnierską zbroję.

— Oto stoisz na szczycie potęgi, Peryklesie! — zawołała Aspazja, a w jej pięknych oczach błysnął ogień natchnienia, które z serca idzie. — To, co może być udziałem śmiertelnych, w szczęściu, władzy i zasłudze, tyś to zdobył sobie zdolnością, szlachetnością i pracą nieustającą!

— O, nie mów, najdroższa, o mnie! — odparł Perykles. — Ale spojrzyj na moje ojczyste miasto! To Ateny, nie ja, stoją na szczycie potęgi! Im chwała!

Oby słońce pomyślności świeciło im zawsze! zawsze!

. . . . . .

Wkrótce potem zaczęto się przygotowywać w Grecji do uroczystości, która miała moc nawet wojnę zawieszać na czas swego trwania.

Były to igrzyska Olimpijskie.

Już heroldowie z Ellidy obwołali je po całym kraju. Ze wszystkich stron śpieszyły uroczyste poselstwa ku brzegom Alfejosu. Przez morze ciągnęły lekkie, północne floty, a między niemi i ateńska także. W zatoce Kenchreai lądowały okręty z Egejskiego morza. Przy ujściu Alfejosu widać było uwieńczone kwiatami statki zachodnich prowincji greckich, a także ich kolonji: południowych Włoch i Sycylji.

Wszystkie greckie państwa ubiegały się o to, aby posłów swoich i zastępców przy uroczystych ofiarach Olimpji, z jak największym przepychem wyprawić na wielkie Igrzyska. Na statkach znajdowały się bogate namioty, paradne stroje, sprzęt ofiarny, ofiarne zwierzęta, kadzielnice i drogie balsamy. Gdyż po wspaniałości udziału w igrzyskach, sądzono o mocy i potędze państwa.

Olimpija nie była właściwie miastem. Była to tylko świątynia Olimpijskiego Zeusa.

Początki tej świątyni ginęły w pomroku czasów. Opowiadano, że Herkules jeszcze, za pobytu swojego w Ellidzie, na tem tu miejscu ołtarz Zeusowi zbudował. Na ołtarzu tym on pierwszy składał jakoby ofiarę i wraz z towarzyszami na cześć Zeusa odprawiał święty wyścig, nakazawszy, aby co pewien czas igrzyska takie ponawiane były. Co cztery lata tedy, i to w najgorętszym czasie, w lipcu, obchodzono w Olimpji owe uroczystości pamiątkowe. A ponieważ zgromadzały one wszystkie greckie państwa razem, postanowiono liczyć od nich czas, jako od najważniejszej i powsze-

chnej epoki. Cztery tedy lata, jakie między igrzyskami upływały, nazwano »Olimpjadą«[1]).

Święty okręg świątyni Zeusa leżał na poniżu Alfejosu, który wypływał ze stromych i przepaścistych skał Arkadji. Po obu stronach rzeki rozciągała się żyzna, bogata w zboża równina, ujęta po bokach porosłemi lasem wzgórzami. Wzgórza, które stanowiły granicę północnego wybrzeża, nosiły imię »Góry bogów Olimpos«. Tutaj to, przy ujściu strumienia Kladeosu, który ze wzgórza do Alfejosu wody swoje spławiał, szumiał gaj święty i stał ołtarz Zeusa.

W długim świątecznym pochodzie udali się wysłańcy na uroczystość, wraz z ofiarnemi zwierzętami, »Świętą drogą« z miasta Ellidy do Altis, okręgu poświęconego Zeusowi, a ogrodzonego murem od obu rzek. Nieco w głębi, poza wchodową bramą, rosło ogromne oliwne drzewo, na którem zawieszone były wieńce dla zwycięzców. Drzewo było prastare, przez Herkulesa jeszcze zasadzone wówczas, gdy chcąc naznaczyć granicę okręgu świątyni i metę dla wyścigu, gałązkę oliwną tu zatknął. Cała przestrzeń wewnątrz muru ze świątyniami, ołtarzami i pomnikami, nosiła imię »Altis« i była przepysznie przybraną na czas uroczystych igrzysk. Szczególnie oczy wszystkich przyciągała świątynia Olimpijskiego Zeusa.

Ateny zajmowały między uczestnikami uroczystości miejsce poczesne, sam Perykles przeto wziął udział w poselstwie.

Z małżonkiem udała się do Olimpji także i Aspazja, która niejednokrotnie już słyszała o wspaniałości igrzysk owych i dawno widzieć je pragnęła.

[1]) Za pierwszą Olimpajdę przyjętą jest zazwyczaj ta, która w 776 r. przed Chr. upłynęła.

Zaraz pierwszego wieczoru poprowadził ją Perykles na miejsce wyścigów, opowiedział sposób w jaki się igrzyska odbywają i zwyczaje przyjęte przy uroczystości, a także pokazał jej prastary, pierwotny ołtarz Zeusa. Był on wspaniale przybrany.

Miejsce wyścigów, doskonale zrównane, odznaczały wiązki zieleni i kwiatów na wysokich tykach. Po arenie snuły się w tej chwili niezliczone gromady ciekawych.

Ale wnet uciszyło się wszystko.

Rozpoczęło się ofiarowanie. Z tysiąca ust buchnęły radosne hymny na chwałę bogów; a gdy przebrzmiały i opadł dym ofiar, tańce i muzyka rozweselały obecnych.

Nikt nie żałował tego, że tu przybył. Każdy znalazł właściwą sobie zabawę i właściwe towarzystwo. Poznawano się wzajem, zawierano związki przyjaźni, a kogo nie nęciły wyścigi i walki szermierzy, ten szukał rozkoszy w rozmowach artystów i filozofów z całej Grecji tu zebranych.

Właśnie w pewnem oddaleniu od areny, setki mężczyzn, niewiast i dzieci otoczyło męża, który dźwięcznym głosem przemawiał do ludu.

Był to Herodot, słynny poeta. Odczytywał on, a miejscami deklamował wyjątki ze swego wielkiego dzieła o wojnie przeciw Persom, o wyswobodzenie.

Niedaleko stał Choirylos z Samos, a przy nim jeszcze większy tłum, gdyż jego ogniste pieśni w tym samym przedmiocie, porywały słuchaczów o wiele więcej.

Tymczasem cała równina, gaje, kwieciste pobrzeża wesołego Alfejosu, pokryły się ludem. Aspazja daremnie oglądała się za jaką ochroną od upału, za jakiem miejscem spoczynku. Perykles objaśnił ją, że te ciepłe noce lipcowe lud spędza w Olimpji tylko pod

namiotami, które poselstwa przywiozły ze sobą. Najczęściej wszakże gwarzą przy puharze z przyjaciółmi do białego rana, a kto się znuży, kładzie się, gdzie stał, i usypia pod gwiaździstem niebem.

— I nie przykrzy się to nikomu. Tak miłość ojczystych zwyczajów i radość, że się jest Grekiem, czyni ziemię łożem miękkiem i słodkiem.

Gdy Perykles i Aspazja zbliżyli się do wspaniałej Świątyni Zeusa, Aspazja przyglądała się przepięknej jej budowie i podziwiała jej kształty. Wtem zobaczyli zbliżającego się ku nim przyjaciela z Aten, Fidjasza, który już oddawna w Olimpji przemieszkiwał, kończąc wielkie dzieło swoje.

Paralos i Alcybiades, których Perykles wziął z sobą, już odszukali sławnego rzeźbiarza i kręcili się koło niego wesoło.

Wszyscy jednak umilkli i spoważnieli, stanąwszy przed potężną statuą Zeusa, która była ostatniem dziełem mistrza.

Jakiś wyraz boskości wiał z tego oblicza, wobec którego ogarniały serce i lęk i cześć. Sama już olbrzymia wielkość posągu wywierała silne wrażenie. Zeus siedzący na tronie dosięgał sklepienia świątyni, wysokiej na sześćdziesiąt stóp.

— Co za siła w tych ramionach! Co za majestat tej głowy! — zawołał z podziwem Perykles.

— A jaka moc bije z oblicza! — rzekła Aspazja. — Myśleć by można, iż sam Zeus zstąpił z Olimpu, — tak twarz ta jest słodką i groźną zarazem. Zaprawdę, Fidjaszu, jest to najwyższe objawienie bóstwa w materji, jakie człowiek ująć i przedstawić może.

— Człowiek drży niemal przed tym posągiem jak przed istotą żywą — rzekł Perykles — i zdaje się, że

gdyby Zeus powstał, musiałby zdruzgotać sklepienie świątyni.

Fidjasz słuchając tych pochwał, napawał się radością i dumą, iż przyjaciele jego tak dobrze odgadli artystyczne jego zamiary.

Po małem tedy milczeniu rzekł:

— Nieśmiertelny to Homer natchnął mnie myślą tego dzieła. Te mianowicie słowa jego:

»A gdy Kronion to mówił i ściągnął brew ciemną na czole,

»Włos ambrozyjski podniósł się mu nad nieśmiertelną głową.

»Wzgórza Olimpu zadrżały«.

Teraz wszakże zaczęło się bliższe oglądanie szczegółów. Tron, na którym siedział Zeus, wyłożony był hebanem, wysadzany drogiemi kamieniami i bogato rzeźbiony. Niemniej bogatą rzeźbą pokryty był cokuł. Oblicze, piersi i nogi były ze słoniowej kości, źrenice zastępowały świetne kamienie. Włosy, wznoszące się jak lwia grzywa, a także broda upadająca w długich kędziorach, były ze złota ciągnionego, równie jak posążek Niki, bogini zwycięztwa, którą Zeus na wyciągniętej prawicy trzymał, podczas gdy w lewicy dzierżył berło, z najszlachetniejszych wyrobione metali. Szata, która go osłaniała poniżej piersi, była także złota.

Po okrzykach uznania i podziwu, towarzystwo zaczęło oglądać inne dzieła rzeźbiarskie, w które ta świątynia tak bogatą była.

Zresztą sama już ona przez się stanowiła przedziwne dzieło sztuki. Cała z białego marmuru, wspierała się świątynia Zeusa Olimpijskiego na trzydziestu czterech kolumnach, a obydwa jej szczyty zdobiły wspaniałe marmurowe posągi.

Wszyscy najsłynniejsi rzeźbiarze Grecji przyczynili się do jej upiększenia.

Tymczasem głosy trąb wezwały lud na miejsce igrzysk, na wschód świętego okręgu.

Miano przystąpić do wyboru sędziego. Wszystkie oczy zwróciły się na Peryklesa, jako na męża najznamienitszego i najgodniejszego tego zaszczytu wśród Hellenów. Ci nawet, którzy zazdrościli sławy Atenom, głosowali za nim.

Perykles, jako sędzia igrzysk, zwołał przedewszystkiem tych, którzy w nich czynny udział wziąć mieli. Bo tylko wolno urodzeni Grekowie mogli się o zwycięztwo ubiegać. Gdy się zebrali poręczeni przez posłów swego kraju, zaprzysiądz musieli, że w wyścigu ani w walce nie użyją żadnego postępu i nie dadzą powodu jakimkolwiek zgorszeniom.

W dawniejszych czasach igrzyska trwały jeden dzień tylko; składały się one wtedy tylko z wyścigów pieszych. Powoli wszakże przybywały urozmaicone gry i ćwiczenia, tak, że ostatecznie uroczystość przeciągała się do dni pięciu, z których ostatni przeznaczony był na tryumf i wieńczenie zwycięzców.

Pierwszego dnia, wczesnym rankiem zakurzyły się ofiarami ołtarze, a dym wonny wzniósł się ponad głowami całego zgromadzenia, jako hołd oddany najwyższemu bogowi helleńskiego ludu, wraz ze śpiewami hymnów. Zaczem zaraz poprowadzono ścigających się do »Stadjonu« czyli miejsca na wyścig przeznaczonego. Okoliczne wzgórza i wznoszące się areny, pełne były widzów.

Naraz Perykles wszedł na arenę i tak do zapaśników przemówił:

— Wy, co macie serca czyste, którzyście siły swe na chlubę ojczyzny ćwiczyli, którzy dążyliście do tego

celu drogą szlachetności i cnoty, stańcie do igrzysk śmiało. Lecz jeśli między wami jest kto obciążony winą, choćby tajemną, niech ustąpi z świętego okręgu Olimpji, jako niegodny!

Wszystkie oczy spoczywały teraz na pięknych, po większej części młodych mężach, wybranych ze wszystkich państw greckich.

Paralos i Alcybiades znali tych, którzy w stadjonie w imieniu Aten stanęli. Jeden tylko młodzieniec, posępnie patrzący, pysznej budowy, z tęgo wyćwiczonemi muskułami, był im nieznany; ukazywali więc go sobie z pewnem zadziwieniem.

Tymczasem heroldowie prowadzili zapaśników przez stadjon i ustawiali ich, wywołując głośno imię każdego, oraz kraj lub miasto, do którego należał. Czyniono to dlatego, aby jakiś złej sławy człowiek, wyzwoleniec, albo złoczyńca nie wkradł się tu, i aby mógł być odrazu przez obecnych poznanym.

— Ksantypos, żołnierz ateńskiej floty! Syn Peryklesa! — zabrzmiał donośny głos herolda.

Na to imię, sędzia Hellenów, bo taka była nazwa obecnego urzędu Peryklesa, zerwał się z miejsca, które na południowym krańcu stadjonu, w pobliżu mety był zajął, stanął i smutnym wzrokiem spoglądał.

Więc Ksantypos, o którym mniemał, że znajduje się gdzieś w odległych stronach na ćwiczeniach floty, jest tu w Olimpji!... Jest i nie powitał ojca!...

Ale i między obecnymi zjawienie się Ksantyposa zrobiło pewne zamieszanie. Szczególniej Alcybiades przypatrywał się ciekawie młodemu zapaśnikowi, który na wołanie herolda wystąpił wprawdzie, ale posępnych oczu nie podniósł od ziemi.

Raźny chłopiec zarzucił mnóstwem pytań Paralosa.

Ale ten pobladł i milczał. Jak skamieniały patrzył on na brata, który nie spostrzegłszy go, szedł tuż obok, prowadzony przez herolda.

Perykles dziwnie był wzruszony.

Przepisy igrzysk wzbraniały mu, jako sędziemu, rozmawiać z którymkolwiek z zapaśników przed końcem uroczystości. Patrzył tylko na syna, ale ten odwrócił głowę i ani spojrzał na ojca, na którego przecież dzisiaj oczy wszystkich były zwrócone. Smutnie Perykles poruszył głową.

Przystąpili teraz młodzieńcy do srebrnej urny, w której umieszczone były losy.

Większa część zapaśników modliła się przed wyciągnięciem losu, jeden tylko Ksantypos milczał ze spojrzeniem dzikiem i zuchwałem.

Jedne i te same litery oznaczały grupy walczących.

Na znak sędziego Hellenów, krzyknęli teraz heroldowie:

— Wyścig zaczęty. Do mety! do mety! Zeus wybierze sobie zwycięzcę!

A gdy młodzieńcy stawili się w rzędzie, zabrzmiały trąby.

Zapaśnicy biegli po czterech.

Z pierwszego wyścigu wyszedł zwycięzcą Ksantypos. Imię jego obwołał herold głośno, a widzowie przyjęli je szerokim poklaskiem.

Wieczorem, kiedy uczestnicy uroczystości zebrali się pod namiotami swoich chorągwi, napróżno Paralos szukał swego brata. Nie był on obecnym ani w namiocie Ateńczyków, ani na placu igrzysk.

Jednak następnego ranka zjawił się znowu na pobojowisku. I to nietylko pierwszego dnia, ale do sa-

mego końca uroczystości Ksantypos unikał ciągle swej rodziny. Gdyż i Perykles nie widział ani razu syna po za godzinami stadjonu.

W drugim dniu igrzysk nastąpiła walka szermierzy. Zapaśnik musiał, co najmniej, obalić przeciwnika, i póty go na ziemi trzymać, póki on sam za zwyciężonego się nie uznał. Przy walce na pięści nie wolno było atletom, którzy walczyli bez odzieży, mając oliwą namaszczoną skórę, iść w ręczne zapasy: musieli oni przeciwnika tylko uderzyć. Ci mieli rękę i ramię okręcone na krzyż rzemieniami spiętemi na metalowe sprzączki. Zdarzyło się że wielu z nich otrzymało niebezpieczne uszkodzenia, niektórych wyniesiono osłabłych po za pole walki.

Dalej nastąpiły wyścigi w skakaniu i w ciskaniu do mety. Skakanie odbywało się w takt muzyki flecistów; ciskanie zaś, za pierwszym razem dzidą, za drugim, niewielkiemi metalowemi krągami, wielkości talerza, które się diskami zwały. Największą przecież ciekawość budził dzień ostatni, przeznaczony na wyścigi wozów. Hipodrom, położony w południowej stronie Altidy, tudzież pole wyścigu dla koni i wozów o wiele były dłuższe niźli stadjon. Poblizkie stoki wzgórza i wały ziemne urządzone zostały jako siedzenia dla widzów w amfiteatralne tarasy. Na zachodnim krańcu znajdowały się kunsztownie urządzone szranki i barjery dla wozów i koni. Stąd przy odgłosie trąb rozpoczynał się wyścig.

Nie dbając na uciążliwy lipcowy upał, ani na palące promienie słońca, które dolinę Alfejosu rozgrzewało w niesłychany sposób, przyglądały się tłumy Greków owym walkom i wyścigom, z coraz rosnącą ciekawością.

Ale wyścig wozów i koni obudził największy zapał.

I Ksantypos znalazł się teraz znowu między walczącymi.

Wśród widzów szły żywo zakłady to za jedną, to za drugą stroną. Wszystkie spojrzenia zwrócone były na każdy ruch zapaśników. Wszelki niespodziewany zwrot wyrywał okrzyki zdumienia, podziwu, albo też bolesnego współczucia. Bo wyścig wozowy należał do najniebezpieczniejszych. Woźnica stał wyprostowany na wozie, mało mającym zresztą podobieństwa do tych, jakie budowane są dzisiaj, a cztery dzikie rumaki rzucały się w bieg, jednocześnie z wieloma innemi. Uderzenia wozów o wozy huczały tak silnie, że wiele z nich odrazu szło w kawałki, albo też bywały tak uszkodzone, że je musiano z biegu wycofywać.

Niemało przytem było wypadków tak z ludźmi jak z końmi. Był to pęd na łeb na szyję, w którym, nim przybieżono do mety, niejeden nakręcił karku.

Meta znajdowała się na wschodnim krańcu. Stanowiła ją kolumna, którą woźnik musiał w całym pędzie okrążyć, zawrócić, i tak dwanaście razy w tenże sam sposób przebiedz pole wyścigu.

Nagle, w decydującej o zwycięztwie chwili, wielka cisza zaległa tłumy widzów. Spartańczyk, imieniem Rezakes, wyprzedził o znaczny kawał drogi wszystkich współzawodników. Najbliżej za nim pędził Ksantypos. Jedenaście razy przelecieli majdan, a Rezakes ciągle był na przedzie.

— Naprzód Sparta! dobra Sparta! górą Sparta — krzyczano z lewej strony widzów!

— Dalej Ateny!... Wyprzedzaj!—krzyczano z prawej.

Nagłe, w dwunastym biegu, Rezakes ściągnął jednego z rumaków tak silnie, że się koń powalił. W mgnieniu oka przeleciał mimo niego Ksantypos i pierwszy u celu stanął. Rozległ się hałas, krzyk, oklaski.

Herold obwoływał donośnym głosem po trzykroć imię zwycięzcy.

Igrzyska były skończone. Krewni i przyjaciele zwycięzców otoczyli ich teraz, ściskając i winszując tryumfu.

Wieńczenie miało się odbyć dopiero w dniu jutrzejszym. Ale już dziś dążyły pojedyńcze gromady z tym lub z innym zwycięzcą ku widzialnym z oddali szczytom Świętej Góry, która płonęła purpurą zachodzącego słońca, dla złożenia tam dziękczynnej ofiary Zeusowi.

I Ksantyposa otoczyły tłumy. Z tysiąca ust brzmiała ku czci jego pieśń radosna.

— Tenella! Tenella! Chwała ci w wieńcu zwycięzcy, Heraklesie! I tobie chwała w wieńcu zwycięzcy Ksantypie! Tenella, Tenella!...

Po ofiarach odbywały się w namiotach radosne uczty. Ale i po za murami świętego okręgu, tam, gdzie ustawiono jarmarczne budy, gwarno było i wesoło. Późno już było, a jeszcze panowała wrzawa. Zbytek wzruszeń i uciechy nie dopuszczał snu do ludzkich oczu.

Zaświtał ranek. Ksantypos przesiedział noc całą na pijatyce z kompanami. Wszyscy mu zazdrościli podwójnego zwycięztwa. Gdyż zwycięzcę na Olimpijskich Igrzyskach oczekiwały w rodzinym kraju wysokie zaszczyty.

Ateny naprzykład, dawały mu dożywotnie utrzymania w Prytanejonie. Powszechnie też wierzono w Gre-

cji, że zwycięzca Olimpijski jest wybranym ulubieńcem bogów.

Ksantyposowi poblebiała niezmiernie okazana mu cześć przez współrodaków. Dojrzał on i zmężnjał w biegu lat na flocie spędzonych, ale jego próżność i duma rosły i rozwijały się z nim razem.

Zaraz po ukończeniu roku ćwiczeń na flocie, bił on się przeciw Persom w Egipcie. Brał nawet udział w wyprawie na Samos. Nieraz też na tym lub owym okręcie znajdował się w porcie Pireus; nigdy przecież nie czuł serdecznej potrzeby powitania ojca i brata. Nawet zmiany, jakie zaszły w Atenach, upiększenie miasta, nowe gmachy, nie budziły ciekawości jego.

Jego szorstkie obejście, jego gwałtowność i rubaszne żarty odstręczały od niego na flocie nawet, wielu wykształconych Ateńczyków.

Tem ściślejszy związek przyjaźni zawarł Ksantypos, z pewnym, równie jak on sam pospolitym i nie uobyczajonym handlarzem skór, niejakim Kleonem z Aten. Ten dotrzymywał Ksantyposowi placu przy dzbanie do samego rana. Inni już pokładli się wciągu nocy i zasnęli, już też wycofali się wcześniej z pijatyki i na uboczu rozmawiali z sobą.

Kleon dziwił się właśnie, że Ksantypos nie widział dotąd nowych i wspaniałych budowli w Atenach.

— Cóż, że są nowe i wspaniałe! — przerwał lekceważąco Ksantypos. — Przecież je zbudowano nie za ateńskie złoto, ale z funduszów związkowego skarbu!

Garbarz rzucił na mówiącego chytre spojrzenie.

— Nie jesteś, jak widzę, zwolennikiem polityki twego ojca? — zapytał podstępnie.

Ksantypos wzruszył pogardliwie ramionami.

— A więc od dnia, w którym przedstawiono Eu-

menidy Eschylosa, nie widziałeś Aten? — przemówił znów po chwili Kleon i zamyślił się.

Ksantypos milczał.

— Jeżeli mnie pamięć nie myli — dodał — w tym to dniu właśnie Efialtes, trybun, został zamordowany.

Młody marynarz chciał przerwać rozmowę, ale towarzysz jego ciągnął dalej podstępnym głosem.

— A wiesz ty, kogo podejrzywają o udział w tem morderstwie?

Ksantypos śmiertelnie blady spojrzał na garbarza.

— Peryklesa!... samego Peryklesa!... — rzekł ów zwolna. — Twojego rodzonego ojca! Mówią, że uczynił to, powodowany zazdrością o rosnącą wciąż sławę i wziętość u ludu trybuna. Tak mówią!

Rozmowę przerwało nagle zbliżenie się obcego młodzieńca, którego postać była wysmukła i wątła.

— Ksantyposie! — przemówił z wyrzutem przybysz, do olimpijskiego zwycięzcy. — Nie hańbaż to, że słuchasz tak nikczemnej potwarzy? Czyż ani odrobiny serca nie masz w piersiach dla ojca, dla brata?

Kleon zamruczał i wrzekomo po nowy dzban poszedł. Właściwie bał się, był tchórzem. Za potwarz i powtarzanie uwłaczających sławie obywatela pogłosek, można było być pociągniętym do odpowiedzialności.

Ale Ksantypos zerwał się też z ławy.

— Kto jesteś? Czego chcesz? — zapytał szorstko. — Co cię obchodzi, gdy głośno oświadczę, że nic sobie nie robię z waszego głośnego męża stanu.

— A przecież on to ma na głowę twoją wieniec zwycięzcy włożyć! O Ksantyposie! nie jesteś ty godzien zaszczytu tego!

Młody marynarz cofnął się o krok, zdumiony. Głos

mówiącego miał coś groźnego, coś, co mu zapierało oddech. Nagle wyciągnął rękę, jakby się bronić chciał i zawołał:

— Ty.. ty jesteś Paralos, brat mój?!...

Przybyły skłonił głowę.

— Bracie! — rzekł po chwili milczenia, miękkim głosem. — Czy nie chciałbyś ulżyć twemu sercu, zanim staniesz przed ołtarzem Olimpijskiego Zeusa?

Ksantypos namarszczył się i odparł chmurnie.

— Czego mnie dręczysz? Com ja ci złego zrobił? idź sobie!

Ale Paralos mówił dalej.

— Tylko od winy wolny, stanąć jest godzien w rzędzie zapaśników Olimpji... Tyś shańbił wielkie narodowe święto... Tyś jest mordercą Efialtesa!...

— Milcz! – krzyknął stłumionym głosem zwycięzca. I chwyciwszy brata za rękę, pociągnął go w najdalszy kąt namiotu.

— Chcesz mnie zgubić? — szepnął pobladłemi usty. — Czego odgrzebujesz te stare, zapomniane rzeczy? Jeślim winien, dawno to już odpokutowałem! A jeślim zgrzeszył, zgrzeszyłem w rozpaczy!

— Odpokutowałeś?... — odparł z westchnieniem Paralos. — O, nie, bracie! Tyś tylko zapomnienia winy szukał na tych dalekich morzach i w zgiełku bojowym, ale nie pokuty! Przypomnij sobie! Zostawiłeś mnie w udręczeniu najwyższem i w niespokojności. Całemi nocami leżałem twarzą na ziemi przed ołtarzem bogów, błagając o przebaczenie twej zbrodni. Rok po roku mijał, a jam ciągle napróżno powrotu twego czekał. Spodziewałem się ujrzeć cię ukorzonym wobec bogów i wobec ludu. Spodziewałem się, że do ojca naszego zbliżysz się na kolanach, we łzach... Że wyznasz winę

swoją jawnie i o przebaczenie błagać będziesz. A ty wszedłeś zuchwale, z podniesionem czołem, w Olimpijskie szranki.

— Dość! — rzekł porywczo Ksantypos. — Kto ci dał prawo, ty niewieściuchu, przemawiać do mnie w ten sposób?

Paralos spuścił stroskane oczy.

— O prawo pytasz mnie, bracie? Ty mnie o prawo pytasz, coś życie moje złamał, zatruł... Wszakże ja — tu podniósł głos z wybuchem ogromnego żalu — wszakże ja wiem o twej zbrodni! Więc wspólnikiem jestem!... O, jakże ciężko dręczą mnie wyrzuty sumienia! Co za tortura dla mojego serca! Bo ja powinienem o tem powiedzieć i wydać mordercę prawu. Ale ten morderca, to brat mój! brat, którego kocham!... Co za walka!... I to przez lata całe! dzień i noc... Przez lata całe! rozumiesz? Jeśli mówić będę, zgubię cię! Jeśli zamilczę, zgubię duszę własną...

W wyziębłem sercu Ksantyposa poruszyło się coś, jakby litość dla tego bladego młodzieńca, który mu był bratem. Ale gdy spojrzał w jego głęboko zapadłe i płonące oczy, przerażenie zdjęło go na nowo.

— Czego chcesz? Czego wymagasz odemnie? — wyjąkał niepewnym głosem.

— Wyznania!... wyznania winy przed ołtarzem Boga! — zawołał Paralos, wznosząc rękę, jakby do przysięgi.

— A więc chcesz mojej śmierci? — zawołał Ksantypos ze zgrozą.

Paralos wstrząsnął głową.

— Nie, bracie! chcę skruchy tylko! chcę żalu! sąd będzie lekki, łagodny, gdy sędziowie prawdziwy żal twój spostrzegą! Zobaczysz! A gdy cię osądzą, znieś

bracie, mężnie, wyrok prawa! Zobaczysz, jak ci to w sercu ulży! bogowie dadzą ci moc do zniesienia kary, gdy wpierw sumienie swoje dobrowolną skruchą od ich przekleństwa oczyścisz.

— Sumienie! — zawołał szyderczo marynarz. — W bitwach na morzu i na lądzie setki już ludzi zgładziłem ze świata... Miecz, który mam u boku, tkwił już w piersiach wielu mężów... Nie lękam się niczego! to tylko ty zniewieściałeś, Paralosie! widziałeś jak w stadjonie i w hipodromie śmiało ważyłem życie? I cóż? Zeus dał mi zwycięstwo, bo on daje tylko mężnym.

— O, nie Zeus dał ci zwycięztwo, bracie — rzekł z goryczą Paralos. — Toś ty oszukał boga Olimpu!

— Zawiść przemawia przez ciebie! — odparł Ksantypos porywczo.

— Nie zawiść, bracie! W boju na pięście, w wyścigu, ustąpić bym ci musiał z pewnością pierwszeństwa. Ale i ja zwyciężałem innych. I ja miałem tryumfy swoje w szkole Anaksagorasa i w szkole Sokratesa! A więc się nie waż żądać nagrody zwycięzcy, ty, który nie możesz zwyciężyć samego siebie!

— Jakto! — zawołał Ksantypos, cofając się — chcesz, wymagasz, abym odrzucił laurowy olimpijski wieniec?...

— Tak, bracie, wymagam, muszę wymagać tego! Gdyż rękę, która uwieńczy niegodnego olimpijskim wieńcem, Zeus przedwieczny ugodzi piorunem swoim! Weź winę swą na siebie i uczyń pokutę!...

— A gdy nie zechcę?

— Ja wtedy mówić będę, Ksantyposie!

Groźne spojrzenie wielkich, gorączkowym ogniem błyszczących oczu, ugodziło olimpijskiego zwycięzcę.

...Odtrącasz nagrodę bogów, którą ci ręka ojca podaje? (Str. 217).

Stał jeszcze Ksantypos w ponurem milczeniu, gdy się brat z namiotu oddalił.

A wtem weszli do niego fleciści, otoczeni radośnie krzyczącym tłumem, i objąwszy kołem ociągającego się młodzieńca, powiedli go w tryumfie do świętego gaju.

Wszyscy zwycięzcy, z palmowemi gałązkami w ręku, już byli tam zebrani. Jedni z nich, na ognistych rumakach, inni na wozach, które lud przystroił kwieciem.

Prześliczny poranek rozpoczął się ofiarami na cześć bogów. Wkrótce odezwały się flety, rozbrzmiały pochwalne pieśni.

Naraz wywołano imię Ksantyposa. Olimpijską nagrodę stanowił tylko prosty wieniec z oliwnych gałązek; ale ten wieniec dawał prawo do najwyższych zaszczytów w Grecji.

— Ksantypos z Aten! — zawołał Perykles donośnym, silnie wzruszonym głosem. I z wysoko podniesionym wieńcem szedł ku synowi.

Wszyscy obecni byli przejęci uroczystością tej chwili, zarówno wielkiej dla ojca, jak i dla syna.

Ksantypos stał rozjaśniony tryumfem zwycięzcy, hardym wzrokiem spoglądając na ojca.

Nagle, gdzieś, z pośród widzów, dał się słyszeć głos ostry.

— Strzeż się, Ksantyposie!

Na ten dźwięk zwróciły się głowy widzów. Wszakże w tym ogromnym natłoku niepodobna było zmiarkować, skąd głos wyszedł.

Usłyszawszy wołanie, Ksantypos zbladł i zachwiał się nagle. Perykles chciał go podtrzymać.

Ale syn cofnął się ze zgrozą i wieniec z ręki ojca wytrącił.

Podniósł się tumult nie do opisania. Rzucono się z siedzeń i tłoczono dokoła młodzieńca i Peryklesa.

Ale ten patrzył nieporuszony w twarz syna. Wreście rzekł poważnym i łagodnym głosem.

— Odtrącasz nagrodę bogów, którą ci ręka ojca podaje? Jestżeś mi już tak obcym, żeś nie padł dotąd na piersi moje z okrzykiem radości?... Ksantyposie! to ja, twój ojciec przemawiam do ciebie! to ręka ojca wieńczy cię koroną zwycięzcy. To ojciec otwiera ci ramiona i progi domu swego.

Dzikim, błyszczącym wzrokiem patrzył przed siebie Ksantypos.

— Ja nie chcę — zawołał wreszcie — być tak ujarzmionym przez ciebie, jak jest lud ateński! Ja chcę być wolnym! Puśćcie mnie!... Puśćcie! — krzyknął rozkazująco, zwróciwszy się do tłumu.

— Ksantyposie! synu! — zawołał Perykles zmieszany, z nieopisaną boleścią.

Ale już nieuwieńczony zwycięzca drogę sobie wśród ciżby torując, zniknął wśród wzburzonych tłumów.

XII.

Z pogodnego nieba.

Uczestnicy Igrzysk dawno już powrócili do swych domów. Ale uroczystości Olimpijskie ciągle były jeszcze przedmiotem ożywionych rozmów.

Szczególniej w Atenach zajmowało umysły owo zajście między Peryklesem a synem jego, przy wieńczeniu zwycięzców. Dużo o tem było gadania, dużo domysłów, wreszcie ucichło.

Gdy jednak po upływie lat paru Ksantypos osiedlił się w Atenach, rozmowy w tej sprawie, zawsze jeszcze zajmującej, bo nierozstrzygniętej, znów przyszły na porządek dzienny.

Ciekawie przyglądano się życiu i badano stosunki młodego marynarza. Plotek było co niemiara. Poprostu nie mieściło się to ludziom w głowie, żeby Grek mógł odmówić przyjęcia korzyści i zaszczytów, do których, olimpijskie zwycięztwo dawało mu prawo.

Wkrótce po osiedleniu się swojem w Atenach, Ksantypos poślubił córkę Izandra, niegdyś zdecydowanego przeciwnika Peryklesa. Okoliczność, że na uroczystości zaślubin ani Perykles, ani Paralos obecnymi nie byli, dała nowy materjał do przeróżnych gawęd.

Tymczasem w Ksantyposie rozwijały się coraz

więcej skłonności przestępne. Żona jego, dla której stroje i zabawy były wszystkiem, nie wywierała też na niego zbawiennego wpływu. Wkrótce zbytkowne utrzymanie domu młodych małżonków pochłonęło całą gotowiznę, jaką zebrał Ksantypos z wojennego łupu. Po gotówce owej poszedł i znaczny posag młodej pani, a gdy i tego nie stało, Ksantypos popadł w długi.

Wówczas dopiero zdawało się, że sobie o ojcu przypomniał. Jakoż zwrócił się do niego, prosząc o wsparcie i o pomoc.

Perykles wielkodusznie udzielił jej synowi. Napomniał go wszakże, aby zbytkownego życia się wyrzekł i marnotrawne zwyczaje porzucił.

Ksantypos przyjął uwagi z niechęcią, owszem z gniewem, który się w tajoną nienawiść zamienił, gdy Perykles, przy dalszych wymaganiach syna, coraz mniej skłonnym okazywał się do udzielania złota, które w znacznych ilościach pochłaniały nieporządne nawyknienia młodego małżeństwa.

Być może także, iż w sercu Peryklesa tkwił jeszcze ciężar z Olimpijskich Igrzysk, którego Ksantypos, żadnem serdecznem słowem nie złagodził, choć ojciec czekał na to długo i cierpliwie.

Ksantypos zaczął się teraz przed znajomymi rozwodzić o skąpstwie ojca i obmawiał go, gdzie tylko mógł. Mimo to, gdy znowu przy zbytkownem życiu wszedł w kłopoty pieniężne, nie zawahał się zaciągać nowych długów, już na imię ojca.

Wreszcie wydały się wszystkie nadużycia. Perykles był nieubłagany. Oddalił wierzycieli, sfałszowanych przez syna podpisów swoich nie przyznał, i do procesu wyjaśniającego cały ten chaos postępków młodego utracjusza, wbrew oczekiwaniu jego, dopuścił.

Wtedy Ksantypos, nic już ani do stracenia, ani do zyskania nie mając, przeszedł jawnie do obozu przeciwników ojca.

Gdyż nieprzyjaciół nie brakło Peryklesowi i teraz. Owszem, liczba ich zwiększała się w miarę, jak rosły zasługi jego i zaszczyty. Co większa, do nieprzyjaznych mu jawnie i oddawna, arystokratów i augurów, przybyła jeszcze nowa partja przeciwników, złożona z szumowin ateńskiego ludu.

Najubożsi obywatele i ci, którzy za Cymona jeszcze praw żadnych nie mieli, którzy nie pobierali ani żołdu, służąc wojskowo, ani płacy dziennej gdy sprawowali urząd sędziów; ci, o których oświatę i rozrywkę troszcząc się, Perykles, do dwóch oboli zmniejszył im opłatę za wejście do teatru, ci właśnie zaczęli teraz rościć coraz to większe pretensje.

Ale Perykles, dawszy im odrazu prawa i korzyści tak znaczne, nie był skłonnym do ulegania dalszym uroszczeniom. Burzyły się tedy przeciw niemu umysły ludzi, którzy bez zasługi i bez pracy otrzymawszy tyle, okazywali się nienasyconymi.

Przedewszystkiem rozpuszczali oni uwłaczające pogłoski i starali się podejrzenia te w rozmaity sposób w lud wpoić, że Perykles opanowany został żądzą samowładztwa. Zaczęły krążyć głuche wieści o jakoby zamierzonej przez Peryklesa tyranji Aten. Dowodzono, że ten wielki mąż poczyna sobie jak pamiętny z tyranji swej Pizystrat, do którego zresztą i z postawy jest podobny, i usiłowano spokojnych i umiarkowanych obywateli, rozmaitemi podejrzeniami i oszczerstwem, rzucanem na obywatelskie i domowe życie Peryklesa, na swoją stronę przeciągnąć.

Lud, któremu podano pomocną rękę, sięgał teraz po całe ramię dobroczyńcy swego, by je obezwładnić.

Ale i z innej strony widnokręgu zaciągały chmury. Zanosiło się znowu na wojnę.

Trwał jeszcze, prawda, trzydziestoletni pokój ze Spartą w swej mocy; ale coraz widoczniejszem było, że Spartanie upatrują tylko sposobności, aby go złamać. Zadługo już żar zawiści między Atenami a Spartą tlał w popiele.

Jakoż najniespodziewaniej dla całych Aten, tylko nie dla Peryklesa, który się tego domyślał, padł piorun z pogodnego nieba i płomień wojny buchnął.

Między wyspą Korcyrą a miastem Koryntem przyszło do krwawego starcia o kolonję Epidamnos na Iliryjskiem pobrzeżu. Ponieważ Korcyra sprzymierzona była z Atenami, wysłały jej więc Ateny swe statki na pomoc.

W odpowiedzi na to, Koryntjanie zbuntowali założone przez siebie, ale w związku handlowym z Atenami zostające miasto, Potidaja, i skłonili je, aby związek ten zerwało.

Natychmiast więc i tam Ateny wysłały okręty swoje, aby sprzeniewierzoną Potidaję obledz.

Wtedy miasto owo udało się do Sparty z prośbą o pomoc. A za niemi to samo zrobili Koryntjanie, Megarejczycy i Egineci, którzy zlecieli się tam tłumnie, wszyscy z goryczą i skargą przeciw panowaniu Aten.

Sparta nie była wojnie przeciwną, gdyż zawsze gorącem i tajemnem życzeniem jej było poniżenie i upadek Aten.

Gdy więc okręty ateńskie blokowały Potidaję, nic sobie z owego z biegowiska postronnych jej pomocników nie robiąc, wyszło ze Sparty wyraźne i stanow-

cze żądanie, aby Ateńczycy niezwłocznie wojska swoje ściągnęli, a zostającym w zależności wyspom i miastom natychmiast zupełną swobodę zapewnili. Czego jeśli dobrowolnie uczynić nie zechcą, orężem do tego zmuszone zostaną.

Perykles spodziewał się dawno takiego wystąpienia Sparty. Wiedział on, że kiedyś przyjść musi do rozstrzygającego boju między Spartą i Atenami. Ponieważ zaś prędzej czy później było to nieuniknionem, postanowił teraz właśnie rzuconą ojczyźnie swojej rękawicę podjąć i przyjąć wyzwanie.

W świetnej mowie przedstawił on ludowi obelgę wyrządzoną Atenom przez podobne ze strony Sparty nakazy i dowiódł, że uznać teraz najmniejsze nawet żądanie Sparty, byłoby to przyznać jej zwierzchnictwo nad sobą. Przypomniał on obywatelom potężne środki obronne, jakiemi rozporządzało państwo, porównał je z o wiele słabszemi urządzeniami nieprzyjaciela, i wyjaśniwszy tak ważność pobudek, jak podstawy pewności zwycięztwa, wniósł projekt, aby Ateny śmiało wystąpiły w obronie swojego honoru.

Natychmiast wysłano tedy poselstwo do Sparty, z taką, odpowiednią godności walecznego narodu rezolucją.

— Dobrze! Attyka powróci zupełną niezależność wszystkim związkowym krajom, gdy tylko Sparta toż samo uczyni, i swoich związkowych od zależności uwolni.

Wszakże Ateny same żądały wolności Wszech Grecji przy układaniu 30-letniego rozejmu ze Spartą!

I jeszcze więcej: Ateny gotowe są poddać się polubownemu sądowi, tak w tym sporze ze Spartą, jak i we wszelkim innym. Niech sąd taki rozpozna i rozsądzi

dobrą wiarę stron obu. Jakikolwiek wyrok zapadnie, przyjmą go Ateny. Ale wydawać sobie rozkazów nie pozwolą, ani Sparcie, ani żadnej potędze świata!

Sparta w odpowiedzi chwyciła za broń. Ateny uczyniły toż samo. (A był to rok 431 przed Chryst.)

Cały Peloponez stanął obok Sparty, owszem, znaczna część środkowej Grecji, jak Megara, Beocja, Lokryda, Focyda i Leukarnia.

Ateny były dość osamotnione, mała tylko część sprzymierzeńców dotrzymała im wiary.

Naczelnym wodzem Spartan był król Archidamos.

Obsadził on przesmyk Koryncki wojskami peloponezkiemi i związkowemi.

Siła była ogromna, wynosząca 60 tysięcy ciężko uzbrojonego żołnierza.

Perykles zdołał ledwo połowę siły tej wystawić na lądzie, gdyż potęga Attyki i jej bogactwo spoczywały we flocie. Zawsze przekładał on Ateńczykom, że flota, to most między krajem a światem, między państwowemi, a postronnemi posiadłościami jego.

I teraz dowodził, że najpewniejszym planem jest poprzestać tylko na bronieniu się, pozwolić nieprzyjacielowi kraj pustoszyć, bo ze spustoszonej ziemi cóż skorzysta?... a szukać odwetu na całej linji pobrzeża nieprzyjacielskiego.

Ale ten plan Peryklesa obudził najwyższe oburzenie arystokratów, którzy byli posiadaczami znacznych obszarów ziemi poza miastem.

— Król Archidamos — wołali oni — dobrze jest usposobiony dla Peryklesa, będzie więc jego posiadłości oszczędzał, a niszczył nasze!

— Dobrze! — odpowiedział Perykles. — Jeśli tak

ma być, jeśli się tak stanie, ofiaruję krajowi memu wszystkie ziemie, jakie posiadam, do ostatniej skiby!

Tymczasem Spartanie wpadłszy do Attyki, istotnie pustoszyli kraj i aż do Acharnai dotarłszy, założyli tam swój obóz, w oczekiwaniu, że Ateńczycy w swojej żądzy sławy i w zapale, przyjmą bój w otwartem polu.

Perykles wiedział, że byłoby to nazbyt niebezpiecznem. A jako mądry sternik, gdy go burza na morzu zachwyci, kieruje okrętem, nie zwracając uwagi na łajanie i przestrach podróżnych, tak Perykles zamknąwszy i ubezpieczywszy miasto, strażami czujnemi je otoczył; poczem mało sobie już robił z narzekania i krzyków współobywateli.

Lecz kiedy nieprzyjaciel coraz bliżej na Ateny następować zaczął, radził Perykles bogatym posiadaczom pięknych podmiejskich domów i willi, aby zabrawszy rodziny i dobytek, śpieszyli do miasta.

Było to istotnie niemal koniecznem.

Za bogatszymi i lud biedny ciągnął. Kto miał rodzinę i przyjaciół w Atenach, ten u nich szukał przytułku; a wiele było takich, co w przedsionkach świątyń i publicznych gmachach schronienie znaleźli. To też mnóstwo ubogiego ludu obozowało wprost na ulicach, mieszcząc się pomiędzy długiemi murami i w obronnych wieżach.

To nagromadzenie ludności w stolicy, miało też wiele przykrych następstw. Przywykły do wiejskiego życia naród, uważał wieś, jako właściwą ojczyznę swoją; przywiązał się do wsi, w niej miał swoje wygody. Tu czuł się obcym. W miarę więc jak nieprzyjaciel się posuwał i kraj pustoszył, cały ten napływ ludności, choć w murach miasta bezpieczny, widząc jak nieprzy-

jaciel niszczy ich mienie, podnosił krzyk, lament, powodując tem nieznośne zamieszanie.

— Ateny! Cóż Ateny! to miasto! ale tam, tam, wieś cierpi. — A wieś to ich kraj, ich ojczyzna!

Perykles czynił, co tylko mógł, żeby to mnóstwo, niezadowolone i niewygodnie umieszczone, uciszyć i uspokoić. Pocieszał narzekających, mówiąc, iż miasto jest dość bogatem na to, aby gdy pokój powróci, pokrzywdzonej ludności wiejskiej przyjść w pomoc, aby jej wynagrodzić poniesione w czas wojenny straty. A gdy słowa nie pomagały, odrazu rozdzielił między ludność ową znaczne sumy pieniężne.

Aby naciskowi ludu i przepełnieniu stolicy zaradzić, przewiózł znaczną część rodzin do Eginy, a wojska lądowe ściągnął do Eubei.

Egina podejrzaną mu była. Rozkazał też źle myślących obywateli miasta tego wyprzeć, a przybyszom ze wsi oddać ich domostwa.

Ateny odetchnęły teraz lżej nieco.

Co szczególniej umacniało ducha, to pomyślne i zwycięskie wycieczki, jakie czyniono za mury, na zajęte przez nieprzyjaciela posterunki. Niszczyli Sparta nie kraj, prawda. Ale ateńska flota odpłacała im równą monetą na całem pobrzeżu Peloponeskiem.

W tych wojennych czasach, nie dziw, że znaleźli się w Atenach ludzie, którzy w mętnej wodzie chcieli ryby łapać.

Przedewszystkiem nie zasypiali sprawy wrogowie Peryklesa i różne stronnictwa. Wyszukiwali oni pilnie wszystko, co tylko mogło świadczyć na niekorzyść jego, aby podburzyć przeciw niemu zawsze skłonne do nieukontentowania umysły mas ludowych. Ułożono nawet i śpiewano różne piosnki, w których przeciwnicy jego

wyśmiewali go i szydzili z niego, przedstawiając go jako tchórzliwego naczelnika, który z bojaźni nieprzyjacielowi wszystko oddaje.

Szczególniej Lampon, augur, nie próżnował. Uwijał on się po targu, zagadywał przekupniów i kramarzy, tego o złe ceny, owego o niespokojne czasy, a wszystkim kładł w uszy, że nie może być inaczej w mieście, gdzie tacy bezbożnicy, jak Anaksagoras, pozwalają sobie szydzić z wróżb i z wróżbitów. Lampon nie mógł strawić owego wstydu, jaki go spotkał przy pamiętnej wróżbie z jednorogiej głowy kozła, w domu Hipodamosa, i umyślił raz przecież pomścić się za ten wstyd.

Zabiegał tedy tak usilnie, tak tłomaczył ludowi, że cała wojna obecna jest tylko karą bogów za porzucenie dawnych obyczajów i nazwanie ich przesądami, tak jaskrowo powtarzał odpowiedź Anaksagorasa, dodając do niej różne własne wymysły, że znalazł wreszcie szeroki posłuch i licznych zwolenników.

Wtedy dopiero udał się do sędziów i miał z niemi długą naradę.

Najśmielej podnosiła głowę partja tych augurów, wróżbitów i kapłanów. Już oddawna prowadzili oni z Ksantyposem tajemne konszachty, w jaki sposób możnaby najboleśniej dotknąć znienawidzonego męża stanu. Ksantypos też komunikował im ciągle szczegóły z domowego życia ojca, rozmowy, które prowadził z mężami uczonymi, umyślnie je przekręcając, aby tylko tego ojca ośmieszyć i zohydzić.

To właśnie było na rękę koterji. Opierając się na tych oszczerstwach, jeden z nich, Diopeites, postawił następujący wniosek:—Należy uważać za przestępcę i ukarać surowo każdego, kto występuje przeciw do-

tychczasowym wierzeniom i inaczej naucza o rzeczach dotyczących bogów.

To też lud, i tak pełen przesądów i ciągle podburzany przez augurów, wniosek ten przyjął i zatwierdził.

Po tem pierwszem zwycięstwie, stronnictwo ośmielone, poszło dalej.

Sposobność ku temu dało im przejście na ich stronę aktora Hermiposa, który przedtem sam ich nieraz wyszydzał i ośmieszał w rozmaitych scenach komedji, w jakich występował. Dotychczasowy ich przeciwnik, uląkłszy się tchórzliwie pogróżek Ksantyposa, że ten wystąpi przeciw niemu, w imię owego postanowienia sędziów, nietylko że się przed niemi upokorzył, ale posłuszny ich wymaganiom, wszystkie swoje żarciki obrócił teraz przeciw Peryklesowi, jego domowemu życiu i przeciw jego przyjaciołom.

Z najwyższą boleścią zrozumiał Perykles to nikczemne odstępstwo dawnego zwolennika i ukrytych za nim wrogów. Poznał wkrótce z przerażeniem, że strzały ich były wymierzone głównie przeciw jego drogiej towarzyszce życia, przeciw ukochanej przez niego Aspazji.

Hermipos stał się teraz jej oskarzycielem i w swych oszczerstwach obwiniał ją publicznie o bluźnierstwa i pogardę bogów.

Cios był widoczny! Nieprzyjaciele nie mogli wymyśleć gorszego środka, ku zadowoleniu swej nienawiści. W ten sposób chcieli godzić w samego Peryklesa.

Jakkolwiek Aspazja gardziła tem oszczerstwem i wyraziła tę swoję wzgardę względem oskarzycieli, Perykles był tem głęboko dotknięty.

Aspazja została wezwana przed sąd; lecz przyjść nie chciała.

Perykles wystąpił sam jako jej obrońca. W prostych słowach, lecz pełnych gorącej miłości, wypowiedział przed sądem swoją obronę. Z oburzeniem, ale i z przeświadczeniem o swojej słuszności, wyłożył zgromadzonym nikczemne, podziemne kopanie pod nim i cel pełen wzgardy jego potwarców, którzy nie mogąc jego dosięgnąć, rzucili się na cześć jego żony.

Nigdy jeszcze nie widziano wielkiego męża stanu tak wzburzonego, tak porzucającego swój dotychczasowy spokój.

To też wśród sędziów i wśród całego zgromadzenia zrobiła się cisza taka, że można było prawie słyszeć bicie serc przyjaznych wielkiemu mężowi i niespokojne kołatanie serc jego oszczerców.

Porównywając swoją przeszłość i teraźniejszość, mając na pamięci tylko honor żony, jej wpływ na niego, jej cnoty i wielkoduszne przymioty, oraz gorącą miłość, jaką mu ciągle okazywała, Perykles był tak wzruszony, że łzy mu w oczach stanęły.

— Jeślibyście skazali Aspazję — wołał głosem silnym lecz dławionym przez łzy — mnie byście skazali! Bo Aspazja to ja, to moje serce, moja chluba, moja duma!

Skazując mnie, skazalibyście tego, który wasze miasto uczynił wielkiem, wspaniałem, który je uczynił słynnem na cały świat i po wieczne czasy! Jeżeli skażecie Aspazję, to ona sama nie zejdzie z tego świata, lecz razem ze mną, bo ja bez niej żyć bym nie chciał! Sądźcie teraz obywatele, sądźcie sędziowie ateńscy, ale sądźcie według prawa i według waszego sumienia!

Gdy Perykles skończył, wielkie wzruszenie widoczne było na twarzach słuchaczów. Szmer zadowolenia, szmer uwielbienia i poważne skłonienie głów na

znak uznania, poruszyły wszystkich. Ździwiony wzrok sędziów i słuchaczów spoczywał na obliczu wielkiego męża, z którego oczu łzy spływały.

— Perykles płacze! — powtarzano sobie z podziwem i niepokojem. — Płacze ten człowiek, który wśród najkrwawszych bitew okazywał tyle męztwa, który nie ustąpił przed największem niebezpieczeństwem, który stawiał majestatycznie spokojne czoło w chwilach najnamiętniej rozdrażnionego ludu, nic sobie nie robiąc ze swych przeciwników i nieprzyjaciół.

Ten wielki mąż płacze, gdy idzie o kobietę!

Ateńczycy nie mogli tego pojąć. Wielka cześć, którą Perykles okazał dla swej żony, niewymowna miłość od chwili poznania jej, jaką wypowiedział wobec wszystkich ze szlachetną dumą, całe to uczucie było dla większości niezrozumiałe, i pierwszy raz zdarzyło im się słyszeć coś podobnego.

W Atenach kobiety nie były otoczone takiem poszanowaniem; pod względem wychowania bowiem i wykształcenia, stały mało co wyżej od swych niewolnic.

Jednak z postawy sędziów widocznem było, że uszanowali uczucia poważnego męża. Nie upadli jeszcze tak nizko, aby nie widzieć podstępnych i nikczemnych knowań tych zajadłych przeciwników jego. Przyjmując ich oszczerstwa, staliby się współwinnymi w ich zbrodniczych zamiarach.

Z niepokojem i z najwyższem natężeniem oczekiwało, tysiące głów liczące, zgromadzenie wyroku sędziów.

— Aspazja jest uniewinniona! — dało się nagle słyszeć głośne wołanie.

Wśród tłumu, rozległ się okrzyk zadowolenia.

— Uniewinniona! — powtarzano sobie z radością.

Dumnie podniósł się Perykles. Zwyciężył odwagą, męztwem i wymową. Wyniośle kroczył teraz wśród usuwających mu się z uszanowaniem i udał się do domu.

Zastał Aspazję spokojną i pozornie obojętną. Lecz głęboko czującemu mężowi nie uszła uwagi wielka boleść, zaćmiewająca jej piękne oczy i smutek w nich rozlany. W czułym uścisku przytulił jej głowę do swych piersi i ucałował drogie czoło.

— Gdyby mi ciebie wydrzeć chcieli — rzekł drżącym ze wzruszenia głosem — musieliby mi przedtem wydrzeć dech z piersi.

W tej chwili wpadł Alcybjades, a za nim Paralos. Byli niesłychanie wzburzeni.

— Co się stało? — zapytał niespokojnie Perykles.

— Anaksagoras uwięziony! Zamknięto go już w wieży w murach Pireusu. Został oskarzony i skazany, bez wysłuchania obrony!

Obaj młodzieńcy mówili razem, z boleścią i ze łzami w głosie. Nauczyli się oni, za przykładem Peryklesa, czcić rozum starca, jego skromność, jego ubóstwo i jego cnoty.

Wyrozumiawszy o co chodzi, Perykles zatrwożył się bardzo. Nie o wyrok, ale o siły sędziwego filozofa mu chodziło. Gniew i ból szarpały jego sercem. Zaraz wszakże powziął zamiar bronienia swego przyjaciela i mistrza, choćby się sam miał narazić.

Jakoż zwrócił się natychmiast, aby iść na miejsce kaźni.

Paralos zaklinał ojca, aby tego nie czynił.

— Lud jest ogromnie wzburzony! — mówił — wielkie tłumy oblegają wieżę, do której wrzucono Anaksa-

gorasa, wołając, on to jest winien klęsce tej wojny, zesłanej przez bogów na ukaranie Aten, iż te tak długo i cierpliwie znosiły przewrotność tego starca.

— Słyszałem groźby wypowiadane w sposób namiętny — mówił Paralos — można się spodziewać najgorszych ekscesów. Ojcze, nie idź tam, narazisz się na niebezpieczeństwo!

Ale Perykles był niezwruszony.

— Synu!—rzekł on—gdybyśmy zawsze tylko własne bezpieczeństwo mieli na względzie, ludzie podobni byliby zwierzętom rządzącym się tylko instynktem! Co ich różni od zwierząt i uszlachetnia, jeżeli nie zdolność do poświęcenia się, do ofiary?... Idź, uspokój o mnie matkę; ja muszę iść tam, gdzie mnie obowiązek woła.

Ściemniało się już i półmrok panował na ulicach, kiedy Perykles stanął przed więzieniem filozofa.

Całe to niegodne oskarżenie Anaksagorasa przeciwnicy jego przygotowali w cichości, i wnieśli przed sąd umyślnie wtedy, kiedy wiedzieli, że Perykles jest zajęty obroną swej małżonki.

— Został na śmierć skazany! — Tak brzmiał wyrok, który obwieszczono ludowi.

— Na śmierć z nim! Na śmierć!... — powtórzyły z okrzykiem rozjątrzone tłumy.

Wtem wszedł między nich Perykles.

Gdy się ukazał, spokojny, wyniosły, pewny siebie i do panowania nad namiętnościami motłochu nawykły, głosy ucichły.

— Obywatele! — zawołał Perykles. — Czy znacie życie moje?

— Znamy! znamy! — krzyknięto w ciżbie.

— A więc — co sądzicie o mnie, obywatele? Czy macie mi co do zarzucenia?... Powiedźcie!

Była chwila ciszy. Większość zachwiała się, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Innym zaimponowała stanowczość Peryklesa.

— Ty jesteś mąż sprawiedliwy! — zawołał ktoś w tłumie.

— Tak, tak! — zakrzyknęły setki głosów — ty, Peryklesie, jesteś mężem sprawiedliwym!

— A wiecie, kto mnie uczynił takim, jakim jestem? — pytał dalej Perykles. — Oto ten, którego tu więzicie, a który był nauczycielem moim. Zaprawdę, nie jest uczeń wyższym ani lepszym, niżeli mistrz. A jeśli mnie nie macie nic do wyrzucenia, wierzcie mi, żem niegodzien równać się w cnocie z tym starcem czcigodnym, który tu cierpi.

— Obywatele! słuchajcie słów moich! Jeśli nie chcecie wstydzić się przed pokoleniami, które kiedyś przyjdą, co mówię! — przed synami i wnukami waszymi, nie przykładajcie ręki do udręczenia tego cnotliwego mędrca.

— Jest wyrok, niech będzie wyrok! Mam nadzieję, że sędziowie sami błąd swój wkrótce spostrzegą; ale wy, Ateńczycy, rozejdźcie się w pokoju, aby głosy wasze nie były zaliczone do tych, które obwoływały niesprawiedliwe wyroki!

Głuchy pomruk rozszedł się wpośród tłumu. Twarze były zasępione, głowy pochyliły się, zaczęto się rozchodzić z pod wieży. Jakiś wstyd, jakaś obawa odepchnęła teraz tę ludzką falę od więzienia filozofa.

Perykles wszedł do wieży. U wejścia stał strażnik z długą dzidą; ale gdy ujrzał wielkiego wodza, natychmiast usunął się z drogi.

Perykles przestąpił próg więzienny izby.

Osłabły i bezbronny wspierał się starzec o ścianę przy małem oknie, wychodzącem na morze. Właśnie oznajmiono mu wyrok śmierci.

Perykles rzucił mu się na szyję.

— Mój synu! mój drogi synu! — rzekł Anaksagoras. — Natura dawno już ten wyrok wydała na mnie. Ci ludzie potwierdzili go tylko!

Ale Perykles i słuchać o tem nie chciał! Nie chciał, aby złośliwość i obłuda zwyciężyły.

— Musisz być ocalonym, drogi mistrzu! — rzekł — musisz ratować się ucieczką, ja ci w tem dopomogę!

Starzec wstrząsnął łysą, trzęsącą się głową.

— Po co? Czy dziś, czy jutro, albo mnie to i tak nie czeka?... Dzień mojej pracy już jest ukończony!

Perykles wszakże nie dał się przekonać. Szybko rozwinął plan ucieczki.

Z wieży prowadzi podziemne przejście wzdłuż murów aż do samego portu. Jest ciemno. Nikt nie spostrzeże. On sam będzie prowadził swego drogiego mistrza tem podziemiem. Euangelos i paru młodych niewolników przeprawią go morzem do Lampsakos. Tam będzie bezpieczny.

Nie odrazu zdecydował się sędziwy filozof na cały ten projekt. Ale naleganie Peryklesa tak było silnem, tak wprost z serca idącem, że mu się wreszcie oprzeć nie mogąc, starzec zgodził się na ucieczkę.

Wtedy Perykles wziął go pod rękę i wyprowadził z celi.

W tej samej chwili jakaś postać niewieścia zbliżała się z ulicy ku wieży.

— Hej! straż! — krzyknęła — twój więzień ucieka!

Po skrzeczącym, niemiłym głosie, Perykles poznał Elpinikę.

Nie było czasu do stracenia. Wódz rzucił strażnikowi rozkazujące spojrzenie. Twarz żołnierza nie wydawała mu się obcą.

— Nie jesteś ty Mnesipos, Pers, którego udarowałem wolnością? — zapytał go.

— Jestem nim, panie! obyś żył wiecznie! — odrzekł strażnik.

— Więc powiedz tej kobiecie, że słuchasz tylko rozkazu wodza.

I pociągnąwszy za sobą starca, zniknął w ciemnem wązkiem przejściu.

Elpinika wpadła w gniew tem hałaśliwszy, iż był bezsilnym.

— Czekaj! — krzyczała, wygrażając strażnikowi pięścią. — Powiem ja komu należy, jakeś pilnował więźnia! Odpowiesz ty za niego! odpowiesz!

Mnesipos chwycił ją za rękę i rzekł stłumionym głosem:

— Ani słowa więcej! Twój to brat Cymon uczynił mnie jeńcem wojennym! Przez niego straciłem wolność na długie lata. Całą nędzę niewolniczego życia jemu mam do zawdzięczenia! Gdyby nie Perykles, dotąd byłbym niewolnikiem! Więc ci mówię, Elpiniko, jeśli słówko piśniesz, to ci oddam tą samą miarą, jaką od brata twego dostałem... Tą bronią!...

Pers sięgnął do boku i mignął krótkim mieczem, nad głową kobiety.

Przelękła się i umilkła.

A wtedy Mnesipos wepchnął ją do celi opuszczonej przed chwilą przez Anaksagorasa i zaryglował

drzwi z zewnątrz. Nazbyt bowiem dobrze znał język Elpiniki, aby uwierzyć jej obietnicy milczenia.

Sprawa jednak, czuł to Mnesipos, zawikłała się tak fatalnie, iż nie miał on dłużej co robić na Ateńskiej ziemi. Porzucił tedy długą dzidę, podpasał silniej rzemień miecza, a westchnąwszy o pomoc do bóstw opiekuńczych, puścił się tą samą drogą, którą Perykles wyprowadził starego swego mistrza.

Z portu Pireus wysłał Perykles do Aspazji wiadomość o zaszłych wypadkach.

Zanim jeszcze noc zupełnie zapadła, przybyli wysłani przez nią niewolnicy wraz z Euangelosem.

Księżyc stał wysoko i oświetlał srebrzyście równą, spokojną powierzchnię morza.

Perykles po raz ostatni uściskał sędziwego nauczyciela. Niewolnicy wskoczyli do czółna i zasiedli ławki wioślarzy.

Jeszcze ostatnie słowo pożegnania, i czółno pomknęło po gładkiej, błyszczącej wodzie.

Perykles stał na brzegu, patrząc za odpływającym, póki tylko słychać było lekkie uderzenia wioseł. A gdy czółno zniknęło jak czarny, drobny punkcik w oddaleniu, strapiony mąż powracał do domu, zatopiony w głębokich i smutnych myślach.

Między murami i fosami było jeszcze ruchliwie. Tłoczyły się tu gromady najuboższej ludności, to dla zabawy, to dla wypoczynku. Jedni coś sprzedawali, inni kupowali, tamci pili i śpiewali, ot tak, dla ochoty, jeszcze inni wadzili się z sobą, a klątw, wymysłów i oskarzeń o kradzież nie brakło także.

Doszedłszy do rynku Kerameikos, mimo późnej już godziny, Perykles spostrzegł znaczne zbiegowisko. Jakiś człowiek upadł tam na ziemię. Nie był

wszakże pijany, ani go też żaden przypadek widoczny nie spotkał. Ludzie tłoczyli się do koła. Nieszczęśliwy zdawał się straszliwie cierpieć. Twarz jego przebiegały kurcze, wołał pić, krzyczał, że mu żywy ogień pali wnętrzności.

Był to Hermipos, aktor, ten sam, który pierwsze oskarzenie uknuł wraz z Lamponem na Anaksagorasa.

Perykles zbliżył się i zaledwie go poznał; tak gwałtowna choroba zmieniła jego rysy.

W tej chwili właśnie nadbiegł mąż, na którego widok rozstąpili się ludzie, czyniąc mu miejsce przy chorym.

— Hipokrates!... Hipokrates!... — szeptano w koło.

Istotnie był to ów sławny, dla swej wielkiej nauki powszechnie szanowany lekarz.

Był on przyjacielem Peryklesa.

Spojrzał na chorego z przerażeniem i smutnie poruszył głową; poczem pochylił się i zaczął go badać z blizka. Język, oczy i gardło były czerwone jak ogień.

— Co mu jest, Hipokratesie? — zapytał Perykles, podchodząc szybko.

— Niech nas Zeus ma w pieczy! — odrzekł sławny lekarz głuchym tonem. — Oszczerstwo i złość chciał ten człowiek wnieść w twój dom Peryklesie. Ale daleko straszniejszego gościa wprowadził do naszego grodu.

To zaraza!

Z okrzykiem rozbiegli się ludzie.

— Zaraza! zaraza! — słychać było w pustych ulicach, któremi biegli uciekający w popłochu i ciemnościach nocy.

XIII.

Pomiędzy murami.

Kraj dokoła Aten przedstawiał obraz straszliwego spustoszenia. Świątynie i domy posiadaczy wiejskich zamienione zostały w gruzy i popiół, przez dzikie hordy Archidamosa, króla Sparty. Pola i ogrody były stratowane i zniszczone.

Zima stała już u progu.

Napróżno czekali Spartanie na bój w otwartem polu z Atenami. Splondrowane ziemie nie dostarczały już wojskom pożywienia. Żołnierze cierpieli głód, a zimno dawało im się we znaki. W obozie słychać było szemrania.

Król Archidamos musiał wreszcie uledz naciskowi wodzów wojsk swoich i odstąpić od oblężenia obwarowanego murami miasta. Nie pozostawało mu nic innego, jak powrócić z wojskami na zimę do Sparty.

Zaledwie jednak armja spartańska przekroczyła granicę, kiedy Ateńczykowie domagać się zaczęli, aby Perykles przedsięwziął wyprawę na blizką Megarę, i tam szukał odwetu za spustoszenie, jakiemu uległa Attyka.

Domaganie się to było tak silne, tak nagle ta żądza i zemsty i łupu ogarnęła obywateli, a szerząca

się zaraza tak wielu już wojowników powaliła, że Perykles zgodził się na ową wyprawę. W ten sposób zmniejszał na czas pewien przynajmniej straszliwy natłok ludności w samem mieście.

Po ukończeniu wyprawy, która uspokoiła nieco żądze Ateńczyków, sprawił Perykles uroczysty pogrzeb tym, którzy za ojczyznę polegli. Znalezione na polu bitwy ciała zostały spalone, kości złożono w dziesięciu skrzyniach z cyprysowego drzewa i na tyluż umieszczono je wozach. Za jedynastym, pustym, który wyobrażał żałobę po nieznalezionych, szły kobiety, zawodząc pieśni żałobne.

Orszak ten wspaniały i rozrzewniający zarazem doszedł do pięknie zadrzewionego przedmieścia Kerameikos, gdzie owe cyprysowe skrzynie zagrzebane zostały w ziemi.

Przemawiając ku czci obrońców ojczyzny, Perykles raz jeszcze rozwinął swe plany na przyszłość; plany te dotyczyły wielkości, chwały i szczęścia tak ciężko teraz dotkniętego kraju.

Ta mowa Peryklesa była aktem niezwykłej odwagi. Wobec bowiem tych prochów, tych kości, tych klęsk, szkód i ruiny, jakie sprowadziła wojna i zaraza, umysły ludu były przeciw niemu ogromnie wzburzone. Zazwyczaj bowiem lud nieszczęścia swoje przypisuje temu, w czyich rękach jest władza.

Perykles ze spokojem prawdziwego Olimpijczyka i powagą, stanął przeciw tej burzy.

— Wszakże zaraza — mówił on — i spustoszenie ziem, dotknęły tylko pojedyńczych obywateli, kraj stoi cało, jest wolny. Nieprzyjaciel odstąpił od nas! O ileż gorzej byłoby, gdyby obywatele nie ponieśli żadnej szkody na zdrowiu i mieniu, a kraj był shańbio-

ny swoją przegraną, a tryumfem nieprzyjaciela. Bo choćby wszelkie dobro stało się udziałem jednostek, gdy ojczyzna ginie i one ginąć muszą. Połączmy tedy siły nasze ku temu, aby kraj był silny! Jest to rozumniej i szlachetniej, niźli z powodu strat w polach, które przyszła wiosna zazieleni i w domach, które ręce wasze odbudować mogą, oddawać się rozpaczy i zapominać o powinnościach obywatelskich. Ze skarg i żalów nic nie urośnie; ale z posiewu czynów i z odwagi, wszystko znów zakwitnąć może.

Kto winien, czy ja, żem do wojny dopuścił, czy wy, żeście się do niej przyłączyli — nie o to chodzi. Gdy ogień jest na dachu, nie pytam, skąd powstał, ale chwytam wiadro i zalewam. I wy tak czyńcie! A kto ma ojczyznę swobodną i ocaloną, ten ma wielkie i największe dobro. Ma grunt, na którym całą przyszłość zbudować znów może.

Tak przemawiał Perykles do współobywateli, wznosząc się ponad poziome namiętności tłumu.

Ale słowa jego dzisiaj nie miały siły uspokoić wzburzonej masy.

Cóż więc się stało z tym ateńskim ludem, który zwykle dał się powodować rozumnym perswazjom Peryklesa?

Oto na czele tych tłumów stanęli burzyciele, a między niemi ów Kleon, którzy z żalu i rozpaczy ludu umieli kuć zręczną broń do walki ze znienawidzonym przeciwnikiem.

Lud jest jak dziecko. Latwiej jest prowadzić go pięknemi słówkami niźli gorzką prawdą, a Kleon umiał pochlebiać ludowi.

Był to samochwał wprost bezwstydny i więcej na zgromadzeniach ludowych podobały się jego nadęte

mowy, niżeli szlachetna, z prawdy i przekonania płynąca prostota Peryklesa.

Burzyło się tedy w umysłach Ateńczyków przez całą tę zimę, chociaż pokój panował na zewnątrz. I Sparta i Ateny korzystały z czasu zimowego, aby czynić zbrojne przygotowania do dalszej walki. Ale zaledwie Archidamos ruszył swe wojska wiosną na Attykę i wszedł do kraju, niosąc zniszczenie, powtórzyło się zamieszanie poprzedniej jesieni, a klęski dały się odczuć daleko srożej. Zaraza wybuchła z nową siłą. Sparta zyskała w niej potężnego sprzymierzeńca, który sprawiał niesłychane spustoszenia wśród ściśnionej ludności i coraz więcej przerzedzał szeregi wojska. Samych hoplitów padło cztery tysiące, to jest przeszło trzecia część tych pieszych żołnierzy, którzy na początku wojny zostali wcieleni w szeregi armji polowej. A były także ogromne straty i w konnicy i w załogach statków wojennych.

Skąd zaraza przyszła — trudno było wiedzieć. Prawdopodobnie zawlekli ją marynarze z Egiptu lub Azji, na brzegach Attyki lądujący. Choroba objawiała się palącem pragnieniem i strasznemi kurczami w gardle. Uboga ludność, dotknięta zarazą, rzucała się do studzien i piła chciwie, na śmierć. Zaraz też tam wielu padało. Co rano znajdywano na ulicach mnóstwo trupów.

Apatja ogarnęła serca i umysły. Klęska była zbyt wielką, ażeby z nią walczyć.

Wszakże najniższą warstwę ludności opanował jakiś szał dziki. Niewolnicy porzucali panów, motłoch uliczny pił, bijatyki były na porządku dziennym. Co gorsza, kradzieże, rabunki, zabójstwa, stały się teraz wypadkami prawie że powszechnemi. Najdziksze na-

miętności wydobyły się nieokiełznane na wierzch. O to tylko teraz szło, aby te kilka dni życia, którego i tak uratować nikt się nie spodziewał, spędzić w oszołomieniu, w zgiełku, w wyuzdaniu.

Perykles trwał mężnie na swem niebezpiecznem stanowisku. Jakkolwiek nagromadzenie tak wielkiej ludności na tak małej przestrzeni musiało fatalnie rozszerzać zarazę, nie było jednak innej uchrony przed wrogiem, jak mury zamykające jednym pierścieniem miasto i ludność ową.

Z każdym dniem wzmagała się gorycz w sercach Ateńczyków przeciw wielkiemu mężowi stanu. Jednym szło o wojnę, innym o zarazę, bo i za nią czynili go odpowiedzialnym; inni wreszcie zapomnieć nie mogli uwolnienia Anaksagorasa.

Łatwo było teraz wrogom Peryklesa podburzać przeciw niemu współobywateli. Jakoż, coraz ciaśniejsze brzegi niechęci opasywały go dokoła.

Wkrótce nie było w Atenach żadną tajemnicą, że wszystkie nieprzyjazne Peryklesowi, a dawniej rozdzielone między sobą stronnictwa, dążyły teraz wspólnie do jednego celu, strącenia tego męża ze szczytu władzy, na który go wyniosły zdolność i zasługa.

Zajadła nieprzyjacielka Peryklesa, Elpinika, nie próżnowała także. I ona starała się wszelkim sposobem gromadzić oszczerczy materjał przeciwko znienawidzonemu mężowi stanu. Temu podstępnemu kopaniu dołu pod Peryklesem oddała się ona żarliwie; wszędzie podsłuchiwała, z każdej pogłoski korzystała, wszystko przekręcała, aby tylko zohydzić tego, któremu poprzysięgła zemstę. Przysłużył się jej w tem znowu Ksantypos, który opowiedział jej zdarzenie, jakiego miał być świadkiem przed kilku laty. Mianowicie, gdy pew-

nego razu przyszedł do ojca o nową zapomogę, stary Euangelos kazał mu czekać w przedpokoju. Wtedy wpadł młody Alcybiades, hardo domagając się rozmowy z panem domu, a swoim opiekunem. Tego stary szafarz wprost odprawił, mówiąc, że Perykles nie ma czasu na rozmowy, jest bowiem zajęty przygotowaniem rachunków, które ma przedstawić Zgromadzeniu.

— Niechaj on lepiej stara się rachunków nie zdawać, aby się co nie wydało! — miał zawołać Alcybiades.

Ten mniemany głupi wykrzyk rozgniewanego młodzieniaszka, a widocznie przez Ksantyposa przekręcony, rozszedł się wkrótce i był naturalnie przez złośliwych plotkarzy coraz inaczej tłomaczony.

Wyzyskała go teraz i Elpinika, opowiadając swoim przyjaciołom, jakoby Alcybiades wówczas nie wykrzyknął tego w gniewie, lecz udzielił poufnie tej dobrej rady Peryklesowi, jak mądry nauczyciel naiwnemu uczniowi. Perykles poszedł też za tą radą i aby rachunków nie składać, umyślnie wszczął wojnę.

Taka była ostatnia intryga Elpiniki przeciw Peryklesowi, prowadzona już na łożu śmiertelnem, gdyż i ją zaraza zmiotła.

Oszczerstwo to przechodziło z ust do ust i po jej śmierci.

Tymczasem Kleon i jego sojusznicy szperali pilnie po wszystkich aktach, szukając jakiego śladu, któryby mógł posłużyć za dowód tej nieuczciwości wielkiego męża stanu. Wkrótce też tryumfowali. W rachunkach złożonych przez Peryklesa, przed rozpoczęciem trzydziestoletniego pokoju ze Spartą, znaleźli nieokreśloną bliżej pozycję »na konieczne wydatki«—dziesięć talentów.

Wówczas nie żądano od Peryklesa wyraźnego oznaczenia tej sumy, wszyscy bowiem na razie wiedzieli, że naczelny wódz skłonił temi pieniędzmi wodza Spartan do ustąpienia z Attyki i tym sposobem uchronił kraj od wtargnięcia przeważających wojsk nieprzyjacielskich.

Zażądano teraz od Peryklesa wyjaśnienia tego znacznego wydatku, nieprzyjaciele zaś jego wiedzieli, że go tym sposobem zgubią; gdyż albo nie zechce się tłomaczyć, albo wykaże sposób, w jaki wówczas wojnę zażegnał. Cieszyli się zatem, że pozycja, nie mogąca być obecnie wyjaśnioną, posłuży im do wykazania sprzeniewierzenia Peryklesa i jego nieuczciwości.

A nietylko Peryklesa miał spotkać nikczemny ten spisek zazdrosnych mierności, miał on także dotknąć i innych, blizkich mu sercem i wielkością mężów.

Przedewszystkiem obmyślono cios przeciwko Fidjaszowi, jako głównemu pomocnikowi Peryklesa w jego dziełach upiększenia i wspaniałości Aten. Tem postawieniem słynnego rzeźbiarza przed sąd, chciano wypróbować, jak lud będzie później sądził i samego inicjatora tych wielkich dzieł.

Do wykonania tego niecnego zamiaru pozyskano pomocnika Fidjasza, Menona, którego namówiono, aby wystąpił jako oskarzyciel swego mistrza.

Pewnego ranka zjawił się Menon na rynku u ołtarza, i niosąc na znak pokoju oliwną gałązkę w ręku, domagał się, aby mógł swobodnie i nieprzeszkodzony, odkryć przed ateńskim ludem podstępy Fidjasza.

Zrobiło się natychmiast wielkie zbiegowisko, a Menon, uroczystym głosem, trzymając zawsze jako znak nietykalności swojej, oliwną gałąź ową — obwieścił, iż przy wykonaniu posągu bogini Ateny, Fidjasz

użył część tylko powierzonego sobie do tej pracy złota, a resztę ukrył dla siebie.

Oburzenie było niesłychane. Zaraz tego samego dnia zarządzono śledztwo.

Ale przyniosło ono tylko hańbę oskarzycielowi. Natychmiast bowiem Fidjasz oświadczył gotowość odjęcia wszystkiego złota z posągu, bez uszkodzenia całości; co gdy uczyniono i złoto zważono, waga wykazała fałsz potwarzy rzuconej na wielkiego rzeźbiarza.

Menon miał jednak przeciw Fidjaszowi drugi jeszcze pocisk. Rozjątrzony niepowodzeniem, z tem większą zajadłością oskarżył teraz Fidjasza, iż ten dopuścił się obrazy bogów, gdyż na tarczy bogini Ateny umieścił swój własny wizerunek, jako starca rzucającego kamień z procy, oraz wizerunek Peryklesa, jako wodza ciskającego dzidę do celu.

Teraz Fidjasza uwięziono.

Napróżno Perykles usiłował powrócić mu wolność.

Zapomniał on zupełnie, jak wielkie i liczne jemu samemu grożą niebezpieczeństwa, a cały oddał się ratowaniu przyjaciela. Codzień zjawiał się w więzieniu, w którem rzeźbiarz był zamknięty, aby się z nim porozumieć i naradzić, co czynić trzeba. Wyprosił to bowiem sobie u Fidjasza, że go sam w sądzie bronić będzie.

Nadszedł nareszcie dzień obrony.

Wczesnym rankiem udał się Perykles do więzienia. Ale na całej drodze jaką miał do przebycia, tworzyły się gromadki szepczące i niechętnie poglądające na wielkiego męża.

Perykles nie zważał na to. Szedł krokiem spokojnym, z wzniesionem, choć stroskanem czołem.

Wtem u wschodniej bramy murów ujrzał wielką

ciżbę ludzi i posłyszał wrzawę. Straż pilnująca wieży zaledwie mogła wstrzymać napór cisnącego się do niej tłumu.

— Fidjasz nie żyje! zabito go — krzyczeli jedni — wielkiego rzeźbiarza zamordowano podstępnie!...

I krzyczący tłum otoczył groźnie trzęsącego się ze strachu oskarzyciela. Spojrzał Perykles i poznał Menona.

— Nieprawda! nie! — krzyczał Menon z przerażenia blady. — Fidjasz został dotknięty zarazą! Umarł na dżumę!

I przepychał się przez ciżbę w najwyższym przestrachu.

Jak grom uderzyła w Peryklesa ta wieść wstrząsająca. Ludzie zaczęli zwracać się ku niemu, jako ku przyjacielowi zmarłego. Perykles poznał w tłumie wielu życzliwych sobie. Bezdźwięcznym, smutnym głosem zapytał o bliższe szczegóły.

W tej grupie wszakże panowało mocne przekonanie, że Fidjasz został przez wrogów otruty. Inni przeczyli, utrzymując, że go uduszono.

Perykles widział, że tu nie dowie się prawdy, i chciał sam pośpieszyć do śmiertelnego łoża wielkiego artysty. Wszakże straż broniła mu przystępu.

— Precz z drogi! — zawołał Perykles z płomieniem szlachetnego gniewu na twarzy. — Czy nie poznajecie wodza i strategi Peryklesa?

— Ho! ho! — zawołał jeden z żołnierzy zuchwale, a tuż za nim zabrzmiał głos Kleona.

— Skończyło się panowanie twoje, Peryklesie! Dziś jeszcze będziesz odarty z urzędów publicznych i stawiony przed sądem za roztrwonienie skarbu państwa.

...Aspazja podawała mu chłodzący napój, przemawiała słowami pociechy i otuchy... (Str. 247).

Ani jeden nerw nie drgnął w twarzy Peryklesa. Kamienny spokój leżał na jego wyniosłem obliczu.

— Dalej! dalej! — rzekł, pomilczawszy chwilę. — Strąćcie tego, który ojczyznę prowadził do wielkości i chwały! Ale zaprawdę, na jego trupie załamie się cały gmach kłamstw, jakiemi uwodzicie naród!

. . . . . .

Sprawiedliwość została zdeptana, żądza pomsty nasycona!...

Sąd współobywateli odjął wielkiemu mężowi wszystkie urzędy jego i skazał go na zapłacenie pieniężnej sumy piętnastu talentów. Ta suma miała zastąpić ową wątpliwą pozycję w rachunkach złożonych przez Peryklesa sądowi, pozycję, która miała napis: »konieczne wydatki«, a co do której oskarzony odmówił wyjaśnień.

Gdy się to działo w mieście, w domu Peryklesa odbywały się wstrząsające sceny. Właśnie Aspazja z niepokojem oczekiwała powrotu męża z sądów, kiedy nagle do komnaty wszedł stary Euangelos wołając:

— Pani, Paralos, Paralos umiera!

Przerażona Aspazja pobiegła za nim.

Paralos istotnie leżał owładnięty nagłą jakąś słabością. Czoło jego pałało gorączkowo, pragnienie dręczyło go straszliwie. Nie było wątpliwości, że to był ów gość straszny, że to była—zaraza! Mimo upadku sił, zrywał się chory na swem łożu i szeroko otwartemi, szklistemi oczyma, szukał czegoś dokoła.

Aspazja nie okazała ani na jedną chwilę trwogi. Siadła przy nim, podawała mu chłodzący napój, przemawiała słowami pociechy i otuchy, pytała, czegoby sobie życzył.

— Czego bym sobie życzył! ach!— przemówił Pa-

ralos, z rozdzierającą boleścią spojrzawszy na matkę. — Nie mogę umrzeć spokojnie, okropna tajemnica obciąża moją duszę... Wielka, wielka wina mnie obciąża!

— Jakto, dziecko? — zapytała słodko Aspazja. — Wina, której wyznać nie chcesz?... Alboż od wczesnych lat nie ćwiczyłeś się w mówieniu prawdy za przykładem twego dobrego, szlachetnego ojca?

— Nie! nie! — mówił Paralos coraz nieprzytomniej. Ja was oszukałem! wszystkich oszukałem! wszystkich! zawołajcie tu mego brata, Ksantyposa! — dodał z wysiłkiem, a zimny pot oblewał mu czoło. — Niechaj tu do mnie natychmiast przyjdzie, powiedzcie mu, że umieram i nie skonam, póki go nie zobaczę przy sobie.

— Ksantyposa chcesz? — zapytała Aspazja. — Cóż ty masz z nim wspólnego, Paralosie?

— Winę! — szepnął chory.

Natychmiast Alcybiades pobiegł po Ksantyposa.

Zaczęło się straszne oczekiwanie. Chory młodzieniec zrywał się z posłania, chciał biedz, przestrach śmiertelny widniał na jego twarzy. Walczył z sobą.

— Matko! — rzekł wreszcie głuchym głosem. — Wiem o strasznej zbrodni... o czynie okropnym! Niech się Ksantypos śpieszy, muszę go widzieć. On musi mi przyrzec pokutę.. musi przyrzec, że wyzna ojcu wszystko, że jego przebaczenie wybłaga.

Aspazja słuchała z przerażeniem, nie wiedząc, czy słowa te biednego młodzieńca są objawem gorączki, czy w istocie niespokojności sumienia.

Kiedy nakoniec powrócił Alcybiades śmiertelnie blady, Perykles szedł za nim.

Grom za gromem uderzał teraz w dom ten i w tego człowieka!

Alcybiades przyniósł wiadomość, że i Ksantypos

także zarazą dotknięty, pasował się ze śmiercią, opuszczony zupełnie, gdyż żona jego nawet uciekła od niego, lękając się o swe życie.

Kiedy Paralos dowiedział się o tem, załamał ręce, a wielkie łzy zabłysły w jego oczach.

Perykles mężnie i wzniośle znosił straszne ciosy. W przeciągu kilku godzin zburzyły one pracę i nadzieje jego życia; ale kiedy jeszcze zobaczył, jak ten jego syn ukochany powtarza z rozpaczą imię brata i skarży się, że umrzeć nie może, póki go nie ujrzy, wtedy ugięła się jego wielka dusza, i nie mogąc słowa dobyć ze ściśniętej bólem piersi, skinął tylko na Alcybiadesa, żeby koniecznie spełnił życzenie umierającego i sprowadził Ksantyposa.

Alcybiades pobiegł raz jeszcze. Cisza zaległa w komnacie. Tylko Paralos zrywał się i wzrokiem szukał brata.

— Ksantypos — przemówił wreszcie Perykles — także jest chory, synu. Lecz gdyby i zdrów był — byłożby tu właściwe miejsce dla tego, który własnego ojca usiłował zgubić?

— Tak, ojcze! — odrzekł z cicha Paralos. — U twoich nóg jest jego miejsce!

A wtem się dały słyszeć w dziedzińcu kroki biegnących niewolników.

Perykles podszedł do drzwi.

Tam, pod odkrytem niebem leżał Ksantypos w pobliżu domowego ołtarza Hestji; kurczowo załamane ręce trzymały się kamieni ołtarza. Alcybiades stał przy chorym do głębi wzruszony.

Kiedy powtórzył dogorywającemu i opuszczonemu ostatnie życzenie umierającego brata, Ksantypos wybuchnął rozpaczliwym jękiem. Blizka śmierć, opuszczenie,

zbudziły w nim nareszcie skruchę. Zwlókł się z łoża i upadł na kolana przed Alcybiadesem, błagając, aby go powiódł do ojca i brata, gdyż musi od nich uzyskać przebaczenie za straszną zbrodnię, jakiej się dopuścił.

Alcybiades podniósł go, odział płaszczem i ująwszy pod ramię, prowadził. Straszny to był pochód. Na twarzy Ksantyposa widna już była śmierć z zarazy; kładąca wyraźnie swe piętno; szedł, chwiejąc się i ledwie powłócząc nogami. Uciekali od nich wszyscy; ale mężny Alcybiades wytrwał i z niesłychanym trudem dowlókł chorego do brata.

Jednak na dziedzińcu Ksantypos omdlał i upadł w pobliżu ołtarza.

Kiedy Perykles stanął nad bezwładnem ciałem nieszczęsnego syna, usta jego poruszyły się, otworzył oczy.

— Przebaczenia! — wyszeptał. — Przebaczenia, ojcze!

Drgnął, chciał mówić jeszcze, ale tylko jęk wydał i skonał.

Powiedziano o tem Paralosowi i przytoczono ostatnie słowa brata. Biedny młodzienie odetchnął wtedy swobodniej i rzekł:

— Więc jednak przywiodła go skrucha do stóp twych, ojcze, i do ołtarza naszego! O dzięki wam bogowie! Teraz mogę i ja umrzeć w spokoju.

Dotąd Perykles całą siłą męztwa panował nad sobą. Teraz jednak owładnęła nim rozpaczliwa boleść. Rzucił się, łkając, na posłanie syna.

— Nie, nie, drogie dziecko. Ty nie umrzesz! nie! ty mnie nie opuścisz! Los wydarł mi najbliższych przyjaciół. Miałżebym i ciebie stracić, najukochańszy synu! stracić na zawsze!...

— O, nie na zawsze, ojcze! — przemówił Paralos lekko wstrząsając głową. — Anaksagoras i matka moja, Aspazja, uczyli mnie, że tylko nasza ziemska powłoka jest znikomą, ale dusza, dusza jest nieśmiertelną. Ja nie wstąpię z tą nadzieją, którą mam w sercu, do Hadesu, jak inni synowie Grecji. Ja idę ku wieczności!... tam i ty będziesz kiedyś, ojcze drogi! Tam się znów dusze nasze spotkają!...

Zmęczony, zamknął cicho wielkie ciemne oczy. Uśmiech rozświetlił twarz bladą.

Z okrzykiem boleści chwycił Perykles w ramiona ciało syna.

Dusza jego już uleciała w wieczność.

Aspazja podała ciężko doświadczonemu ojcu wieniec z oliwnych gałązek, który stary Euangelos przyniósł drżącą ręką z ołtarza bogini Hestji. A gdy Perykles uwieńczył zielenią tę smutną, bladą, kochaną głowę zmarłego syna, boleść złamała go i wybuchnął ciężkim, głośnym płaczem.

Łzy przyniosły mu ulgę. Opanował nareszcie swój ból głęboki i wziąwszy za rękę cicho płaczącą Aspazję, rzekł z niewypowiedzianym smutkiem:

— Człowiekiem jestem. Muszę być posłuszny woli nieśmiertelnych Mocy!

XIV.

Promień światła.

Przyjaciele strąconego z wyżyn władzy męża stanu, pojąć tego poprostu nie mogli, jakim sposobem lud ateński, tak wykształcony i tak z niezależności swej dumny, mógł — bezpośrednio po upadku Peryklesa, którego przecież tylko wyższość rozumowa i wybitne cnoty obywatelskie wyniosły na szczyt władzy,— jakim sposobem lud ten mógł poddać się rządom takiego Kleona i towarzyszów jego, ludzi najniższego pochodzenia i najpospolitszego umysłu.

Było to wprost bezprzykładnem w całych dziejach Aten!

Zdawać się mogło, że wraz z słońcem chwały Peryklesa, zaszło i światło rozsądku, poszanowania tradycji ojczystych, praw państwowych i starodawnego obyczaju.

Przedtem, władza, ster naczelny rządu, były jakgdyby zaszczytną nagrodą w wielkim wyścigu o dobro ojczyzny, najszlachetniejszych, najrozumniejszych i najbardziej zasłużonych obywateli.

Teraz — nagroda owa, ów cenny klejnot władzy wpadł w ręce chciwców, pyszałków i zawistnych o wszel-

ką wyższość podżegaczy. I to w czasie, kiedy dwoista klęska — wojna i zaraza — uciskała naród; w czasie, kiedy prywatne i publiczne nieszczęścia uczyniły państwo skołataną nawą, potrzebującą zarówno mądrego jak i wielkodusznego sternika.

Trwożyła się tedy garść dobrze myślących obywateli, nietylko ze względu na cześć i przyjaźń swą dla Peryklesa, ale także ze względu na publiczne, wraz z jego upadkiem zagrożone dobro; rozpaczliwy stan miasta napawał ich głęboką troską.

Lud wszakże, tworzący ogromną większość, przeciwstawiał tej trosce i tym niespokojnościom wybitnych Ateńczyków — zaciekłą bezmyślność swoją.

Nie była to już ta skromna, uczciwa, pracowita i uległa ludność, która z takim zapałem okrzyknęła Peryklesa rządcą ojczystego miasta. Były to rozpasane i wrzaskliwe tłumy, domagające się zapłaty bez pracy, użycia bez zasługi, domagające się zguby i poniżenia tych wszystkich, którzy nie schlebiali ich nieznającym hamulca żądzom.

Jakaś ślepa nienawiść tych, którym udało się w owych nieszczęsnych czasach utrzymać się na powierzchni fal powszechnego zniszczenia, nurtowała serca i umysły ludu.

A tak wśród zgrozy i wojny i moru, powstawała trzecia klęska, hucząca burzą i groźbą wywrotów, klęska bezimienna, ale niemniej straszna! Straszniejsza owszem od moru i wojny, bo ujawniająca piętna poczynającego się rozkładu społecznego i narodowego życia, — jad zawiści, niezgody, zamachu na wszystko, co było w narodzie wyższością umysłu i serca.

Dawniej ulegali Ateńczykowie woli Peryklesa z pełną czci miłością. Cały lud czuł w nim swą moc i swą

chwałę. Blask jego ducha był współobywatelom nietylko pochodnią, udzielającą światła na drodze rozwoju, ale aureolą, którą ci wszyscy współobywatele dumni byli. Mieć takiego męża najwyższym wśród siebie, to było ich chlubą, ich zaszczytem wspólnym. Zdawało się, że w tym wielkim mężu każdy Ateńczyk uczuwa najlepszą cząstkę swego ducha, że w nim jest wywyższon, że nim czuje swą moc, swą cnotę, swój rozum.

Ale teraz, kiedy do władzy dorwał się nieokrzesany, chciwy i zuchwały Kleon, który wykształcenia swego nie zawdzięczał ni nauce ni sztuce, ale codziennemu ocieraniu się o ludzi na sądach i rynkach miasta, ten Kleon, który stał niemal że na równym poziomie z najciemniejszym motłochem w jego nizkich instynktach i żądzach, zdawało się, że cała społeczność ateńska spadła o wiele stopni z zajmowanego dawniej stanowiska umysłowego i obyczajowego, że cała owszem, stała się pospolitą, nieokrzesaną, niepomną dawnych ideałów swoich. Jakaś mgła, niby wyziewy bagnistych nizin, zamroczyła rozumy i serca. W ciągu niewielu dni Ateny cofnęły się wstecz nawet w zewnętrznym wyglądzie swoim. Co było szlachetne, wytworne, kryło się wstydliwie w cieniu; pierwsze zaś miejsce zajęła rubaszność, bezwstydna chciwość złota i powszechne upodlenie.

Zjawisko to nie mogło być trwałem, nie sięgało bowiem głęboko w naród, spływając jak brudna piana po jego powierzchni. Niemniej przecież było smutnem i niepokojącem.

Tymczasem nikt, nawet Aspazja odgadnąć nie mogła, czy bezczynność, na jaką po utracie władzy i urzę-

dów skazany został Perykles, była dla niego odpoczynkiem, czy męką.

On sam zapewniał, że mu dobrze w tej ciszy, w tym spokoju domowym wśród drzew i kwiatów swego ogrodu, w otoczeniu żony i kilku wiernych przyjaciół. Przecież właśnie w tej ciszy i w tym spokoju pogłębiały się rany, które mu śmierć drogich sercu jego i niewdzięczność współobywateli zgotowała.

Bądź jak bądź, coraz widoczniejszym było, że Perykles zawsze zdrów i silny, teraz czuł się zesłabłym, złamanym. Jakaś trawiąca boleść żarła mu nietylko duszę, ale i ciało także. Niby nic mu nie było, ale bezbrzeżny smutek i zniechęcenie głębokie malowały się w jego twarzy.

Aspazja pocieszała go i krzepiła zawsze serdecznem, zawsze troskliwem, zawsze budzącem nadzieję słowem. Ale i ona, choć się z tem kryła, potrzebowała pociechy. Widzieć tak więdnące co dzień więcej szczęście swego życia — to nie było łatwem.

Zacny Hipokrates często nawiedzał ten dom tak dotknięty żałobą. Słynny lekarz był teraz obywatelem Aten, bo lubo z wyspy Kos rodem, za zasługi oddane miastu w czasie zarazy, nie tylko został obsypany hojnemi darami, ale i zaszczycony obywatelstwem. Nieraz patrzył on w zadumie na Peryklesa, który od dnia do dnia coraz bardziej milczący, siedział w dziedzińcu swego domu, z roztargnieniem słuchając słów Aspazji.

Stary Euangelos i niewolnicy przesuwali się z cicha.

Jakiś ciężki smutek i niepokój zawisnął nad tą rodziną.

A wtedy wielki lekarz przemawiał mądrze i kojąco, rozwijał zagadnienia głębokie i obrazy porywa-

jące myśl daleko od osobistych cierpień i zawodów. Ukazywał rzeczy wyższe nad władzę, powszechniejsze nad srożącą się klęskę, silniejsze nad boleść; rzeczy mające moc dźwigania z wszelkiego upadku i z wszelkiego odrętwienia, do nadziei, do czynu.

Lecz jeżeli dla Peryklesa te mądre i wskrzeszające słowa prawie że straconemi były, gdy przynajmniej wątpliwem zdawać się mogło, czy mają dość siły aby przebić te mroki, jakie zalegają duszę wielkiego Ateńczyka, dla Aspazji były słowa te źródłem odwagi i otuchy.

Niemi to krzepiona, stała wierna małżonka Peryklesa przy boku jego, jako silna i pewna podpora.

W istocie jako podpora jedyna.

Bo chociaż wielu z dawnych przyjaciół Peryklesa dochowało mu wierności w swem sercu, mało ich, bardzo mało tylko, miało odwagę dać tej wierności widoczne dowody. A to osamotnienie, ten brak szerokiego udziału w żywem życiu Aten, ta niemożność pośredniego chociaż wpływu na losy ojczystego miasta, były — kto wie — czy nie najgłębszą z przyczyn, jakie się złożyły na duchowe i fizyczne zgnębienie Peryklesa.

Tak upływały dnie, a Hipokrates z coraz widoczniejszą troską patrzył na pochyloną postać, wiednące oblicze i gasnące oczy Peryklesa.

Pewnego dnia zapytała Aspazja wielkiego lekarza, czy nie należy się obawiać, iż na tle tego ogólnego upadku sił, zaraza grasująca w mieście, znajdzie może ułatwiony przystęp?

Hipokrates wstrząsnął głową. Uspokajał on wten sposób troskliwą małżonkę.

Sam jednak nie mógł przed sobą ukrywać, że

sroższe od zarazy cierpienie gasi ducha w tem złamanem ciele. Że owszem, on, który uratował wielu dotkniętych dżumą, na to cierpienie żadnego nie ma ratunku. Widział jasno, że z dnia na dzień skraca się czas, przez który zdoła utrzymać to szlachetne, przez serdeczną ranę uciekające życie.

Na zewnątrz była to tylko gorączka trawiąca, ale wewnątrz umierała dusza życia, wola życia i odwaga tego życia. Była to agonja ducha.

Tymczasem, wśród powszechnej klęski, usposobienie ludu zaczęło się zmieniać z dnia na dzień.

Zrazu niższe warstwy ludności szczególniej rade były, że mają za zwierzchnika i doradcę człowieka, który się od nich niewiele różnił.

— To nasz — mówiono w ulicach. — To nasz!

A Kleon, dawny garbarz, — coraz więcej pochlebiał ludowi. Gdy wchodził na mównicę, całem jego staraniem było utrzymać taki ton mowy, jakim mówił lud, i to ten z przedmieść, sam motłoch. Puszczał się tedy na dowcipy, przy których rubaszne żarty Cymona były wytwornemi zwrotami mowy — bił się po biodrach, rzucał głową, machał rękami, wyglądał jak przekupień z jarmarku.

Byłoby to niczem, gdyby treść mowy była rozumna, skierowana ku potrzebom kraju. Ale gdzie tam! Kleon zbyt mało miał rozumu na to, aby potrzeby te znać, przewidzieć i zaradzić im. To też najważniejsze sprawy państwowe za jego rządów, albo utknęły w miejscu, albo wzięły nieodpowiedni i zgubny kierunek.

Ateńczycy prędko zaczęli się poznawać na niedołęstwie tego bożyszcza swego.

Najpierw z cicha, ukradkiem, potem głośniej nieco i jawniej zaczęto przebąkiwać, że jednak za Peryklesa

rzeczy szły lepiej. Imię dawnego, »pierwszego obywatela kraju« coraz częściej, w coraz szerszych kołach i przy każdej sposobności było znów na ustach.

Zaczęto przypominać sobie i porównywać. Zaczęto gorzko żałować.

Co wszakże dopełniło miary niezadowolenia, to lekkomyślne prowadzenie spraw wojennych kraju.

I lądowemi wojskami i flotą zarządzali teraz przyjaciele Kleona, ludzie słabi i niedołężni, gdyż były garbarz nie umiał wybierać wodzów.

Otóż chcąc się pochlubić swem męstwem, Kleon uradził z wybranemi przez siebie wodzami, wyprawę na Chalcydę i na Potidaję. Było to szaleństwem. Nie ze względu na niemożebność zwycięstwa, ale ze względu na zarazę, która dziesiątkowała wojsko. Jakoż gdy połowa padła ofiarą zarazy, druga połowa wróciła bezładnie do Aten, niekarnie opuściwszy wodzów.

A tak klęska spotkała Ateny — bez bitwy nawet — a urok oręża Ateńczyków na długo był złamany.

Na domiar złego, Kleon wysłał poselstwo do Sparty, w celu, aby uzyskać rozejm. Wysłał ludzi podług swego rozumienia.

Ci jednak nietylko nic nie sprawili, ale nie umieli być nawet godnymi przedstawicielami Aten, a ich pochlebcze i uniżone propozycje, Sparta odrzuciła z największą wzgardą.

Tego było Ateńczykom zawiele. Kto miał w piersi serce męskie, ten zapłonął wstydem na taką hańbę ojczyzny. Na rynkach, na ulicach, w sądach, na zebraniach ludowych, o tem tylko mówiono, że trzeba oddać dowództwo wojsk godnemu stratedze.

...Coraz bardziej milczący siedział Perykles w dziedzińcu swego domu. (Str. 259).

— Komuż, jeśli nie Peryklesowi? — padło z ust czyichś.

A to imię, usłyszane w takiej chwili, stało się hasłem radości i nadziei.

— Niech żyje Perykles, wódz Ateńczyków! - huknął tłum wielkim okrzykiem.

I zaraz w pierwszem wzruszeniu biegł lud ateński domagać się mianowania Peryklesa wodzem.

Kleon się zdumiał, ale nie przeciwił. Zbyt świeżą była porażka, jakiej doznała jego polityka i jego samochwalcze męstwo, ażeby śmiał wyborowi Peryklesa przeczyć. A potem byłto człowiek chytry — i wiedział, że dotknięty i złamany cierpieniem mąż, łatwiej zużyje swe siły w służbie publicznej, niżli w domowem zaciszu.

— Mówią, że chory — myślał. — Ale kto wie, jak długo jeszcze żyć może, gdy go tam pielęgnują i tak na niego w domu chuchają. Lepiej, że go się trochę wystawi na wiatr, na burzę!

I uśmiechał się chytrze.

Wiatrem i burzą nazywał on zmienność umysłów ateńskich, której sam już na sobie zaczynał doświadczać.

Siedział Perykles, jak zwykle, w dziedzińcu domu swego, pogrążony w bolesnej zadumie, gdy naraz wbiegł Alcybiades i z właściwą sobie żywością zawołał:

— Niech żyje Perykles, wódz Ateńczyków!

Był to okrzyk, którym w tej chwili brzmiało całe zebranie ludowe.

Na głos ten Perykles drgnął i szybko podniósł głowę. Lekki rumieniec zabarwił blade jego lice.

Aspazja patrzyła z przestrachem.

Wrzuszenie męża, rozbudzone nadzieje, za któ-

remi przyjść mógł zawód — wszystko przerażało ją, ze względu na słabe zdrowie Peryklesa.

Ale od strony miasta zbliżał się szmer wielu głosów, wrzawa rosła coraz bardziej.

Widocznem było, że to, co teraz Alcybiades opowiadał z pośpiechem opiekunowi swemu, jak się lud zebrał, jak imię jego obwołał, jak jednogłośnie wszyscy chcieli go mieć wodzem — że to wszystko jest prawdą.

W oczach Peryklesa zapłonęły dawno niewidziane blaski.

W tej chwili stary Euangelos nadbiegł z wieścią, że wielo-tysięczny tłum ciągnie od miasta ku domowi Peryklesa. Jakoż istotnie wszystkie ulice dokoła zapchane były ludem. Tysiączne głosy okrzykiwały imię Peryklesa, chciano go widzieć, przebłagać, chciano, żeby przemówił do ludu.

Że się jednak wszyscy wtłoczyć nie mogli, wybrali z pośród siebie poselstwo, aby ich uczucia jak najrychlej wypowiedziane zostały Peryklesowi.

Weszli posłowie w dziedziniec. Było ich tylu, że wszystkie ganki, drzwi, brama i ogród napełniły się niemi.

Perykles przyjął ich stojąc, wyprostowany, jakby odmłodzony.

Otoczono go wkoło. Wybrani mówcy oświadczali teraz, jeden przez drugiego, w imieniu Ateńczyków, iż lud cały prosi drogiego wodza i opiekuna swego o przebaczenie.

— Myśl, Peryklesie — wołali — nie o naszem krótkiem obłąkaniu, które nas pozbawiło ciebie, ale o tych długich latach, gdyś był dla nas i ojcem i wodzem, rozumem i sercem naszem! Ty byłeś i chlubą i wielkością naszą!

— Niech żyje Perykles! — grzmiały tymczasem, jak burza, tłumy na ulicach.

Aspazja czuła, że serce jej ściska zimny przestrach. Wszak Hipokrates powielekroć przestrzegał Peryklesa przed silnem i nagłem wzruszeniem.

Ale Perykles, słuchając mowy posłów, jaśniał na twarzy jakimś dziwnym blaskiem.

Oni tymczasem mówili dalej.

— Zważ, Peryklesie, że nieszczęścia odbierają rozum nawet dojrzałym mężom. A lud — razem wzięty — zawsze jest dzieckiem. Przypomnij sobie, cośmy przecierpieli! Wszak ta okropna zaraza nietylko nam zdrowie ciała odjęła, ale i zdrowie ducha! Inaczej nigdy nie byłoby przyszło do tego rozdwojenia między nami, cośmy dziećmi twemi — a tobą — wielki nasz ojcze!

— Niech żyje Perykles! — huczał tłum zewnątrz.

Perykles się wzbraniał.

— Złamany jestem, chory jestem, nie mam sił, abym tak wielkiemu zadaniu mógł jeszcze podołać. Ręka moja już nieutrzyma steru tej skołatanej nawy. Dziękuję wam, przyjaciele, za tę pociechę, jakąście mi dali — ale nie podołam... nie podołam.

A gdy tak mówił, głos jego drżał tak wielkiem wzruszeniem, że oczy wszystkich napełniły się łzami. Śmiało rzecz można, że w całych Atenach nie było teraz serca — prócz Kleonowego chyba, — któreby nie biło czcią dla wielkiego męża.

Obywatele nie ustępowali. Jak fala wznosiły się ręce, jak fala chyliły się głowy.

— Z tobą żyć chcemy i umierać! Z tobą! z tobą, Peryklesie!

Nie mógł się oprzeć Perykles naleganiu temu. Bły-

snęły mu oczy płomieniem zapału, wzniósł czoło, wyciągnął dłoń i rzekł natchnionym głosem:

— A więc dobrze! Ostatek sił moich i ostatek życia mego — wam oddaję, współobywatele, i tobie, ojczyzno!

I stał tak wzniosły, promieniejący, i znowu był jasnym Olimpijczykiem wśród swojego ludu.

Ogromny okrzyk radości odpowiedział na jego szlachetne słowa.

W tryumfie prowadzili teraz posłowie drogiego wodza swojego. Przed domem czekał wóz uwieńczony, jakiego tylko zwycięzcy zażywać mogli.

Wstąpił nań Perykles — a podniesionego w ten sposób nad siebie, tłum powitał nowym okrzykiem.

Ruszono.

Był to szczególnie uroczysty, tryumfalny pochód. Tysiące ludu tłoczyło się przez ulice miasta, młodzież rzucała przed wozem kwiaty i gałązki oliwne, kobiety i dziewczęta wybiegały z domów, jak w wielkie uroczystości narodowe.

Tak się posuwano ku wzgórkowi Pnyks.

Gdy Perykles znów ujrzał te miejsca, które były świadkiem jego potęgi i siły, gdy znów się znalazł na tej mównicy, z której tylekroć czarował i uczył słuchaczów, głębokie wzruszenie głos mu zatamowało niemal, a zimny pot wystąpił na czoło.

Poraz pierwszy uczuł wtedy, że śmierć się ku niemu zbliża, że już ją ma w sobie. Opanował się przecież i jak przyrzekł, tak dotrzymywał słowa. Ostatek sił, ostatek życia oddawał ludowi i swej ojczyźnie.

Mówił — a to co mówił, było jakby ostatnią wolą umierającego, jakby duchowym testamentem, którym chciał krajowi swemu przekazać i wielkość i sławę.

Cisza w tym tysiącznym, słuchającym go tłumie była tak wielka, jak w czasie ofiarowania w świątyni.

I dziwna rzecz! w miarę jak mówił, pogoda spływała na umysły i na serca. Nadzieja budziła się w duszach, siły rosły ku pracy dla dobra miłego kraju.

Coś, jakby jutrzenne światło zabłysło znowu po długiej, czarnej i burzliwej nocy.

— O bądźcie dumni, żeście synami tej pięknej ziemi! — mówił Perykles. — A gdyście jej synami — toście i braćmi sobie!

Inaczej ojczyzna nie mogłaby wam być matką!

Wy, arystokraci, przychylcie ku ludowi swej wielkości i swojego światła! Ty ludu, pozbądź się nienawiści i zawiści z serca. Nie bądźcie sobie wrogami — a wróg nie będzie wam panował! Godność, duma szlachetna i zgoda — oto trzy węgły domu naszego. Czwartym — jest męstwo!

Ale odkądżeto Ateńczyków do męstwa zagrzewać należy?... Nie lękajcie się Sparty, a zwyciężycie ją! Lękajcie się samych siebie! Lękajcie się namiętności, które was unoszą. Czy widzicie to morze, które uderza o brzegi nasze? Te fale, to losy narodów. Ten brzeg, który im się opiera — to narodu serce!

Miejcie mocne i wielkie serca! Sercem trzymajcie się ziemi rodzinnej! A ty morze szum, hucz, bij o brzegi! Nie zmyjesz nas z ziemi!

Tak to raz jeszcze błyskał duch i grzmiał głos Olimpijczyka z wielkiej mównicy na Pnyksie.

Ogromny, niekończący się okrzyk i poklask wzruszonego tłumu był słów jego echem.

Nigdy — przez cały czas swojej władzy w Atenach — nie stał Perykles tak wysoko w sercach i w oczach współobywateli.

W chwili, gdy schodził z trybuny, uwieńczono go, zniesiono na rękach, lud tłoczył się, aby dotknąć jego płaszcza; matki podnosiły dzieci, aby im pokazać wielkiego Olimpijczyka.

W głuchej trosce oczekiwała Aspazja powrotu męża. A gdy go ujrzała tak wzruszonego, a zarazem tak osłabłym i tak wyczerpanym, z głośnym krzykiem rzuciła mu się w ramiona.

Perykles pozwolił się zaprowadzić na łoże. Ale choć siły opuszczały go z każdą chwilą, w oczach jego tlał niezagasły promień światła.

Wszakże ulice blizkie domu znowu były napełnione ludem. Bo choć część rozproszyła się po mieście, opowiadając sobie wzajem zasłyszane słowa wielkiego męża, tłumy przecież pociągnęły za nim i Euangelos pilnujący bramy, z największą trudnością mógł powstrzymać tych, co się tłoczyli w dziedziniec.

W domu panował spokój. Tylko kilku najbliższych przyjaciół z tych, którzy i w nieszczęściu pozostali wierni Peryklesowi, otrzymało wstęp do komnaty jego.

Aspazja, z bladą, lecz spokojną twarzą siedziała u łoża bohatera, chłodząc jego rozpalone skronie drobną ręką swoją.

Noc zapadła. Tłumy zaczęły się rozchodzić.

Coraz cięższy był oddech Peryklesa, coraz słabszy puls jego. Hipokrates pochylał się nad nim od czasu do czasu i słuchał uderzeń serca. Chory przymknął powieki. Zasypiał może.

Wtedy mężowie, którzy czuwali przy nim, zaczęli sobie cichym głosem opowiadać jego zasługi, jego wielkość, jego cnoty, jego rozum, jego czyny mądre i szlachetne.

Jeden przypominał prawa i ustawy dane krajowi,

inny bitwy zwycięskie, inny świetny zakwit nauk i sztuk pod jego opieką.

Była to jak gdyby ostatnia pieśń ojczystej ziemi, przez usta synów śpiewana, ku wiekuistemu ukołysaniu wielkiego, już uchodzącego ducha.

Czy Perykles ją słyszał? Musiał słyszeć, choćby tym wewnętrznym słuchem, który w ostatecznych momentach życia tak jest czujnym na głosy bijące z przeszłości, — gdyż oblicze jego oblokło się cichem, spokojnem światłem.

Oto duch odchodzący w wielkie ciemne kręgi zagrobowe, brał z sobą świadectwo, iż nie zmarnował życia, iż spełnił zadanie swoje.

Aż wskroś tego cichego światła na obliczu Peryklesa, poruszyły się usta jego i rzekł:

— Cóż mnie chwalicie za rzeczy, w których los, szczęście, pomoc mądrych i walecznych przyjaciół, tak wielki udział miały? Zwycięstwa odnosili i inni mężowie także, a jeślim ja ukazał piękno, inni je tworzyli. Zapominacie, przyjaciele, o jednym moim tytule do sławy. A ten jest: że żaden z obywateli ateńskich z mojej winy nie przywdział żałobnej szaty.

Te były ostatnie słowa tego wielkiego człowieka.

Głowa jego opadła na posłanie, mdlejącym wzrokiem spojrzał na małżonkę — usta jego wyszeptały jej imię i imię Grecji.

Aspazja patrzyła na te drogie rysy, coraz bardziej przerażonym wzrokiem. Aż wielki krzyk, jaki się dobył z jej piersi był zwiastunem nieszczęścia.

Perykles skonał.

Przyjaciele zakryli płaszczem głowy i oddalili się w milczeniu. Ani jedna skarga, ani jeden jęk, prócz

tego wielkiego krzyku żony, nie zakłócił śmiertelnego spokoju komnaty.

. . . . . .

Wieść żałobna jak grom spadła na Ateny. Nikt nie spał tej nocy.

Z obawą mówiono o przyszłości.

Wszystkim było teraz jasnem, że stracili i serce i głowę narodu w tym — Olimpijczyku.

Tej ciężkiej nocy całe Ateny trzymały bezsenną straż przy łożu śmierci Peryklesa.

. . . . . .

Nazajutrz, złożono w grobie ciało wielkiego męża, pierwszego obywatela Aten.

Śmierć jego była dla miasta tem cięższym ciosem, iż po za nim nie było nikogo, ktoby go zastąpić zdołał.

Chwila była ciężka, przełomowa prawie.

Niższe wartwy ludności, zdemoralizowane rządami Kleona, który za cenę popularności, najmniej odpowiednie żywioły dopuszczał do szerokiego udziału w publicznych sprawach, te warstwy potrzebowały silnej i rozumnej ręki, któraby niemi kierować umiała i zdołała je skutecznie hamować. A potem — kto miał tę wielkoduszność i prawdziwie obywatelską, męską cnotę, która więcej niż własnego wyniesienia się, bogactw i zaszczytów, pożąda szczęścia i chwały ojczyzny? Kto umiał być tak wielkim, tak wysokim, aby się czuć sługą narodu?

Z trwogą poglądali w przyszłość obywatele Aten, z trwogą czekali, co ona ojczyźnie przyniesie.

Tymczasem rządy miasta i kraju wpadły znów w ręce Kleona i jego wstecznej partji.

I to był początek końca.

Bo chociaż z czasem, kiedy wysoko uzdolniony,

lubo lekkomyślny Alcybiades, pochwycił ster władzy, Ateny zabłysły na chwilę światłem i dawnem znaczeniem; z upadkiem przecież Alcybiadesa i one upadły.

Aż przyszła bitwa pod Aigospotamos i położyła nazawsze kres potędze Aten.

Gród został zdobyty. Ateńczycy musieli sami rozwalić swe obronne mury i poddać się Sparcie, która im dała za rządców, trzydziestu tyranów.

Raz jeszcze wstrząsło się miasto ostatkiem dumy i niezależności pod tem hańbiącem jarzmem, i w rok po ustanowieniu rządów owych, zrzuciło je z siebie, powołując do życia starodawne solońskie prawa.

Ale siła i życie Aten były już na zawsze złamane.

Z biegiem wieków, ulegała Attyka różnym przemianom losowym, tracąc ciągle narodową wielkość i polityczne znaczenie, aż do chwili, w której z całą Grecją, pod nazwą Achai włączona do państwa rzymskiego, utraciła zupełnie samodzielność swoją.

. . . . . .

Przeszły wieki.

Dziś żaden kamień nie wskazuje miejsca, gdzie spoczęły prochy wielkiego Ateńczyka. Ale wieczysty pomnik wystawiła mu historja jego narodu, który pod jego przewództwem dosięgnął szczytu zewnętrznej i wewnętrzne potęgi.

Wielkość i sława Aten — to wielkość i sława Peryklesa.

On dał imię swoje całemu stuleciu swemu.

Dziś, ktokolwiek zwiedza te starożytne ziemie, gdzie z pod wiekowych gruzów dobywają niezmordowani

badacze potężne wykopaliska starej Grecji, tego przejmuje cześć i podziw na widok dzieł, które i w ruinie swej nawet, świecą urokiem wieczystego piękna.

Partenon, Propyleje, Odeon, w bieli nieskalanej marmurów swoich, objawiają duchowi jego te odległe wieki, w których tworzono nieśmiertelne ich kształty.

Imię Peryklesa przylgnęło tam do każdej kolumny, do każdego liścia akantu.

A cień wielkiego Olimpijczyka błąkać się jeszcze zdaje wśród tych pomników sławy swego ludu, pod wiecznie błękitnem niebem.

KONIEC.

MUZEUM MARII KONOPNICKIEJ BIBLIOTEKA W ŻARNOWCU

SPIS RZECZY.

	Str.
Przedmowa	1
I. Ognisko domowe	3
II. Zapoznany	15
III. Zły posiew	37
IV. Jonka	60
V. Bohater dnia	75
VI. Drużba	90
VII. W teatrze Djonizosa	105
VIII. Erynje	129
IX. Współzawodnik	149
X. W nieprzyjacielskim obozie	177
XI. Zwycięzca	196
XII. Z pogodnego nieba	219
XIII. Pomiędzy murami	238
XIV. Promień światła	152

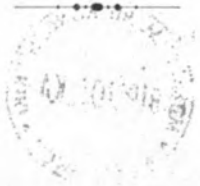

WYDAWNICTWA MICHAŁA ARCTA W WARSZAWIE.

Książki dla młodzieży.

Rs. kop.

Armstrong F. Wśród chmur i słońca. Powieść dla młodzieży, z 4-ma rycinami, w oprawie . . . . . 1 —

Borkowska A. Nad wodami Bałtyku. — Panna Marychna z Oporowa. — Wojewodzic Spiski. Trzy powieści; z rycinami, w opr. kart. — 75

Brzeziński M. Moje wakacje na wsi. Z opowiadań Janka. Z 60 rysunkami. W oprawie kartonowej 1 20

Dyakowski B. Nasz las i jego mieszkańcy. Opisy przyrody. Z licznemi rycinami. brosz. 80 kp., w oprawie . . . . . 1 —

— Ptaki pożyteczne naszych lasów, pól i ogrodów. 43 ptaki i ich jaja; na 25 tabl. kolor. w ozdob. oprawie w płótno angielskie . 1 50

Ellis E. S. Przez ogień i przez lasy. Powieść dla młodzieży, z 4-ma ryc. w opr. kart. kp. 60; w opr. ozd. w płótno angielskie . . . — 90

Gębarski St. Skarby na dnie Wisły. Opowiadanie z pierwszej połowy bieżącego stulecia. Z 4 ryc. brosz. 50 kp.; w opr. kart. . — 60

Gliński A. Polne kwiaty. Poezje dla młodzieży. Z ilustracjami. W ozd. opr. kp. 60; w oprawie w płótno angielskie . . . . . — 80

Green B. Brat ociemniały. Powieść dla młodzieży. Wyd. II. Z rycinami, w opr. kart. kp. 60; w opr. w płótno angielskie . . . — 90

Gruszecki A. Wśród Tatarów. Powieść dla młodzieży. Z 8 rysunkami i licznemi winietami, w opr. kart. 1 20

Henty A. E. Lew św. Marka. Powieść dla młodzieży. Z 4 rycinami, w opr. kart. rs. 1.—; w opr. ozd. w płótno angielskie . 1 35

D'Hervilly E. Przygody chłopczyka przedhistorycznego. Opowiadanie dla młodzieży. Z 15 rysunkami, w ozdobnej oprawie kartonowej rs. 1.—; w oprawie ozdobnej w płótno angielskie . . 1 20

Hofmanowa Kl. Wybór pism. Wyd. jubileuszowe — 6 tomów brosz. rs. 1 kp. 50; w oprawie w płótno angielskie 2 50

Kowerska Z. Losy Adasia. — Ofiara. — Ona. Trzy powieści dla młodzieży. Z 4 ryc., brosz. rb. 1; w opr. kart. 1 20

Kraszewski J. I. Stara baśń. Powieść historyczna 3 tomy brosz. 75 kop.; w ozdobnej oprawie 1 20

Król K. W kraju piramid. Opowiadanie z dawnych dziejów Egiptu, dla dojrzalszej młodzieży. Opracowane według dzieła Minchsanga. Z 4 rycinami kolorowemi, w ozdobnej oprawie . . . . . 1 —

Łopuszańska M. Odzyskany. — W wiejskiej zagrodzie. Dwie powieści, z rycinami, w oprawie kartonowej . . . . . — 75

Lubbock J. Powaby życia. Książka dla starszej młodzieży, brosz. rs. 1—; w oprawie ozdobnej 1 50

Maël P. W tajemniczym kraju. Powieść dla młodzieży. Z licznemi rycinami, w oprawie . . . . . — 60

Marrené W. Trzydzieści lat wśród dzikich. Przygody L. de Rougemont'a, z rycinami, w oprawie karton. . . . . — 75

Méaulle F. Robinson napowietrzny. Powieść dla młodzieży. Z 4 obrazkami, kart. kp. 60; w opr. ozd. w płótno angielskie . . . — 90

Nansen F. Wśród lodów i nocy. Prawdziwe przygody w podróży do Bieguna Północnego. Opracowane dla młodzieży przez Wł. Umińskiego. Z licznemi rycinami, opr. . . . . 1 —

Normand C. Szmaragd Inkasów. Powieść dla młodzieży. Z 4 rycinami, w opr. kart. . . . . — 80

Popławski J. Ciekawe opowiadania z życia obcych ludów. Z 12

podwójnemi tablicami kolorowemi i 12 rysunkami typów ludów, brosz. rs. 1 kp. 35; w oprawie 1 60

— **Podania o starożytnych Półbogach i Bohaterach Greków i Rzymian.** Z 12 chromolitoggaf. rycinami i licznemi drzeworytami, w ozdobnej oprawie 1 80

Przyborowski W. Atylla, Bicz Boży. Opowiadanie historyczne dla starszej młodzieży. Opracowane według dzieła P. O. Höckera. Z 6 ryc.; w opr. kart. rs. 1.20 kp, w opr. ozd. 1 50

— **Losy Cezara.** Opowiadanie z dziejów rzymskich; dla dojrzalszej młodzieży. Opracowane według dzieła P. O. Höckera. Z 6 ryc. W oprawie kart. rs. 1—; w opr. ozd. w płótno angielskie . . 1 40

Stables G. Na dalekiej Północy. Przygody podróżników w Grenlandji i na Biegunie Północnym. Z 8 rycinami. W opr. kart. . — 60

Umiński Wł. Młody jeniec indyjski. Powieść dla młodzieży, osnuta na tle życia myśliwskiego, z 4-ma ryc. kolor. W opr. kart. . . 1 —

— **Pioruny i błyskawice.** Pogadanki naukowe. Z 10 ryc., w opr. kart. — 80

— **Pole dyamentowe.** Przygody dwóch przyjaciół. Opracowane podług książki E. Bartusa. Z 4 rycinami kolorowanemi. W oprawie kart. rs. 1—; w opr. ozd. w płótno angielskie 1 35

— **W kraju ludożerców oraz inne opowiadania.** Z 6 rycinami. W oprawie kart. kp. 75; w ozd. opr. w płótno angielskie . . . . . 1 —

— **W pustyniach Australji.** Przygody podróżników. Powieść dla młodzieży z 7 ryc. W opr. kart. rs. 1; w ozd. oprawie 1 35

— **Wędrowna wyspa i Przygody emigrantów w puszczy brazylijskiej.** Dwie powieści. Z 6 rycinami. W oprawie kart. rs. 1; w oprawie ozdobnej w płótno angielskie 1 20

— **Zwycięzcy Oceanu.** Powieść dla młodzieży. W oprawie kartonowej 1 —

Warnka J. Marysieńka albo dwa miesiące na Rugji. Powieść dla młodzieży, z 4 ryc., w opr. kart. 60 kp.; w opr. ozd. . . . . — 90

Weryho M. Gry i zabawy towarzyskie w pokoju oraz na wolnem powietrzu, z 90 obrazkami w opr. karton. . . . . 1 —

Yonge K. Orla skała. Powieść dla młodzieży. Z 4 rycinami, w opr. kart. rs. 1; w opr. ozd. w płótno angielskie 1 35

Złota książeczka młodzieży. Dzienniczek na cały rok, z notatnikiem; w oprawie . . . . . — 40

Dźwięki poetów. Album z 10 chromolitografjami i 10 tonowemi ilustracjami w ozdobnej okładce . . . . . 1 —

Echa wieszcze. Fragmenty poezji naszych poetów. Album z 12-tu wspaniałemi chromolitografjami 1 80

Gałązka pokoju. Album z 12-ma chromolitogr. z wyborem poezji . 1 20

Halina. Listki. Albumik z 7 chromolitograf. z wyborem poezji, w ozdobnej okładce . . . . . — 50

— **Pieśni.** Albumik z 7 chromolitogr. z wyborem poezji, w ozd. okł. — 50

Nowy Horoskop ułożony na każdy dzień roku z dzieł poetów polskich. W ozdobnej oprawie 1 50

Konopnicka M. Kwiaty i pieśni. Piękne album kwiatowe z 68 chromolitogr., z wyborem poezji naszych poetów, w ozd. okładce 2 —
W oprawie w płótno angielskie rs. 2.50; opr. w w plusz. kolor. 3 —

— **Listy.** Poezje oryginalne, ozdobione 13 chromolitografjami . . . — 90

Lange A. Księga sonetów poetów polskich, brosz. 80 kop., w ozd. opr. 1 20

Lećcie pieśni! Poezje wybrane przez Or-Ota. Album z 26 chromolit. 1 20

Or-Ot. Wiosenne kwiecie. Album poezji, opr. w formie róży z 16-ma chromolit. 1 20

Z wiosną. Wybór poezji. Album z 8 chromolit. w ozd. okładce . . — 90

M NOWAKOWSKA

Robert Dębski

obrazek:

1 – 0

2 – 17

3 – 62

4 – 88

5 – 148

6 – 216

7 – 246

8 – 258